

pasja szaleństwa

# santiago roncagliolo czerwony kwiecień



znak proza

# santiago roncagliolo czerwony kwiecień

przekład  
tomasz pindel

wydawnictwo  
znak  
kraków 2008



*Dla Rosy, bo jestem stamtąd, gdzie ty jesteś*

*Przypatrz się orgii korupcji, która toczy ten kraj; głodowi, który jednych niszczy, i przesytwowi, od którego inni pękają; porozmawiaj z ludźmi idącymi pieszko, przyjrzyj się tym, co jadą konno... W ten sposób zrozumiesz tę przemoc... A jeśli nie chcesz współczesnych wyjaśnień, wczytaj się w Ewangelię Mateusza (21, 12-13) i znajdziesz tam aktualne od tysiącleci wyjaśnienie gniewu, który wielu ludzi na świecie uważa za święty.*

Efraín Moróte, rektor Państwowego Uniwersytetu San Cristóbal de Huamanga

*Jesteśmy ludźmi przepelnionymi wiarą...*

*Na Czwartej Sesji Plenarnej obiecaliśmy zmierzyć się z tą krwawą łaźnią...*

*Dzieci ludu nie umarły, żyją w nas i w nas tętnią.*

Abimael Guzmán, przywódca Świetlistego Szlaku

*Wojna jest święta, jej instytucja jest boska.*

*I jest też jednym z uświęconych praw świata.*

*Podsycy w ludziach wszystkie wielkie uczucia, takie jak honor, bezinteresowność, cnotę i odwagę, jednym słowem nie pozwala im popaść w godny potępienia materializm.*

Helmut von Moltke, cytowany w ulotce Świetlistego Szlaku *O wojnie: przysłowia i cytaty*

## Czwartek 9 marca

Dnia 8 marca 2000 roku, to jest w środę, w trakcie przemieszczania się w kierunku swojego adresu zamieszkania w miejscowości Quin.ua, ob. Justino Mayta Carazo (lat 31) natknął się na zwłoki.

Zgodnie z wyjaśnieniami złożonymi właściwym władzom, przesłuchiwany od trzech dni uczestniczył we wspomnianej miejscowości w zabawie karnawałowej, podczas której brał udział w tańcach. W związku z zaistniałymi okolicznościami przesłuchiwany twierdzi, iż nie pamięta, gdzie przebywał poprzedniej nocy ani podczas dwóch nocy wcześniejszych, podczas których, jak zeznał, spożył znaczne ilości napojów alkoholowych. Oświadczenia tego nie był w stanie potwierdzić żaden z 1576 mieszkańców miejscowości, którzy zapewniają, iż podczas minionych 72 godzin obchodów karnawałowych znajdowali się w analogicznym stanie upojenia alkoholowego.

O świcie dnia 8 marca wzmiankowany Justino Mayta Carazo (lat 31), jak zeznał, stawiał się osobiście na miejscowym rynku razem z Manuelchą Pachas Ispijuy (lat 28) oraz Deolindem Páucarem Quispe (lat 32), którzy jednak nie byli w stanie potwierdzić tej okoliczności. Następnie, jak oświadczył przesłuchiwany, przypomniał sobie o swoich obowiązkach zawodowych związanych z lokalem „Moje Peru”, w którym to piastuje stanowisko sprzedawcy. Wstał i udał się do wspomnianego lokalu, ale wobec okoliczności niesprzyjających, w postaci dręczącego go przez połowę drogi niespodziewanego ataku wyczerpania, zdecydował się powrócić do miejsca zamieszkania i udać się na zasłużony spoczynek.

Zanim zdążył dotrzeć do swoich drzwi, atak przybrał na sile, co skłoniło przesłuchiwanego do zatrzymania się w miejscu zamieszkania jego sąsiada Nemesia Limanty Huamána (lat 41), by odpocząć przed pokonaniem brakujących piętnastu metrów do wejścia do własnego lokum. Jak zeznaje, wchodząc do budynku, nie zauważył niczego podejrzanego ani nie natknął się na nikogo, i udał się przez patio prosto do stodoły, gdzie spoczął. Zapewnia, że spędził tam samotnie następne sześć godzin. Nemesio Liman ta Huamán (lat 41) zaprzeczył tej wersji, zeznając, że o godzinie 12 zastał w stodole samotną Teófilę Centeno de Páucar (lat 23), młodą małżonkę Deolinda Páucara Quispe (lat 32), znaną, zdaniem świadków, z hojnego uposażenia naturalnego oraz znacznego apetytu cielesnego, co jednakowoż zostało zanegowane zarówno przez jej współmałżonka, jak i wzmiankowanego przesłuchiwanego Justina Maytę Carazo (lat 31).

Po godzinie, czyli o 13, w trakcie wykonywania czynności przeciągania się, przesłuchiwany, jak zeznał, dotknął jakiegoś szorstkiego i sztywnego obiektu częściowo ukrytego w słomie. Wierząc, że może być to ukryta skrzynka z pieniędzmi należąca do właściciela lokalu, przesłuchiwany postanowił kontynuować wydobywanie tegoż przedmiotu. Prokuratura Rejonowa udzieliła przesłuchiwanemu zdecydowanej reprimendy wobec jego ewidentnie złych intencji, na co Justino Mayta Carazo (lat 31) zareagował, okazując autentyczną skruchę i deklarując, że nie omieszka wypowiedzieć się z tego u księdza Juliana Gonzáleza Casquignána (lat 65), proboszcza odnośnego okręgu kościelnego.

Około 13.10 wzmiankowany przesłuchiwany uznał, że przedmiot jest zbyt duży jak na skrzynkę i że raczej przypomina spaloną belkę, czarną i lepka. Następnie usunął resztki słomy zakrywające obiekt, natykając się na nieregularną powierzchnię pokrytą licznymi dziurami. Jak zeznał, odkrył, że jedna z tych dziur jest ustami pełnymi czarnych zębów, a na dalszych częściach ciała widnieją resztki materiału koszuli, również zwęglone i przylegające do skóry tudzież spopielonego ciała, zapewne zniekształconego działaniem ognia.

Około 13.15 przerażone krzyki Justina Mayty Carazo (lat 31) obudziły pozostałych 1575 mieszkańców miejscowości.

Na tym protokół zakończono dnia 9 marca 2000 roku w prowincji Huamanga i po stwierdzeniu zgodności go podpisuję:

élix Chacaltana Saldívar

Pomocnik Prokuratora Rejonowego

Chacaltana, pomocnik prokuratora, z niepewną miną postawił kropkę. Przeczytał wszystko od początku, skreślił jakąś literkę i dopisał czarnym tuszem „F” przy imieniu. Teraz dobrze. Porządny protokół. Zastosował się do wszystkich zasad formalnych, precyzyjnie dobierał czasowniki i nie popadał w manierę rozbuchanego sypania przymiotnikami, typową dla tekstów prawniczych. Unikał litery „f” – bo jego maszyna Olivetti z siedemdziesiątego piątego zgubiła tę czcionkę – ale znał dostatecznie dużo słów, żeby sobie bez niej poradzić. Mógł napisać „okoliczność” zamiast „fakt” albo „okręg kościelny” zamiast „parafia”. Pomyślał sobie z satysfakcją, że w jego sercu człowieka w służbie prawa kryje się poeta próbujący wyjść na zewnątrz.

Wykręcił kartki z wałka, schował kalkę na potrzeby przyszłych dokumentów i wsadził każdą kopię raportu do stosownej koperty: jedną do archiwum, drugą dla sędziego karnego, jedną do akt i jedną dla dowództwa lokalnej jednostki wojskowej. Brakowało jeszcze raportu lekarza sądowego.

Przed wyjściem do komisariatu napisał kolejny raz – jak każdego ranka – podanie o nową maszynę do pisania, dwa ołówki i ryzę papieru kalkowego. Wysłał już trzydzieści sześć takich podań i trzymał wszystkie potwierdzenia nadania. Nie chciał być agresywny, ale jeśli nie dostanie tych materiałów szybko, będzie musiał uciec się do bardziej radykalnych procedur administracyjnych.

Osobiście zaniósł podanie i podpisał potwierdzenia nadania, po czym wyszedł na plac Broni. Z głośników zamontowanych na jego czterech rogach, w ramach kampanii Kancelarii Premiera mającej na celu wzmożenie nastrojów patriotycznych w prowincji, płynęły słowa sławiące życie i dzieło wybitnych mieszkańców Ayacucho: don Benigno Huaranga Céspedes, sławetny doktor ayacuczanski, studiował na Głównym Uniwersytecie Państwowym San Marcos i poświęcił swe życie szlachetnym naukom medycznym, na którym to polu zebrał liczne zaszczyty i różne honory. Don Pascual Espinoza Chamochumbi, wybitny adwokat z Huanty, wyróżniał się zaangażowaniem na rzecz prowincji, której ufundował popiersie wielkiego Bolívara. Dla pomocnika prokuratora rejonowego Feliksa Chacaltana Saldívar te biografie, uroczyście recytowane na placu Broni, stanowiły wzorce do naśladowania, przykłady rodaków, którzy mimo wszelkich trudności potrafili się wybić. Zastanawiał się, czy któregoś dnia, w uznaniu za nieustające trudy wkładane w pracę na rzecz sprawiedliwości, jego nazwisko zasłuży na to, by powtarzały je głośniki.

Podszedł do wózka z gazetami i poprosił o dziennik „El Comercio”. Sprzedawca powiedział, że dzisiejszy numer nie dotarł do Ayacucho, ale ma wydanie wczorajsze. Chacaltana kupił je. Niewiele może się przecież zmienić z dnia na dzień, pomyślał, wszystkie dni są zasadniczo takie same. Potem ruszył dalej w stronę komisariatu.

W trakcie marszu myśl o zwłokach w Quinua wywołała w nim pomieszanie dumy i niepokoju. To był jego pierwszy nieboszczyk w ciągu roku, który upłynął od powrotu do Ayacucho. To oznaka postępu. Aż do tej chwili każda sprawa z trupem trafiała prosto do prokuratury wojskowej z powodów bezpieczeństwa. Prokuraturze rejonowej przydzielano tylko pijackie bójkki i przemoc domową, co najwyżej jakiś gwałt, często dokonany przez męża na żonie.

Chacaltana dostrzegł tu problem klasyfikowania przestępstw i nawet zwrócił się z pisemną prośbą o instrukcje do sądu karnego prowincji Huamanga, tyle że wciąż nie otrzymał odpowiedzi. Jego zdaniem takie praktyki w prawnie zawartym małżeństwie nie powinny być nazywane gwałtami. Mężowie nie gwałcą swoich żon: spełniają swój obowiązek. Ale pomocnik prokuratora Félix Chacaltana Saldívar, który rozumiał ludzkie słabości, zazwyczaj organizował rozprawę pojednawczą, by pogodzić skłócone

strony, i obligował małżonka do wypełniania swych męskich powinności bez wywoływania urazów czy ran. Pomocnik prokuratora wspomniał swoją byłą żonę Cecilie. Ona nigdy się nie skarżyła, w każdym razie nie na to. Pomocnik prokuratora odnosił się do niej z szacunkiem, ledwie ją tykał. Byłaby pod wrażeniem, gdyby dowiedziała się o randze tej sprawy z nieboszczykiem. Wreszcie zaczęłaby go podziwiać. W recepcji komisariatu samotny sierżant czytał sportową gazetę. Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar podszedł do niego, głośno stawiając kroki, i odchrząknął.

– Szukam kapitana Pacheco.

Sierżant uniósł znudzony wzrok. Przeżuwał zapałkę.

– Kapitana Pacheco?

– Tak jest. Musimy podjąć działania w bardzo poważnej sprawie.

Pomocnik prokuratora przedstawił się. Sierżant miał dość niepewną minę. Spojrzał w bok. Pomocnikowi prokuratora wydało się, że kogoś tam dostrzega, jakiś cień. Może się mylił. Sierżant zanotował dane prokuratora i wyszedł z recepcji z kartką w ręku. Pomocnik prokuratora usłyszał w przylegającym pomieszczeniu jego głos nakładający się na inny, ale nie był w stanie rozpoznać, o czym jest rozmowa. Zresztą starał się nie słuchać. To oznaczałoby pogwałcenie zasad instytucjonalnej komunikacji. Sierżant wrócił po ośmiu minutach.

– Bo wie pan co... Dziś jest czwartek, szefie. W czwartki kapitan przychodzi dopiero po południu... O ile w ogóle... Bo ma wiele pilnych spraw...

– No, ale procedury nakazują, byśmy udali się wspólnie, celem dokonania wizji lokalnej w sprawie zmarłego... i umówiliśmy się, że...

– ... jutro też jest trudny dzień, szefie, bo wezwali nas na defiladę w niedzielę i trzeba wziąć się do przygotowań, no sam pan wie.

Pomocnik prokuratora postanowił wyciągnąć mocny argument:

– Tylko że... denat nie może czekać.

– Ale ten to już na nic nie czeka, szefie. Proszę się nie martwić, przekażę kapitanowi, że stawił się pan u nas w związku z tym nieboszczykiem. Nie bardzo wiedząc jak, pomocnik prokuratora rejonowego dał się ponieść słowom funkcjonariusza aż do drzwi. Chciał coś odpowiedzieć, ale było już za późno. Stał na ulicy. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł czoło. Nie wiedział, co robić, czy ominąć proceduralne wymogi, czy jednak czekać na kapitana. Ale czekać do poniedziałku to zbyt długo. Będą od niego wymagali raportu w terminie. Sam pójdzie. I przedłoży skargę przed Naczelną Administracją Policji, przesyłając kopię do prokuratury okręgowej.



Pomyślał znów o denacie i to przypomniało mu matkę. Nie poszedł się z nią zobaczyć. Powinien zająć do domu w drodze powrotnej ze szpitala, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Przeszedł przez miasto w piętnaście minut, wkroczył do Szpitala Wojskowego i zaczął szukać sekcji oparzeń albo kostnicy. Zdezorientowali go ci wszyscy kontuzjowani, pobici i cierpiący ludzie. Postanowił zapytać pielęgniarkę, która właśnie obsłużyła dwóch starsuszków w sposób sugerujący, że zajmuje ważne stanowisko.

– Przepraszam, gdzie znajdę doktora Faustina Posadasa?

Pielęgniarka obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar zastanowił się, czy nie będzie musiał ujawnić swojej funkcji. Pielęgniarka weszła do jakiegoś gabinetu i wróciła po pięciu minutach.

– Pan doktor wyszedł. Proszę się i poczekać.

– P... przychodzę tylko po jeden dokument. Potrzebuję raportu lekarza sądowego.

– Ja nie znam tematu. Ale proszę spocząć.

– Jestem pomocnikiem pro...

Było to bezcelowe. Pielęgniarka wyszła, żeby pomóc krzyczącej z bólu kobiecie. Nie była ranna. Po prostu krzyczała z bólu. Pomocnik prokuratora usiadł między stareńką babuliną, która zawodziła coś w języku keczua, i policjantem z raną na rękę, z której ciekła krew. Rozłożył gazetę. Nagłówek informował o przekręceniu planowanym przez rząd na kwietniowe wybory. Zaczął czytać z niesmakiem, myśląc, że takie podejrzenia powinny być kierowane do prokuratury generalnej i tam szybko wyjaśniane, zanim podobne sensacje zostaną opublikowane w prasie i wywołają godne pożałowania skutki.

Kiedy przewracał stronę, odniósł wrażenie, że przygląda mu się stojący przy wejściu rekrut. Nie. Już nie. Może nawet w ogóle nie patrzył. Czytał dalej. Mniej więcej co sześć minut w drzwiach pokazywała się pielęgniarka i wzywała którąś z osób czekających na korytarzu, bezrękiego mężczyznę albo dziecko z polio, którzy opuszczali swoje miejsce, pojękując z bólu i oddychając z ulgą. Przy trzeciej stronie pomocnik prokuratora poczuł, że siedzący obok policjant próbuje mu czytać przez ramię. Kiedy na niego spojrział, funkcjonariusz z uwagą przyglądał się swojej ranie. Chacaltana zamknął gazetę, położył ją sobie na kolanach i zaczął bębnić palcami o papier, żeby jakoś urozmaicić czekanie.

Doktor Posadas nie nadchodził. Prokurator chciał coś powiedzieć pielęgniarce, ale nie wiedział co. Uniósł wzrok. Stała przed nim szlochająca dziewczyna. Miała podrapaną, zaczerwienioną twarz, a jedno oko kompletnie spuchnięte. Opierała sponiewierany policzek o ramię matki. Wyglądała na

pannę.

Chacaltana zastanawiał się, co w sensie prawnym robić z niezamężnymi ofiarami gwałtów. Na początku domagał się więzienia dla gwałcicieli, zgodnie z przepisami. Ale poszkodowane protestowały: jeśli napastnika zamykano, ofiara nie mogła wyjść za niego za męża, żeby odzyskać cześć. Oznaczało to konieczność zreformowania kodeksu karnego.

Zadowolony ze swych przemyśleń pomocnik prokuratora postanowił wysłać do sądu karnego prowincji Huamanga dokument poruszający tę kwestię, dołączając ponaglenie, by odpowiedziano mu na poprzednie zapytanie. Piskliwy głos z północnym akcentem wybił go z tych rozważań:

– Prokurator Chacaltana?

Niziutki mężczyzna w okularach, źle ogolony i z tłustawymi włosami, stał obok, jedząc czekoladę. Jego kitel upaprany był musztardą, sosem kreolskim i czymś brązowym, ale rękawy miał czyste, co pozwalało zamaskować obfitość łupieżu sypiącego się z jego głowy.

– Faustino Posadas, lekarz sądowy.

Wyciągnął ubrudzoną czekoladą dłoń, którą pomocnik prokuratora uścisnął. Następnie przeprowadził go przez ciemnawy korytarz pełen ludzkiego cierpienia. Niektóre osoby podchodziły do niego, pojękując i prosząc o pomoc, ale lekarz przeganiał je gestem do pierwszej z sal – proszę tam, do pielęgniarki, ja się zajmuję tylko denatami.

– Nie widziałem tu pana wcześniej – odezwał się lekarz, kiedy wchodzili do nowego pawilonu, gdzie znajdowała się inna poczekalnia. – Pan z Limy?

– Jestem z Ayacucho, ale mieszkałem w Limie w dzieciństwie. Rok temu mnie przenieśli.

Lekarz uśmiechnął się.

– Z Limy do Ayacucho? Chyba był pan niegrzeczny, panie Chacaltana... – Odchrząknął. – Jeśli... wolno mi tak powiedzieć.

Pomocnik prokuratora nigdy nie był niegrzeczny. Nie zrobił niczego złego, nie zrobił niczego dobrego, nigdy nie zrobił niczego, co nie byłoby wyraźnie określone w przepisach dotyczących jego funkcji.

– Sam poprosiłem o przeniesienie. Moja matka tu mieszka, a ja od dwudziestu lat nie pojawiałem się w mieście. Ale teraz, kiedy nie ma już terroryzmu, wszędzie spokój, prawda?

Lekarz zatrzymał się przed drzwiami na przeciwko poczekalni porodówki pełnej ciężarnych z porodówki. Przełożył czekoladę do drugiej ręki i wyjął z kieszeni klucz.

– Spokój, jasne.

Otworzył drzwi i weszli. Posadas włączył białe jarzeniówki, które migotały przez chwilę, zanim zaczęły się porządnie palić. Jedna zresztą nie przestała migać. W biurze znajdował się stół zakryty prześcieradłem. A pod nim jakiś kształt. Chacaltana przestraszył się. Wolałby, żeby stół był pusty.

– Ja... przyszedłem tylko, żeby odebrać stosowny doku...

– Protokół sekcji, tak.

Doktor Posadas zamknął drzwi i podszedł do biurka. Zaczął grzebać w papierach.

– Myślałem, że gdzieś tu jest... Przepraszam na chwilę. Kontynuował poszukiwania. Chacaltana nie potrafił oderwać wzroku od prześcieradła. Lekarz to zauważył. Zapytał:

– Widział go pan?

– Nie! Ja... spisałem zeznania od funkcjonariuszy pełniących wtedy służbę.

– Policjantów? Przecież nawet go nie widzieli. – Jak to?

– Kazali gospodarzowi wpakować ciało do worka przed ich wejściem. Nie wiem, co mogli panu powiedzieć.

– Ach...

Posadas przestał na chwilę grzebać w papierach. Odwrócił się w stronę pomocnika prokuratora.

– Powinien go pan zobaczyć.

Chacaltana pomyślał, że to wszystko zbytnio się przeciąga.

– Ja tylko potrzebuję raport...

Ale lekarz podszedł do stołu i zdjął prześcieradło. Zwęglone ciało spojrzało na nich. Rzeczywiście miało ściśnięte zęby, ale oprócz tego ciężko było rozpoznać w tym czarnym kształcie ludzkie cechy. Nie było go czuć trupem. Pachniało jak lampa naftowa. Światło zamigotało.

– Niewiele nam zostawił do oglądania, co? – zagadnął Posadas.

Chacaltanie przypomniało się, że miał wpaść do matki. Próbował odzyskać koncentrację. Starł pot. To nie był taki sam pot jak wcześniej. Był zimny.

– Dlaczego trzymacie to na porodówce?

– Z braku miejsca. Poza tym na jedno wychodzi. W kostnicy nie ma

zamrażarki. Szlag ją trafił przez to ciągle wyłączanie prądu.

- Przecież od lat już nie wyłączają.
- Nie w naszej kostnicy.

Posadas wrócił do biurka z papierami. Chacaltana obszedł stół, starając się patrzeć w inną stronę. Zwęglenie było nieregularne. Choć w twarzy można się było dopatrzeć pewnych cech ludzkiej fizjonomii, obie nogi zmieniły się w jedno ciemne przedłużenie tułowia. Po stronie zwróconej ku górze sterczały jakieś pokręcone elementy, jak gałęzie skamieniałego drzewa. Chacaltana poczuł, że wymioty podchodzą mu do gardła, ale starał się zamaskować to jakże nieprofesjonalne zachowanie. Posadas wbił w niego te swoje dwa skośnawe i nieufne, jakby szczurze oczka.

– Pan będzie prowadził śledztwo? A żołdacy?

– Członkowie sił zbrojnych – poprawił go pomocnik prokuratora – nie mają powodu, by się angażować w sprawę. To się nie kwalifikuje pod jurysdykcję wojskową.

Posadas wyglądał na zaskoczonego tym stwierdzeniem. Odparł sucho: – Wszystkie sprawy podlegają jurysdykcji wojskowej. W jego głosie pobrzmiwało coś na kształt prowokacji. Chacaltana próbował podkreślić swoją pozycję.

– Trzeba jeszcze zbadać okoliczności zajścia. Technicznie może tu nawet chodzić o wypadek...

– Wypadek?

Lekarzowi wyrwał się krótki i suchy śmieszek, od którego dostał kaszlu, i spojrzał na trupa, żeby podzielić się z nim tym dowcipem. Rzucił papieraś po czekoladzie na podłogę i wyjął paczkę papierosów. Zaoferował jednego pomocnikowi prokuratora, ale ten odmówił gestem. Lekarz zapalił, znów pokaszując, wypuścił dym i powiedział poważnym tonem:

– Mężczyzna, lat czterdzieści, czterdzieści pięć, tak na oko. Biały, w każdym razie jasny. Dwa dni temu był wyższy.

Pomocnik prokuratora rejonowego czuł, że powinien okazywać zawodową obojętność. Zrobiło mu się zimno. Zapytał z lekkim drżeniem:

– Jakiś... trop związany z tożsamością denata?

– Nie ocalały żadne ślady fizyczne ani przedmioty osobiste. Jeśli miał przy sobie dowód, musi być gdzieś tam w środku.

Chacaltana przyjrzał się ciału, które wydawało się rozpadać pod spojrzeniem. Czarna maź okleiła jego umysł.

– Dlaczego wyklucza pan wypadek?

Posadas najwyraźniej oczekiwał tego pytania, zareagował z dumną wyższością, jak nauczyciel wobec najgłupszego dziecka w klasie. Odszedł od biurka, stanął obok stołu i zaczął wyjaśniać, wskazując zarazem na różne części ciała:

– Po pierwsze, oblano go naftą i podpalono. Resztki płynu znajdują się na całym ciele.

– Może zmarł w wyniku pożaru. Ktoś bał się to zgłosić i ukrył ciało. Wieśniacy często obawiają się, że policja...

– Ale to im nie wystarczyło – ciągnął Posadas, jakby go zupełnie nie słyszał. – Spalili go jeszcze bardziej.

Pozwolił, by cisza dodała mocy słowom. Jego szczerze oczka wypatrywały odpowiedzi Chacaltany. – Jak to „jeszcze bardziej”?

– Nikt tak nie wygląda tylko dlatego, że go podpalili, panie prokuratorze. Materiał jest wytrzymały. Ludzie często przeżywają nawet kompletnie poparzeni jakimś paliwem. Wypadki na szosach, pożary lasów... Ale to...

Wciągnął dym i wypuścił go nad stół na wysokości czarnej twarzy. Wyglądało to tak, jakby palił on, nieboszczyk. Światło zamigotało. Lekarz dokończył:

– Nigdy nie widziałem kogoś tak zwęglonego. Nigdy nie widziałem czegoś tak spalonego.

Wrócił do swoich papierów, nie zakrywając zwłok. Poszukiwany raport leżał w świetle lampy. Podał go pomocnikowi prokuratora. W jednym rogu kartka upstrzona była plamami czekolady. Chacaltana obrzucił ją szybkim spojrzeniem i stwierdził, że brakuje trzech kopii, ale uznał, że sam je może zrobić, nie będzie to poważne uchybienie. Pożegnał się gestem. Chciał szybko stamtąd wyjść.

– Jest jeszcze coś – zatrzymał go lekarz. – Widzi pan to? Takie jakby szpony z boku? To palce. Wyginają się tak pod wpływem gorąca. Są tylko z jednej strony. W sumie, jeśli się pan dobrze przyjrzy, to widać, że ciało jest jakby nierówne. Trudno zobaczyć to na pierwszy rzut oka w tym stanie, ale temu człowiekowi brakuje jednej ręki.

– Kaleka.

Chacaltana schował papier do teczki i przewiązał ją.

– Nie. Nie był kaleką. W każdym razie nie do wtorku. Przy ramieniu są resztki krwi.

– Może się zranił?

– Panie prokuratorze, jemu odcięto prawe ramię. Wyrwali mu je siłą albo odrabiali siekierą, albo może odpiłowali. Przebili się przez ciało i kość na wylot. To nie jest wcale proste. Jakby go jakiś smok zaatakował.

Tak rzeczywiście było. Miejsce, z którego powinna wyrastać ręka, było zapadnięte, jak gdyby pozbawione już stawu. Chacaltana zastanawiał się, jak mogli tego dokonać. Potem uznał, że lepiej się nie zastanawiać. Światło znów zamigotało. Pomocnik prokuratora przerwał milczenie:

– No cóż, zakładam, że to wszystko zostało opisane w raporcie...

– Wszystko. Nawet to o czole. Widział pan jego czoło? Chacaltana chciał zadać jakieś pytanie, żeby nie musieć patrzeć na czoło. Próbował myśleć o czymś innym. Lekarz nie spuszczał z niego wzroku. Wreszcie pomocnik prokuratora skłamał: – Tak.

– Wygląda na to, że jego głowa była oddalona od źródła gorąca, ale nie przez przeoczenie. Po spaleniu tego człowieka zabójca zrobił mu na czole krzyż, potężnym, może rzeźnickim nożem.

– Bardzo interesujące...

Chacaltanie zrobiło się słabo. Stwierdził, że czas już iść. Chciał się pożegnać jakimś profesjonalnym, stosownym gestem.

– Ostatnie pytanie, doktorze Posadas. Gdzie można by do tego stopnia zwęglić ciało? W piecu chlebowym? Detonując gaz?

Posadas cisnął niedopałek na podłogę. Przydeptał go i zasłonił zwłoki. Potem wyjął następną czekoladę. Przed udzieleniem odpowiedzi odgryzł spory kawałek.

– W piekle, panie prokuratorze.

czasami z nimi gadam, zawsze.

pamiętajom mieć. i ja ih tesz pamiętam, bo byłem jednym z nih.

wcionsz jestem.

ale teraz muwiom więcej, proszom mie o rużne żeczy. oblizujom mie ciepłymi jenzykami po uszach, chcom mie dotykać, robiom mi krzywdę.

to znak.

to ta hwila. tak. nadhodzi.

podpalimy czas i ogień stwoży nowy świat.

nowy czas dla nih.

dla nas.

dla wszystkich.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar opuścił szpital, czując się kompletnie rozbitym. Był blady. Terrorysty, myślał. Tylko oni są zdolni do czegoś takiego. Wrócili. Nie wiedział, jak powinien alarmować i czy w ogóle. Przetarł czoło chusteczką, którą dostał kiedyś od matki. Nieboszczyk. Matka. Nie może iść do niej w takim stanie. Musiał się uspokoić.

Szedł bez określonego celu. Odruchowo wrócił na plac Broni. Obraz zwęglonego ciała migotał w jego umyśle. Musiał usiąść i czegoś się napić. Tak. To najlepszy pomysł. Poszedł tam, gdzie zwykle, do restauracji, „El Huamanguino”, żeby napić się mate. Wszedł. Stojący w kącie telewizor emitował piracką, czarno-białą wersję *Titánica*. Za barem stała mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna. Nie widział jej wcześniej. Całkiem ładna. Usiadł.

– Co podać? – zapytała.

– Gdzie jest Luis? Wyglądała na urażoną pytaniem.

– Luis już tu nie pracuje. Teraz zostałam ja. Ale nie jestem taka straszna.

Pomocnik prokuratora zrozumiał, że popełnił gafę. Próbował się wytłumaczyć, ale nie bardzo mógł się wysłowić.

– Poproszę mate – tyle tylko zdołał powiedzieć. Zaśmiała się. Miała biały, łagodny i nieśmiały uśmiech.

– Jest pora obiadowa – powiedziała. – Przy stolikach trzeba zamówić jakieś danie. Musi pan coś zjeść.

Pomocnik prokuratora spojrział na pozostałe cztery stoły. Lokal był pusty. Zatęsknił za Luisem.

– To proszę mi przynieść... ten...

– Pstrąg jest świetny, proszę pana.

– No to pstrąga. I mate, poproszę.

Dziewczyna weszła do kuchni. Nie ubierała się zbyt wyzywająco. Nosila proste dżinsy i tenisówki. Włosy splecione miała w warkocz. Pomocnik prokuratora pomyślał, że może jednak ten nieboszczyk kwalifikował się na sprawę pod jurysdykcją wojskową. On wolał nie mieszać się do działań antyterrorystycznych. Tym zajmuje się armia. Lepiej się na tym znają. Spojrział na zegarek. Nie powinien zbyt długo tu siedzieć. Matka czeka. Dziewczyna

wróciła dopiero po piętnastu minutach ze smażonym pstrągiem i dwiema połówkami ziemniaka na talerzu. W drugiej ręce niosła filiżankę mate. Obsługiwała go uprzejmie, wręcz z zaangażowaniem. Pomocnik popatrzył na pstrąga. Wydawało się, że ryba spogląda na niego z talerza, cała nadpalona. Rozkroił ją na pół. Jedna z tych połówek wyglądała jak rozkładające się skrzydło, jak ramię. Puścił widelec. Spróbował się napić trochę mate. Odgarnął łyżeczką liście koki z powierzchni i przystawił dymiącą filiżankę do ust. Oparzyła go. Szybkim ruchem odstawił naczynie na stół. Nagle zrobiło mu się bardzo gorąco. Zza pleców dobiegł go sympatyczny śmiech.

– Musi pan mieć cierpliwość – powiedziała dziewczyna zza lady.

Cierpliwość.

– Tutaj wszystko idzie wolniej, nie tak jak w Limie – ciągnęła.

– Nie jestem z Limy, jestem z Ayacucho.

Spuściła wzrok i znów się uśmiechnęła.

– Skoro pan tak mówi... – stwierdziła.

– Nie wierzysz mi?

Zamiast odpowiedzi ona tylko przestała się śmiać. Nie spojrzała mu w oczy. Widział ją pierwszy raz. Była szczupła i bardzo elegancka w tej bluzce w kwiatki.

– Znasz Limę? – zapytał. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ale musi być piękna – dodała. – Wielka. Pomocnik prokuratora pomyślał o alei Abancay, pełnej mikrobusów zionących dymem i kieszonkowców. Pomyślał o domach bez kanalizacji w El Agustino, o morzu, o Parku Legend z cierpiącym na gruźlicę słoniem, o łysych i szarych wzgórzach, o meczu między Boysami i U, który kiedyś widział. O zamykających się drzwiach. O pustej poduszce.

– Jest wielka – odparł.

– Chciałabym tam pojechać – powiedziała. – I studiować pielęgniarstwo.

– Byłaby z ciebie świetna pielęgniarka.

Zaśmiała się. On także. Nagle poczuł ulgę. Znów przyjrzał się pstrągowi, który nie przestawał na niego patrzeć.

– Nie smakuje panu? – zapytała.

– To nie to. Chodzi o to... że muszę już iść. Ile płacę?

– Nie mogę panu nic policzyć. Jedzenie nieruszone.



– Ale ty wykonałaś swoją pracę.

– Proszę przyjść, jak pan zgłodnieje. Jedzenie mamy tu smaczne.

Pożegnał się z nią równie przyjemnym uśmiechem. Zdał sobie sprawę, że dawno już nie rozmawiał z kimś nieznanym. W Ayacucho ludzie nie odzywają się do siebie i zawsze egzekwują zapłatę. Są nieufni. Przez ten kontrast uprzejmość dziewczyny uświadomiła mu, jak samotny czuł się w tym mieście, w którym nie miał znajomych, choć wrócił do niego już rok temu. Rówieśnicy, których pamiętał z dzieciństwa, albo wyjechali, albo zmarli w latach osiemdziesiątych. Mieli wtedy po dwadzieścia parę lat, niezły wiek na tę pierwszą czynność i może nieco gorszy na drugą. Ruszył ulicą w stronę domu. Po chwili spostrzegł, że niemal biegnie. Jego dom był stary, ale dobrze utrzymany, ten sam, w którym mieszkał w dzieciństwie, odbudowany po katastrofie. Wszedł i ruszył do pokoju w głębi domu. Otworzył drzwi.

– Mamusiu?

Félix Chacaltana Saldívar podszedł do komody, w której matka trzymała swoje ubrania i fantazyjną biżuterię. Wyjął spódnicę i bluzkę i położył je na łóżku. Był to piękny mebel, nieduży, z baldachimem z rzeźbionego drewna.

– Powinienem był przyjść rano. Przepraszam. Bo wiesz, pojawił się jeden nieboszczyk, mamusiu, musiałem lecieć do roboty.

Przyniósł miotłę z kuchni i szybko pozamiatał w pokoju. Potem przysiadł na łóżku i popatrzył w stronę drzwi.

– Pamiętasz pannę Eufrazię? Tę, co chadzała z tobą na mate? Rozchorowała się, mamó. Posłałem jej obrazek z Matką Boską, żeby się jej poprawiło. Ty też się pomódl. Ja się modliłem, ale troszeczkę.

Ciepły powiew starości sprawił, że poczuł się dobrze. Poglaskał płótno prześcieradła.

– Pomódl się również za tego nieboszczyka z dzisiaj. Ja też zmówię pacierz. Przynajmniej strach człowiek odegna... Obawiam się, że terroryści wracają, mamusiu. Nie jestem pewien i nie chcę, żebyś się martwiła, ale to bardzo dziwne.

Wstał i przesunął dłonią po ubraniach leżących na pościeli. Powąchał je. Pachniały jego matką, zapachem utrzymującym się od lat. Otworzył okno, żeby pokój się odświeżył. Popołudniowe słońce świeciło prosto na łóżko matki.

– Czas się zbierać. Chciałem... chciałem tylko wpaść do ciebie na chwilę. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem... Nie przeszkadzam ci, prawda?

Przeżegnał się i otworzył drzwi, żeby wracać do biura. Rzucił ostatnie spojrzenie do środka. Zabolało go, bo po raz kolejny, jak co dzień od roku,

stwierdził, że w środku nikogo nie ma.

Wracając do domu, robił się spokojniejszy, czuł ulgę. Pokój jego matki rozluźniał go. Spędzał tam w środku całe godziny. Czasami, zwykle w nocy, przypominał mu się jakiś nowy szczegół, zdjęcie, figurka, które w jego dzieciństwie ozdobiły pokój matki. Od razu pędził na targ szukać czegoś podobnego, a jeśli nie znalazł, zamawiał kopię identyczną z wzorem przechowywanym przez pamięć. Powoli pomieszczenie zmieniało się w trójwymiarowy obraz jego nostalgii.

Kiedy dotarł do swojego biurka, zastał na nim kopertę z zaproszeniem na niedzielną defiladę instytucji państwowych. Zapisał godzinę w kalendarzu, napisał skargę do policji i zrobił kopie raportu lekarza. Na kserokopiach ślady po czekoladzie dobrze się maskowały. Wyglądały jak atrament. Potem napisał list do Ministerstwa Energetyki i Kopalń z zapytaniem, gdzie można by uzyskać temperaturę tak wysoką, żeby spalić ciało. I drugi do władz Quinui z prośbą o cztery kopie wszystkich zgłoszeń zaginięcia z datą wcześniejszą niż pierwszy styczeń bieżącego roku.

Resztę popołudnia spędził, zajmując się innymi aktualnymi sprawami, takimi jak donos na sąsiada wysłany przez jednego z obywateli, który oskarżał go o bycie pedałem. Pomocnik prokuratora sporządził odpowiedź na to pismo, wyjaśniając, że homoseksualizm w żadnym ze swych wariantów nie jest wykroczeniem, przestępstwem czy poważną zbrodnią, jako że nie ma na jego temat żadnych wytycznych w kodeksie karnym. Jednak gdyby wzmiankowana osoba nawiązywała kontakty z osobą fizyczną lub prawną mimo braku zgody drugiej z zainteresowanych stron, może to zostać sklasyfikowane jako wykroczenie przeciw czyjejs godności osobistej tudzież gwałt.

Zastanowił się, jak należałoby zachować się w przypadku gwałtu dokonanego przez jednego mężczyznę na drugim. Zdawał sobie sprawę, że nie mógłby ich skłonić do małżeństwa, bowiem takiej opcji prawo nie przewiduje. Może ten problem wymaga kolejnej konsultacji ze stosownymi władzami.

## Niedziela 12 marca / wtorek 21 marca

Uroczysta defilada wielkopostna po raz pierwszy odbyła się w roku 1994 zgodnie z dekretem uchwalonym na prośbę arcybiskupstwa. Zaczynała się od przemarszu różnych sił zbrojnych przed trybuną na placu Broni, które salutowały odpowiednim władzom państwa, Kościoła i armii. Po huzarach i rangerach, i to zawsze przy dźwiękach orkiestry Narodowej Policji, maszerowały różne szkoły i placówki edukacyjne, a jeden z urzędników przedstawiał je przez głośniki:

– Szkoła imienia Marii Parado de Bellido: powołana do życia rozporządzeniem ministerialnym numer 000578904 i zarejestrowana ustawą miejską 887654333, szkoła ta już od dwóch lat kształci młode szwaczki ayacuczańskie, świadcząc tym samym wielkie przysługi narodowemu rzemiosłu. Liceum imienia Daniela Alcidesa Carrióna: powołane do życia rozporządzeniem ministerialnym...

Pomocnikowi prokuratora rejonowego Feliksowi Chacaltanie Saldívarowi podobały się takie pochody, dźwięczny przemarsz narodowych symboli. Mundury sprawiały, że czuł się pewny i dumny, młodzi uczniowie napawali go ufnością w przyszłość, sutanny gwarantowały poszanowanie tradycji. Cieszyło go słuchanie hymnu narodowego i marszu flagi, błyski trąbek i galonów. Siadał dumnie w służbowej łoży, w swoim najlepszym czarnym garniturze, dobrym krawacie i z chusteczką w kieszeni. W zeszłym roku, zaraz po powrocie, wziął aktywny udział w wydarzeniu, recytując wiersz Joségo Santosa Chocano, i zebrani bardzo go oklaskiwali w uznaniu powagi recytacji i starannej dykcji.

Już nie tak bardzo przepadał za tym, co działo się później, kiedy kończyła się defilada i mundurowi zbierali się na przyjacielskim koktajlu w pomieszczeniach ratusza. W zeszłym roku zaproszono go tam ze względu na tę recytację. Może przez pomyłkę. Chociaż poczytywał sobie za zaszczyt, że wliczano go do funkcjonariuszy wyższej rangi, nigdy za bardzo nie wiedział, co w takich sytuacjach mówić. Przedstawiciele władz kręcili się wokół niego z różowym winem w dłoni, ale nigdy przy nim nie przystawali. Liczni dowódcy niższego i średniego szczebla zagadywali go, ale zawsze patrząc w inną stronę, szukając jakiejś ważniejszej osoby, do której można by podejść. Łatwiej się z nimi porozumiewać na piśmie.

Im dłużej trwał koktajl i im więcej wypijano alkoholu, tematy coraz częściej sprowadzały się do jednego: do wylizania pożądanых kobiet i szczegółowych rozważań nad hipotetycznym erotycznym spotkaniem. A

pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar chwilowo nie pożył żadnej kobiety. Uczestniczył w tych licytacjach, przytakiwał i zastanawiał się, próbując sobie przypomnieć jakąś kobietę, która zwróciła jego uwagę, kiedy dane mu będzie się odezwać, przynajmniej jednym słówkiem. Dlatego zazwyczaj wolał nie uczestniczyć w takich spotkaniach, chętniej zostawał w domu i porządkował maminy pokój albo czytał samotnie wiersze Joségo Santosa Chocano. Lubił małe pomieszczenia, w których nikt nie mógł go usłyszeć. Ale teraz miał powód, żeby iść. Musiał porozmawiać z kapitanem Pacheco, który wciąż nie zareagował na jego żądania. Sprawa tej wagi powinna trafić do najwyższych sfer możliwie jak najszybciej.

Wchodząc na salę, natknął się na sędziego Briceño, niziutkiego i nerwowego mężczyznę o oczkach i zębach przywodzących na myśl świnkę morską. Przywitali się. Sędzia zapytał:

– I jak tam leci w prokuraturze? Przyzwyczaiał się pan już do Huamangi?

– No cóż, tak się akurat składa, że prowadzę sprawę ogromnej wagi...

– Ja chcę sobie zafundować auto, Chacaltana. Jakiś tico, nic specjalnego. Ale sędzia musi mieć samochód. Prawda? No, bo jak to tak...

– W rzeczy samej. Prowadzona przeze mnie sprawa jest związana z denatem, który...

– Tico czy datsun? Bo jest trochę datsunów z lat dziewięćdziesiątych z niedużym przebiegiem...

Sędzia rozwoził się nad tym zagadnieniem przez dziesięć minut, aż Chacaltana spostrzegł kapitana Pacheco, który nieopodal wiszącego na ścianie godła narodowego gawędził z jakimś urzędnikiem w błękitnym krawacie oraz z wojskowym w mundurze. Sędzia Briceño zauważył, w którym kierunku biegnie jego spojrzenie.

– Widzę, że wysoko pan mierzy – stwierdził wyrozumiale.

– Przepraszam?

– Komendant Carrión – powiedział sędzia. Pomocnik prokuratora zrozumiał, że chodzi o wojskowego.

– Jasne, wysłałem do niego kilka raportów – odparł.

– Tak? A po co? Awansować pan chce?

– Co? A nie, nie. – Zastanowił się. – Znaczy, wie pan, zawsze chce się służyć jak najlepiej...

– Jasne, jak najlepiej. Rozumiem. Tutaj on rządzi. Prokurator rejonowy wiele razy słyszał tę pogłoskę, ale miał pewność, że hierarchia ministerialna

jest zupełnie niezależna od wszelkich nacisków czy wpływów. Chciał odpowiedzieć w tym duchu, ale nie udało mu się tego zrećcznie ubrać w słowa.

– Jasne – przytaknął w końcu od niechcienia.

Sędzia opowiadał jeszcze o dwóch modelach samochodów, aż w końcu dostrzegł kogoś ważniejszego i zostawił pomocnika prokuratora samego. Wówczas ten podszedł do Pacheco i jego towarzyszy i przywitał się z żołnierskim dygiem. Nikt go nie przedstawił, wszyscy rozmawiali dalej. Pomocnik prokuratora podniósł nieco głos i przemówił do kapitana Pacheco:

– Najmocniej przepraszam, kapitanie, dzień dobry... Byłem w tym tygodniu w pańskim biurze w związku ze sprawą tego denata...

Pacheco perorował na temat przewag karabinów FAL nad bronią krótkiego zasięgu. Przerwał. Wyglądało na to, że ta interwencja była mu nie w smak.

– Tak, tak, nie dałem rady odpowiedzieć ze względu na liczne obowiązki. Prześle panu raport, Chacaltana.

– Ja już mój sporządziłem, ale pański jest mi potrzebny, żeby potwierdzić zgodność.

Wojskowy zaśmiał się. Urzędnik wyglądał na niespokojnego. Policjant nie chciał wnikać w temat. Powtórzył:

– Naprawdę mi przykro. Prześle panu dokument jak najszybciej...

– W każdym razie interesuje mnie bardzo, czy były zgłoszenia o zaginięciach w ciągu ostatnich miesięcy w okolicach Quinua.

Jego pytanie wywołało lekką konsternację rozmówców. Wojskowy, obserwujący dotąd pomocnika prokuratury z ironią, postanowił się włączyć:

– Już z powodu samego karnawału zagięło pewnie z pięćdziesiąt procent wiernych mężów.

Zaśmiali się wszyscy prócz pomocnika prokuratora rejonowego Feliksa Chacaltany Saldívar, który nalegał:

– Potrzebuję tej informacji, żeby uzupełnić raport. Jeśli mógłbym liczyć na rychłe wieści...

Zauważył, że przestali się śmiać. Wojskowy spojrział na pomocnika prokuratora ze zdziwieniem. Policjantowi nie pozostało nic innego, jak dokonać prezentacji. Najpierw przedstawił cywila, Cariosa Martina Eléspuru ze Służby Wywiadowczej. A potem komendanta Alejandro Carrióna Villanueva.

– Tak. Przesłałem panu kilka raportów – przywitał się pomocnik prokuratora.

Nie sądził, żeby wojskowy mógł zajmować się awansami, ale być może potrafił przyśpieszyć niektóre sprawy. Jego obecność mogła skłonić policjanta do efektywnych działań. Kapitan nie będzie mógł się wymigiwać od wypełniania obowiązków w towarzystwie oficera armii. Ale komendant spojrzał na pomocnika prokuratora z powagą.

– Informacje na temat zaginięć objęte są klauzulą tajności – powiedział. – Jeśli chce pan jakieś dane, mnie musi pan zapytać. Nie udzieleniu panu żadnej informacji, ale pismo może pan wysłać.

– No bo jeśli jest jakiś zaginiony, może nim być nasz nieboszczyk.

Komendant wydawał się zirytowany impertynencją cywila. Eléspuru zachowywał milczenie. Komendant wziął kolejny kieliszek z tacki niesionej przez kelnera. W szkle błyszczał różowy płyn. Nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– A, to pan bada sprawę rogacza!

Znowu wszyscy w śmiech, prócz Feliksa Chacaltany Saldívarra.

– Rogacza, panie oficerze? Komendant wesoło pociągnął z kieliszka.

– Ten facet, którego spalili w Quinua. Rogacz musiał się nieźle wkurzyć, co?

– Obawiam się, że jest zbyt wcześnie, by mieć pewność, co tam zaszło, proszę pana.

– Daj pan spokój, Chacaltana. Trzy dni karnawału i facet ginie. Zazdrość. Poszło o babę. Co roku się zdarza.

– Nikt nie zgłosił się po ciało...

– Bo oni nigdy niczego nie mówią. Jeszcze pan tego nie zauważył? Wieśniacy wolą się nie pokazywać, zawsze się kryją.

– Właśnie dlatego nie zabiliby w ten sposób, komendancie. Nie tak brutalnie.

– Ach nie? Powinien mnie pan zobaczyć po trzech dniach pijaństwa.

Pomocnik prokuratora rozważał przez chwilę prawny aspekt tej wypowiedzi. Kiedy tak myślał, komendant jakby o nim zapomniał. Dołączył do wesołości tamtych dwóch i rozmawiał dalej. Powiedział coś o żonie burmistrza. Parsknęli śmiechem. Kiedy Chacaltana wyglądał już tylko na element dekoracyjny sali, zdecydował się odpowiedzieć wojskowemu.

– Pan wybaczy, komendancie. Ale obawiam się, że pański tryb rozumowania nie jest oparty na fundamentach prawnych.

Komendant zamilkł. Mężczyzna w błękitnym krawacie wyglądał na niespokojnego. Kapitan Pacheco zaczął rozwódzić się nad wystawnością obchodów wielkopostnych. Mówił bardzo głośno. Komendant nie spuszczał wzroku z pomocnika prokuratora, który nie miał żadnych wątpliwości co do swojego argumentu. Tak. Postępował słusznie. Być może doceniwszy jego profesjonalną postawę, komendant uzna go za godnego każdej rekomendacji. Oficer powiedział:

– A co pan sugeruje?

Policjant zamknął usta. Pomocnik prokuratora dostrzegł w tym swoją szansę, by zwrócić uwagę na rangę sprawy i błysnąć dedukcyjnymi umiejętnościami:

– Nie odrzucałbym całkowicie możliwości, że to atak Szlaku.

Wypowiedział to. Cisza, która zapadła, wydawała się ogarniać całą salę, całe miasto. Pomocnik prokuratora wyobrażał sobie, że dzięki tej informacji sprawa zostanie potraktowana poważniej. To śledztwo najwyższej rangi. Jurysdykcja cywilna i prokuratura generalna będą współpracować z prokuraturą wojskową w imię przyszłego dobra kraju. Komendant zdawał się rozmyślać nad tym, co powiedział Chacaltana. Po dłuższej chwili przerwał ciszę głośnym śmiechem. Pacheco wahał się przez moment, ale potem też zaczął się śmiać. Następnie mężczyzna z błękitnym krawatem, Eléspuru. A potem reszta sali i całego świata zaczęła się śmiać, najpierw troszeczkę, a potem coraz głośniej, aż powietrze drżało.

– Pan ma paranoję, panie prokuratorze. Tutaj nie ma już Świetlistego Szlaku.

I obrócił się na pięcie, kończąc rozmowę. Dumny ze swej wiedzy archiwisty, pomocnik prokuratora argumentował:

– Upływa dwadzieścia lat od pierwszego zamachu... Komendant machnął ręką, jakby odpędzał słowa Chacaltany.

– Bzdury! Wykończyliśmy ich wszystkich.

– Pierwszego zamachu dokonano podczas wyborów... Oficer zaczynał tracić cierpliwość.

– Pan ze mną dyskutuje, Chacaltana? Pan mnie nazywa kłamcą?

– Nie, ale...

– A może pan jest jednym z tych rozpolitykowanych prokuratorów, co?

Może pan sympatyzuje z APRA<sup>1</sup> albo z komunistami, he? Może ma pan zamiar sabotować wybory? Tego pan chce?

Zaskoczony tym nieoczekiwanym zwrotem w rozmowie, pomocnik prokuratora otworzył szeroko oczy i zaczął się szybko tłumaczyć:

– W żadnym razie. Jeśli dojdzie do bojkotu wyborów, może być pan pewien, że kiedy tylko otrzymam formalny donos, niezwłocznie otworzę śledztwo w tej sprawie.

Komendant zaskoczony spojrział na pomocnika prokuratora. Nie wierzył własnym oczom. Potem znów się zaśmiał. Tym razem powoli, paternalistycznie.

– Jest pan wzruszający, Chacaltana. Ale ja pana rozumiem. Krótco tu pan u nas jest, prawda? Nie zna pan Indiańców. Widział pan, jak się naporzają podczas dożynek? Brutalni są.

Pomocnik prokuratora kilka razy uczestniczył w tym święcie. Przypomniiał sobie bijatykę. Mężczyźni i kobiety, nieważne. Wszyscy wala się po twarzach, bo tam leci najwięcej krwi. Wierzą, że ich krew użyźni ziemię. Przypomniiał sobie krwawiące nosy i podbite oczy. Pomocnik prokuratora klasyfikował te obchody jako „przemoc dopuszczalna w ramach obrzędów religijnych”. Różne dziwne rzeczy robi się z powodów religijnych.

– A Turupukllay? – ciągnął komendant. – Co pan na to? Nie jest krwawo?

Pomocnik prokuratora pomyślał o święcie Turupukllay.

Inkaski kondor przywiązany za łapy do grzbietu hiszpańskiego byka. Byk miota się gwałtownie i wykrwawia, potrząsając potężnym ptaszyskiem, które wali go dziobem w łeb i rozdrapuje kark. Kondor próbuje się wyrwać, byk stara się go uderzyć i przewrócić. Walkę zwykle wygrywa kondor, ale jest zwycięzcą oskubanym i poranionym.

– To jest obyczaj ludowy – powiedział nieśmiało. – A nie terroryzm...

– Terroryzm? A, rozumiem. A masakrę w Uchuraccay pamięta pan?

Chacaltana pamiętał. Miał wrażenie, jakby to było świeże wspomnienie. A miało prawie dwadzieścia lat. Jego pamięć zalały trupy, kawałki ciał zasypane ziemią, niekończące się przesłuchania w keczua. Czuł ulgę, że czasy się zmieniły. Nie chciał się odzywać. Czuł, że to odległe sprawy, które lepiej zostawić w spokoju.

---

<sup>1</sup> APRA (Alianza Popular Revolucionaria Americana – Amerykański Rewolucyjny Sojusz Ludowy) – jedna z najstarszych lewicowych peruwiańskich partii politycznych, często delegalizowana przez rządy prawicowe i wojskowe (przyp. tłum.).



– To ja panu przypomnę Uchuraccay – ciągnął komendant. – Wieśniacy nie zadawali tym dziennikarzom żadnych pytań. Nie mogli, przecież nawet nie znali hiszpańskiego. To byli obcy, podejrzani. Po prostu ich zlinczowali, wlekli dziennikarzy przez całą wieś, dźgali nożami. Tak ich wymęczyli, że nie mogli ryzykować reperkusji. Zamordowali jednego po drugim i ukryli ciała, jak najlepiej umieli. Sądziłem, że nikt się nie połapie. A co pan myśli o wieśniakach? Że dobrzy są? Niewinni? Ze zajmują się ganiem po polach z piórkiem we włosach? Nie bądź pan naiwny, Chacaltana. Niech pan nie widzi rumaka, patrząc na psa.

Chacaltana pobladł. Próbował wyartykułować odpowiedź:

– Ja tylko... myślałem, że jest taka możliwość...

– Pan za dużo myśli, Chacaltana. Niech pan sobie wbije do głowy jedno: w tym kraju nie ma terroryzmu na wyraźny rozkaz z góry. Czy to jasne?

– Tak, panie oficerze.

– Niech pan tego nie zapomina.

– Nie, panie oficerze.

– Chcę zobaczyć pański raport, jak już pan zamknie sprawę. Proszę mnie informować na bieżąco o postępach w śledztwie. Może to jeszcze nie moment, żeby przekazywać sprawę jurysdykcji cywilnej.

Komendant odwrócił się plecami i poszedł. Félix Chacaltana Saldívar, pomocnik prokuratora rejonowego, nie zdołał uzyskać tego popołudnia potrzebnego raportu policji.

W poniedziałek trzynastego Chacaltana obudził się raptownie o 6.45 rano. Cały spocony. Przyśnił mu się koszmar. Śnił mu się ogień. Potężny pożar rozprzestrzeniający się na całe miasto, a potem na pola, niszczący wszystko. W tym śnie on leżał w łóżku i czuł, że w sypialni zaczyna padać deszcz. Kiedy wstał, zrozumiał, że to pada krew, że każdy milimetr jego pokoju wypaca czerwoną i ciepłą ciecz. Chciał uciekać, ale dom był zalany. W głębi korytarza widać było otwarte drzwi, a w nich krzyczącego człowieka. Chacaltana próbował do niego podejść, ale czerwone bagno mu to uniemożliwiało. Krew ciekła po ścianach, perląc się jak lepki i gorący pot. Z wnętrza pomieszczenia widniejącego w głębi tamten człowiek wyciągał rękę do Chacaltany. Jego twarz była niewidoczna, ale pomocnik prokuratora wiedział kto to i chciał mu pomóc, tylko że z trudem zanurzał się w cieczy. Kiedy zaczął tonać, poczuł metaliczny smak w ustach i płucach, obudził się nagle.

Poszedł do łazienki. Wody nie było, ale pomocnik prokuratora miał zapasowy pojemnik, który w takich razach pozwalał mu na przemycie części wstydlivych i zmoczenie głowy. Odkręcił kurek drżącą ręką. Z ulgą stwierdził,

że w pojemniku jest tylko woda. Umył się i zaczesał włosy do tyłu, tak jak uczyła go matka, kiedy był chłopcem, tak jak czesał się każdego dnia życia. Następnie skierował się do pokoju matki i otworzył okno. Wpuścił powietrze i przywitał się. Potem wziął portret pani Saldívar de Chacaltana i zabrał ze sobą na śniadanie. Wybrał zdjęcie, na którym był także on w wieku pięciu lat, przytulony do matki. Ona się uśmiechała.

Jedząc na śniadanie chleb z serem i popijając mate, wyrecytował przed portretem swój plan zajęć na cały dzień i spis wszystkich dokumentów, które zamierzał dokończyć. Nie zapomniał o obiedzie w „El Huamanguino”, żeby uregulować dług u młodej barmanki. Przez resztę poranka spędzonego w biurze w jego głowie odbijały się echem słowa wypowiedziane poprzedniego dnia przez komendanta. Poszło o babę. Jeśli komendant mówi, że poszło o babę, to poszło o babę i kropka. W końcu komendant sporo w życiu walczył. I wie lepiej. Zdaniem pomocnika prokuratora coś tu nie grało. Ale Chacaltana był poważnym i uczciwym urzędnikiem. Nie powinien mieć żadnego zdania. Poza tym komendant poprosił go o raporty. Przeczyta je osobiście. To wielka szansa. Pomyślał o swojej byłej żonie Cecili. Może w ten sposób pokaże jej, na co go stać. Tak naprawdę już go specjalnie nie obchodziła, to tylko kwestia dumy. On jest kimś.

Okolo pory obiadowej i bez żadnego uprzedzenia słowa komendanta zaczęły przeplatać się w jego głowie ze wspomnieniem stołu u lekarza sądowego, do tego stopnia, że nie mógł skupić się na pracy. Jego umysł nagle pokazywał mu twarz nieboszczyka spowitą dymem, zagłębienie na wysokości ramienia, czarną skórę. Przemoc. Zazdrość. Słowo „terrorysta” zaczynało nabierać kształtu w jego umyśle. Przypomniało mu o wysadzaniu słupów wysokiego napięcia. O syrenach karetek pogotowia. Znow pomyślał o matce, żeby zapełnić sobie głowę innymi obrazami. Ale udało mu się tylko przywołać obraz ognia.

Żeby zająć czymś umysł, postanowił wyjść dokładnie w godzinie przerwy obiadowej, a nie, jak to miał w zwyczaju, piętnaście minut później. Wyszedł z prokuratury i udał się do wiadomej restauracji. Za ladą uwijała się ta sama dziewczyna, tyle że teraz miała na sobie spodnie z czarnego materiału i buty na niskim obcasie. Bluzka była podobna. Różowa. W kwiatki. Tym razem włosy miała zebrane w kok.

– Miło, że pan wrócił. Pański stolik jest gotowy.

Miał już swój stolik, jak jakiś stały klient. Było to jedyne miejsce poza jego domem, w którym miał swój stół. Ten sam, przy którym siedział ostatnio, przy drzwiach. I rzeczywiście, nakrycie już leżało na blacie. Restauracja znow była pusta. Dziewczyna oznajmiła:

– Dziś mamy świnę morską z patelni.

Pomocnik prokuratora zaakceptował menu skinieniem głowy. Kiedy wyszła do kuchni, popatrzył na telewizor zamocowany na ścianie. Na ekranie jakaś kobieta okładała mężczyznę w telewizyjnym studiu, w otoczeniu publiczności żywo reagującej na szarpanie za włosy i ugryzienia. Pomocnik prokuratora zdołał się zorientować, że ona była jego narzeczoną, a on zdradził ją z jej siostrą, kuzynką i cioteczną babką. Więcej nie chciał wiedzieć. Dwanaście minut później dziewczyna wyszła z kuchni. Podała mu świnę i kole Inca. Pomocnik prokuratora przysunął sobie talerz i zobaczył pyszczek gryzonia. Miał otwartą mordkę i długie, agresywne siekacze. Félix Chacaltana miał wrażenie, jakby to świnka morska chciała pożreć jego. Puścił sztucce.

– Nie jest bardzo gorące – tłumaczyła się dziewczyna.

– Dziękuję. Ja tylko... zamyśliłem się.

– Pan to dużo myśli, nie?

Pan za dużo myśli, Chacaltana.

– Nie, ja... no, taka praca.

– A o czym pan tak дума? Można wiedzieć?

Zaśmiała się, jakby zadała bardzo cwane pytanie. Pomocnik prokuratora Félix Chacaltana Saldívar starał się wymyślić jakieś przekonujące łgarstwo.

– O pewnym nieboszczyku – powiedział.

Już matka mówiła mu, że nie umie kłamać. Dziewczyna nie wyglądała na zaskoczoną. Zabrała się do zmywania.

– Sporo ich tu – zauważyła. – Tak.

– Ja z nimi rozmawiam.

– Poważnie?

– Z tatą i mamą. Odwiedzam ich na cmentarzu i rozmawiam, zanoszę im kwiaty.

– No tak. Ja też. Chodzę do matki. Wciąż jest mi bardzo bliska.

Nagle poczuł się dobrze. Jak w domu. Dziewczyna odwróciła się. Nie przestając zmywać, wskazała nosem talerz ze świną.

– Nie je pan?

– Tak, jem... Już się biorę.

Próbował nabić kawałek mięsa na widelec. Kości trudno było odróżnić od skóry. Najwygodniej wziąć to do ręki. Dotknąć. I ugryźć. Na ekranie ten sam

mężczyzna zbierał ciosy, teraz już od dwóch osób.

– Co by pan chciał, żeby zrobili z pańskim ciałem po śmierci? – zapytała dziewczyna, wycierając naczynia ścierką.

– Proszę?

– Ja tobym nie chciała na cmentarz. To jakby... mieć dom, w którym nikt nie mieszka. I moja rodzina musiałaby tam chodzić. W końcu by im się znudziło. I przestaliby.

– Mogliby cię pochować w twoim domu. – Nie. Mam malutkie mieszkanie. – Wytarła ręce. – Chyba pan nie przepada za świnkami morskimi, co?

– Ależ nie! Jest pyszna. Tylko... tylko że chętnie popiłbym to mate... jeśli można.

– Dziś mamy tylko kawę.

– Może być kawa.

– Kawa do świnki? Dziwny pan jest, panie...

– Félix. Mów mi Félix.

– Panie Félix.

– Samo Félix. Poproszę.

Zdjęła z ognia wrzątek i naląła go do filiżanki. Postawiła ją na stole, a obok dzbanuszek z kawą. Pomocnik prokuratora nalął esencji do gorącej wody. Barwa kawy zaczęła rozprzestrzeniać się w cieczy jak ciemna krew. Pomocnik prokuratora nie cierpiał ayacuczańskiej kawy. Wodnistej. Słabej.

– Ja bym chciała, żeby mnie skremowano – odezwała się dziewczyna.

– Proszę?

– No, skremowano. Żeby mnie spalili na popiół. Dzięki temu moja rodzina mogłaby mnie trzymać w domu i zaglądać, kiedy zechcą.

Piec. Ogień. Piec krematoryjny. Kocioł karmiony ludźmi. To przecież takie proste.

– A gdzie można zrobić coś takiego?

– W kościele Serca Chrystusowego. Oni mają piec. Nawet mam bliżej z domu niż na cmentarz.

– Mają coś takiego? Kościoły przecież nie miewają pieców.

Pomocnik prokuratora pytał, jakby był jakimś turystą. Ona znów się zaśmiała. W kąciку ust błysnęła srebrna plomba w świetle dnia.

– Ten akurat ma. A pan? Pan by się kazał pochować, prawda?

– Muszę iść.

Poderwał się z poczuciem, że w głowie coś mu buzuje. Może zdąży wpaść do tego kościoła przed końcem przerwy obiadowej. A nawet jeśli nie zdąży, to spóźnienie może uzasadnić sprawami służbowymi. Nie planował tego rano, ale może ta wizyta umożliwi mu skorygowanie wcześniejszych ustaleń. Może znajdzie tam dowód na to, że to nie terroryści. Zazdrość. To musiało stać się przez zazdrość.

Dziewczyna patrzyła, jak wstaje od stołu. Wyglądała na rozczarowaną.

– Mógł pan przynajmniej spróbować, żeby móc powiedzieć, że nie smakowało!

– Ale nie... nie rozumiesz. Problem w tym, że bardzo mi się śpieszy. Obiecuję, że jutro... Jak się nazywasz?

– Edith.

– Edith, jasne. Obiecuję, że jutro wrócę i zjem porządnie. Naprawdę, daję słowo.

– Dobra, niech już pan lepiej pędzi.

Pomocnik prokuratora chciał powiedzieć coś zabawnego. Ale umiał myśleć tylko o zazdrości. Wyszedł z lokalu. Dotarł do rogu. Przypomniało mu się, że powinien zapłacić rachunek. Nie chciał, by pomyślała, że nadużywa jej uprzejmości. Zawrócił i ruszył do restauracji. Potem stwierdził, że jeśli zapłaci, ona pomyśli, że już nie przyjdzie. Stojąc na środku ulicy, zawahał się, co robić. Spojrzał na zegarek. Pójdzie na komisariat i do kościoła. Lepiej się nie rozpraszać w czasie pracy. Rzucił ostatecznie spojrzenie na restaurację. Edith ścierała blat stołu. Odczekał, aż podniesie głowę. Aż pomacha mu na pożegnanie. Skończyła ścierać, a potem trochę pozmiatała. Spojrzała w niebo. Było czyste. Później znów zniknęła w głębi lokalu. Pomocnik prokuratora pomyślał o piecu. Edith zupełnie nieświadomie przysłużyła się sprawiedliwości.

Wrócił tą samą drogą do restauracji. Wszedł. Edith zdziwiła się na jego widok. Powiedział:

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co.

Uśmiechnęła się. Zdał sobie sprawę, że też się uśmiecha. Już spokojniejszy, Félix Chacaltana Saldívar ruszył dalej.

Wszedł do komisariatu, gdzie przyjął go ten sam sierżant co poprzednio.

– Dzień dobry, szukam kapitana Pacheco.

– Kapitana Pacheco?

– W *rzeczy* samej.

Sierżant ponownie zanotował dane pomocnika prokuratora na kartce papieru i zniknął w biurze. Wyszedł po dziewięciu minutach.

– Kapitan jest w tej chwili absolutnie zajęty, ale prosi, żeby pan przesłał pismo w swojej sprawie, a on się nim skrupulatnie zajmie.

– Ale śledztwo powinno być prowadzone przez policję. Nie mogę pracować, jeśli nie znam jego rezultatów.

– No, ja pana rozumiem, oczywiście. Wszystko przedłożę kapitanowi.

Kościół Serca Chrystusowego wznosił się poza centrum, tam gdzie zaczynało się zbocze góry. Jego nawa główna była całkowicie wyłożona drewnem i pełna złocień, a witraże wyobrażały stacje męki Pańskiej. W jednym z rogów stał ołtarz z Matką Boską Bolesną z siedmioma sztyletami w piersi. Z drugiej strony, w pobliżu zakrystii, wisiał obraz Chrystusa ciągnącego krzyż na Golgotę. Przed każdym ze świętych wizerunków paliły się krótkie, czerwone świece. Obraz ukrzyżowanego Chrystusa górował nad ołtarzem głównym. Félix Chacaltana zwrócił uwagę na jego ponurą nagość, na krople krwi ciekące po jego twarzy, na rany w rękach i stopach przebitych gwoździami, na cięcie widoczne w boku.

Czyjaś ręka dotknęła go w ramię.

Pomocnik prokuratora przestraszył się. Za jego plecami stał ksiądz wciąż jeszcze odziany w szaty liturgiczne. Trzymał w dłoni kilka przedmiotów ze srebra i szkła. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i niewiele włosów.

– Mogę w czymś pomóc? Jestem ojciec Quiroz, proboszcz Serca Chrystusowego.

Pomocnik prokuratora towarzyszył księdzu przy chowaniu przedmiotów w zakrystii, wyjaśniając jednocześnie powód wizyty. Na ścianie wisiał namalowany techniką światłocienia portret Chrystusa, wznoszącego ręce do Pana. Podziurawione ręce. Korona cierniowa zaciskała się na jego głowie niczym czerwono-zielony diadem. Chacaltana chciał powiedzieć coś miłego.

– Bardzo piękny ten kościół – przyszło mu do głowy.

– Tak, teraz jest tu ładnie – zgodził się ksiądz, wkładając hostie do plastikowego pudełka. – Odrestaurowaliśmy go w ciągu ostatnich lat dzięki dofinansowaniu rządowemu, ten i pozostałe. Mamy w tym mieście trzydzieści trzy kościoły, panie prokuratorze. Tyle ile lat miał Jezus. Ayacucho to jedno z najpobożniejszych miast w kraju.

– Religia zawsze stanowi pocieszenie. Zwłaszcza tutaj... tylu zmarłych.

Ksiądz starannie wypolerował patenę i kielich.

– Czasami sam nie wiem, panie prokuratorze. Indian tak trudno zrozumieć. Widział pan kiedyś kościoły w Juli, w Puno?

– Nie.

Quiroz zdjął zielony, złożony ornat oraz sznur obwiązujący albę w pasie. Złożył szaty i wsunął je ostrożnie do szuflady, żeby się nie pomięły. Każdy z jego gestów wyglądał jak jeszcze jeden rytuał mszalny, jakby wszystkie ruchy jego rąk miały konkretne znaczenie. Powiedział:

– To są kościoły odkryte, na wolnym powietrzu jak zagrody. Jezuiti zbudowali je w czasach kolonialnych, żeby nawracać Indian, skłonić ich do uczestniczenia we mszy, bo oni oddawali cześć tylko słońcu, rzece, gór. Rozumie pan? Nie pojmowali, po co praktykować kult w zamkniętym pomieszczeniu.

– I poskutkowało?

Duchowny zabrał się do zamykania kluczykiem wszystkich szuflad, do których powkładał mszalne przybory. Kluczyk nałożony był na wielką obręcz.

– O, tak, pozwoliło zachować pozory. Indianie uczestniczyli we mszach zachwyceni i tłumnie... Modlili się i nauczyli pieśni, nawet przystępowali do komunii. Ale nigdy nie przestali czcić słońca, rzek i gór. Ich łacińskie modły były tylko recytowane. W głębi duszy wciąż wielbili swoich bogów, swoje *huacas*. Przechytrzyli jezuitów.

Ojciec Quiroz stanął przed pomocnikiem prokuratora. Był wysoki. Félix Chacaltana pomyślał, że powinien dodać coś do tej rozmowy. Zastanawiał się, co powiedziała by komendant Carrión. Zapytał:

– A ksiądz co by sugerował?

– Do prawdziwej wiary dojść można tylko przez cierpienie. Przyjemność i natura są cielesne, ziemskie. Dusza pełna jest bólu. Chrystus oddał krew i życie, żeby nas zbawić. Pokuta to jedyna droga do ludzkiego serca. Chce pan żebyśmy teraz zesli?

Pomocnik prokuratora przytaknął. Nie do końca zrozumiał te słowa o bólu. Jemu ból generalnie się nie podobał. Wyszli z kościoła i przemierzili krótką uliczkę prowadzącą do małej plebanii. W salonie zgromadzono sporo starych mebli, kartonowych pudeł i kościelnych ozdób. Quiroz wydawał się tym zawstydzony. Powiedział:

– Proszę wybaczyć bałagan. Zwykle przyjmuję ludzi w biurze parafialnym. Tutaj wchodzi tylko ja i tylko, żeby się położyć spać. Piec jest na dole.

Pomocnik prokuratora skomentował:

– Myślałem, że katolicy nie korzystają z krematoriów.

– Nie korzystamy. Ciało musi doczekać do dnia Sądu Ostatecznego, żeby zmartwychwstać razem z duszą. Piwnica plebanii służyła jako magazyn. Krematorium zbudowano dopiero w latach osiemdziesiątych na prośbę władz wojskowych.

– Władz wojskowych?

Zatrzymali się przed masywnymi drzwiami z drewna. Ksiądz wyciągnął klucz i otworzył je. Przez nimi pojawiły się prowadzące w dół wilgotne i ciemne schody. Wspierając się o ściany, zeszli do piwnicy. Czuć tam było kadzidłem i stęchlizną.

– Zbyt wiele trupów. Miasto często było oblegane i cmentarze się przepełniły. Trzeba było coś zrobić z ciałami.

– A dlaczego tutaj je palono?

– W czasie wojny każda prośba armii jest rozkazem. Dowództwo uznało, że to my powinniśmy zajmować się ludźmi po ich śmierci. Ich zdaniem logiczne jest, że piec należy do nas.

Na dole odrobina światła padała z wysoko umieszczonego okienka z matową szybą, które wychodziło na uliczkę. Ksiądz zapalił lampę u sufitu. Była to biała jarzeniówka, jak u lekarza sądowego, tyle że okrągła. Kiedy już rozbłysła, pokazało się wiele pudeł upchniętych w jednym rogu. A obok nich, w murowanej ścianie, otwór z metalowymi drzwiczkami i kratą. Z jednej strony wystawał komin, który pewnie wychodził przez dach. Ksiądz objaśniał działanie urządzenia, jakby to był piec chlebowy. Ciało wsuwa się do środka wertykalnie, spoczywające na kracie. Ogień podsycany jest gazem i otacza równomiernie ciało, żeby je spalić na popiół. Resztki zbierane są do hartowanego, żaroodpornego pojemnika z metalu, z którego zsypuje się je do urny albo innego naczynia, gdzie spoczną na zawsze.

– Od dawna z niego nie korzystamy. Tutejsi są bardzo przywiązani do ziemi. A i mnie nie bardzo podoba się idea niszczenia ciała. Tylko Bóg ma prawo nim dysponować.

Pomocnik prokuratora wsunął rękę do środka. Dotknął ścian, drzwiczek. Były zimne.

– Czy to możliwe, że w ciągu ostatnich dni ktoś użył pieca bez księdza zgody?

– Tutaj niczego nie można zrobić bez mojej zgody. Proboszcz poprawił krzyż wiszący na ścianie. Był czarny i bez postaci Jezusa. Po prostu czarny



krzyż na szarym tle. Pomocnik prokuratora odegnał myśl o zwęglonym krzyżu na czole denata.

– A czy w noc zdarzenia zauważył ksiądz coś dziwnego? Jakiś hałas? Coś nietypowego?

– Nie wiem, panie prokuratorze. Nie wiem, która to jest ta noc zdarzenia.

– Nie mówiłem tego? Przepraszam. To była środa, ósmego. Dokładnie po zakończeniu karnawału. Ciało znaleziono w dniu zgonu.

Duchowny wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

– Jakże stosownie.

– Co ma ksiądz na myśli?

– Środa Popielcowa. To czas oczyszczania ciał po pogańskim święcie, przed rozpoczęciem Wielkiego Postu, ofiary, przygotowań do Wielkiego Tygodnia.

– Środa Popielcowa. Dlaczego Popielcowa? Ksiądz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ech, laickie publiczne kształcenie! Nikt pana nie uczył katechizmu w limskiej szkole, panie prokuratorze? Tego dnia robi się katolikom na czole znak krzyża, popiołem na pamiątkę, że z prochu powstaliśmy i w proch się obrócimy.

Kiedyś matka zabrała go do kościoła i nakreślili mu ten znak zimną, czarną dłonią. Dotknął swego czoła, jakby chciał zatrzeć ślad.

– Żebyśmy pamiętali, że umrzemy? – zapytał.

– Że umrzemy i zmartwychwstaniemy do czystszej życia. Ogień oczyszcza..

Nie wiedząc dlaczego, pomocnik prokuratora poczuł się jak kilka dni temu w biurze doktora Posadasa. Bez sił. Chciał zakończyć wizytę. To nie była zbrodnia na tle zazdrości. Postanowił zapytać o coś, na co nie będzie odpowiedzi, o coś, po czym krematorium stanie się błędnym tropem, który można zapomnieć.

– Jakie... jeszcze osoby mają dostęp do tego miejsca?

– Tak jak mówiłem, z tej piwnicy praktycznie się nie korzysta. Ja mam jedyne klucze. Uważa mnie pan za podejrzanego?

– Ależ nie, proszę księdza, skądże. Myślę tylko, że ktoś mógłby użyć tego pieca do pozbycia się ciała. Nie przychodzi księdzu do głowy nikt, kto mógłby mieć duplikat kluczy?

Duchowny przez chwilę się zastanawiał.

– Nie.

Pomocnik prokuratora z każdą odpowiedzią czuł coraz większą ulgę. Nie miał tu czego szukać. Żeby mieć poczucie dopełnienia wszystkich obowiązków zawodowych, zadał kolejne pytanie:

– Może jakiś pracownik albo człowiek oferujący jakieś usługi?

Proboszcz jakby sobie nagle przypomniał:

– Rzeczywiście, kilka tygodni temu musiałem zwolnić sprzątacza. Ukradł mi kielich. Dość, prawdę mówiąc, tępawy Indianin. Nie wydaje mi się, żeby był w stanie zaplanować coś takiego. Ale gdyby chciał, pewnie mógłby zdobyć klucze.

Pomocnik prokuratora niechętnie wyciągnął swój notes. Pożałował, że zapytał. – Aha. Nazwisko?

– Sądzi pan, że przyciągnął tu czyjeś zwłoki nocą, a potem odniósł je, nie do końca spalone, idąc ulicami miasta? Nie sądzę, żeby ten prosty człowiek...

– To rutynowe pytanie. Potrzebuję tych danych do raportu.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Justino. Justino May ta Carazo.

– Lat 31.

– Proszę?

– Nie, nic.

Pomocnik prokuratora rejonowego ponownie poczuł pot na czole. Chciałby, żeby była tu policja. Znów zajrzał do pieca. W jego głowie pojawił się tamten człowiek z koszmarów. Ręka prosząca o pomoc. Krzyki. Krew zalewająca mieszkanie. Jego twarz. W tej twarzy było coś, co wydawało się znajome. Jak w krzywym zwierciadle.

Jeszcze raz spojrzął do pieca.

Wolał, żeby go pochowano po śmierci.

w tym mieście zmarli nie som zmarli, chodzą po ulicach i sprzedają om dzieciom cukierki, witają się ze starszymi, modlą się w kościołach.

czasami jest ich tyle, że się zastanawiam, czy ja jeszcze żyję. może mnie obdarli ze skóry i poćwiartowali, moją kawałki leżom porozzucane na dnie jakiegoś stawu, to, co widzę, to to, co widzą moje oczy, których może już tu

ze mną niema.

może sam nie wiem, co się dzieje.

ale on na pewno jest martwy, tak. jego prochy nigdzie się tu nie palentajom. jego renka nie jest już renkom. jego skura nie ma już czego pokrywać, dlatego tak do mnie pszemawia. dlatego się skarży, a ja muwiew: nie możesz nic zrobić, diabli synu. niczego już nie możesz zrobić.

za wiele grzechuw. wszystkie zebrały się w piersi jak robaki, co cie jędzom, ogień, ale ty nie możesz zrobić niczego, jesteś czysty.

dzienki mnie.

pszyszłem z piekieł, żeby cie uratować, czyściłem wyhodki z twojej krwi i nasienia, żeby nie było wiecej takich gżehuw jak ty. benkarcie. zrobiłem to dla ciebie, twój om skure rzuci się psom na pożarcie, twoja ślina, twoja ślina.

kturegoś dnia ludzie – zmarli – spojżom wstecz i powiedzom, że ode mnie zaczął się xxi wiek.

ale ty nie zobaczysz już xxi wieku.

ty jesteś oczyszczony.

pżeze mnie.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar spędził resztę tygodnia na próbach zlokalizowania Justina Mayty Carazo celem przeprowadzenia przesłuchania. Wrócił jakoś do siebie po mrocznej wizycie w krematorium. Rzeczywiście był spokojniejszy. Uznał, że komendant miał rację. Ewidentnie poszło o babę. Mayta Carazo chciał zniszczyć dowody, ale trzeba sporo czasu, żeby całkowicie spopielić ciało. Musiał uznać, że go nakryją, i postanowił w porę zabrać zwłoki. Krzyż na czole miał zmylić władze. Ostatecznie zeznał, że sam znalazł nieboszczyka, żeby oddalić od siebie podejrzenia policji. Żadni tam terroryści, zwykła zbrodnia w afekcie. Był motyw i okoliczności. Komendant będzie zadowolony ze śledztwa.

Pomocnik prokuratora wysłał na adres podejrzanego trzy wezwania i dwa nakazy stawienia się w charakterze świadka, żeby niepotrzebnie nie straszyć. Jednocześnie przesłał kapitanowi Pacheco sprawozdanie z dotychczasowych działań, żeby policja zajęła się poszukiwaniem podejrzanego. Wysłał pisma do władz miejskich w Quinua i do tamtejszej parafii z zapytaniem o poszukiwanego.

W piątek wciąż jeszcze nie miał odpowiedzi. W dziale korespondencyjnym prokuratury poinformowano go, że niczego w tym tygodniu nie wysłano, ponieważ kurier zachorował. Może od poniedziałku lepiej się poczuje. A może

nie. Pomocnik prokuratora pomyślał, że jeśli sprawa będzie się tak opóźniać, to komendant może o niej zapomnieć. On sam chętnie by to uczynił, i to jak najszybciej, bo przywracała dawno wyblakłe wspomnienia. Tej nocy przedyskutował to ze swoją matką.

– Sam nie wiem, mamusku. Jeśli nie rozwiążę tej sprawy, nie powierzą mi innej, ciekawej. A ja już się nauczyłem, że trzeba się wspinać po szczeblach kariery.

Przypomniawszy mu się głos mówiący: „Jesteś nieudacznikiem bez przyszłości, Félix. Nigdy nigdzie nie zajdziesz”. I to nie był głos matki. Pamiętał go doskonale. Przypomniała mu się pusta poduszka, taka jak ta, którą miała jego mama. Przypomniała mu się mgła w Limie za oknem potężnego budynku, w którym pracował, na alei Abancay. Nie chciał tam wracać.

– Sam poszukam tego May ty. Pokażę komendantowi, że jestem wzorowym pomocnikiem prokuratora. Choć mnie to wpięprza, za przeproszeniem. Strasznie dużo nerwów mnie ta sprawa kosztuje.

– W sobotę osiemnastego wstał o siódmej i zjadł śniadanie, trzymając przed sobą zdjęcie matki zrobione w Sacsayhuamán, w rodzinnym Cuzco. Obraz był słoneczny i spokojny, dobry początek udanego dnia. Pożegnał się z nią i zamknął okna w pokoju, bo zamierzał wrócić dopiero bardzo późno. Udał się na przystanek i wsiadł do minibusa. Usiadł między kobietą trzymającą kure i dwójką dzieci wyglądających na rodzeństwo. Kiedy wyjechali z Ayacucho, cieszył się widokami suchych, bezkresnych gór i rzeki płynącej w dole. Niebo było czyste. W czasie jazdy do Quinoa panorama robiła się coraz bardziej zielona i kwitnąca. Pod koniec jazdy drzwi domów przyozdobione małutkimi ceramicznymi kapliczkami uzmysłowiły mu, że zbliża się do celu.

Pomocnik prokuratora wysiadł z busa nieopodal boiska, na którym dziesięciu bosych chłopaków kopało piłkę. Dwójka dzieci, które z nim podróżowały, biegiem dołączyła do pozostałych. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że upaprały mu spodnie smarkami. Wyczyścił się chusteczką, minął sklepy dla turystów i ruszył w głąb osady. Zapytał jakąś sprzedawczynię:

– Proszę pani, szukam Justina Mayty Carazo. Widziała go pani?

Sprzedawczyni nie spuściła wzroku ze swoich figurek i krosna. Odezwała się:

– No, ale kto to może być?

– Nie zna pani Justina? Nie mieszka pani tutaj?

– Ale jak on może wyglądać?

– Wiesz, pod jakim adresem mieszka?

– No, tu niedaleko, tutaj zaraz.

Potem wymamrotała kilka słów w keczua. Pomocnik prokuratora zrozumiał, że „tutaj zaraz” może oznaczać dwa dni drogi stąd. Przypomnił sobie, jak trudno prowadzi się przesłuchania osób posługujących się keczua, zwłaszcza jeśli nie mają ochoty mówić. A nigdy nie mają. Zawsze się boją tego, co się wydarzy. Są nieufni. Przeszukiwał po kolei ulice, żeby trafić na tę, która figurowała w adresie. Dotarł wreszcie pod wąski domek, który, jak się zdawało, miał tylko jedno pomieszczenie z oknem na parterze i drugie na piętrze. Zapukał. Miał wrażenie, że przez górne okno ktoś go obserwuje, ale kiedy uniósł wzrok, niczego nie zauważył. Po dłuższym oczekiwaniu jakaś staruszka otworzyła drzwi zamknięte wcześniej na zasuwę. W półmroku błysnęło tylko jedno z jej oczu i fragment długiego, czarnego warkocza.

– O co chodzi, proszę pana?

– Dzień dobry, proszę pani, szukam Justina Mayty Carazo. Jestem z wymiaru sprawiedliwości.

Zamknęła drzwi i ze środka poprosiła go o okazanie jakiegoś dokumentu. Pomocnik prokuratora wsunął legitymację w szczelinę nad progiem. Wydawało mu się, że słyszy w środku jakieś mamrotanie. Odczekał jeszcze chwilę, aż w końcu kobieta otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka. Za całe umeblowanie służyły tu stół i dwa krzesła. Nie było światła ani łazienki. Jedyna widoczna kanapa stała na ceglach zamiast nóg i przykryta była kapą. Dwoje dzieci czających się na drabinie prowadzącej na pięterko zbudowane z gołych cegieł przyglądało mu się ciekawie.

– Nie ma Justina – oświadczyła kobieta. – Wyszedł już.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Gdzie on może być? No, poszedł.

– Kiedy poszedł?

– No, już jakiś czas temu.

– Miałaby pani coś przeciwko, żebym rzucił okiem na mieszkanie? To... oficjalne śledztwo.

Spojrzała w górę. Nie powiedziała nic, ale nie zastąpiła mu drogi. Pomocnik prokuratora szybko rozejrzał się po parterze, lecz nie było tam nic ciekawego. Zaczął wspinać się po skrzypiącej drabinie. Dzieci patrzyły na niego w milczeniu. Pozdrowił je, ale nie odpowiedziały, tylko wpatrywały się uważnie. Wspinał się z trudem, bo drabina chwiała się, jakby miała runąć. Jedno z dzieci kaszlnęło. Drzazga wbiła się w dłoń pomocnika prokuratora. Oblizwał ranę. Wtedy usłyszał hałas. Brzmiało to tak, jakby wielki wór

ziemniaków spadł na ulicę. Górne okno było otwarte. Obrócił się, chcąc zejść, ale nie trafił stopą na szczebel i runął na podłogę. Wstając, poczuł ból w nodze, lecz ruszył w stronę drzwi i wystawił głowę. Dostrzegł biegnącego mężczyznę, który zniknął za rogiem. Przez sekundę zastanawiał się, czy pościg należy do kompetencji prokuratury rejonowej, czy jednak powinien ograniczyć się do sporządzenia notatki. Potem przypomniał mu się ogień. Uznał, że ściganie zalicza się do obowiązków Policji Narodowej. I że biegnąc za tym człowiekiem, dopuściłby się nadużycia uprawnień. Spojrzał na kobietę:

– Kto to był? – Ale kto?

– Ten, który uciekł.

– Nikt nie uciekał. Nikt, proszę pana.

Wiedział, że oskarżanie kobiety o utrudnianie wypełniania obowiązków służbowych mija się z celem. Ruszył do siedziby władz miejskich. Zamierzał wsunąć im dokumenty pod drzwi, ale przypomniał sobie, że nikt mu nie podpisze potwierdzenia w sobotę. Postanowił zakończyć pracę na ten dzień.

Przed powrotem do miasta chciał zobaczyć pampę w Quinua. Ruszył szosą do góry, aż dotarł na spowity ciszą płaskowyż rozciągający się przed nim aż po szczyty. Mocno się zmęczył w trakcie wspinaczki. Ale już nie utykał. A tam, na górze, panował spokój. Towarzyszył mu jedynie kolosalny pomnik wyzwolicieli wybudowany z marmuru przez wojskowy rząd Velasco. Wyobraził sobie tę heroiczną bitwę, która dała ojczyźnie wolność. Pomyślał o szczęku broni zakłócającym odwieczną ciszę pampy. W oddali, w głębi równiny, widać było chwiejące się na wietrze korony drzew oraz potok. Usiadł pod pomnikiem, żeby przyjrzeć się krajobrazowi. Chusteczką starł pot z czoła, szukając fragmentów materiału nieubrudzonych smarkami. Zdał sobie sprawę, że nie słyhać tu kompletnie niczego. Żadnego dźwięku. W uszach mu piszczalo, akustyczne złudzenie pojawiające się, kiedy w otoczeniu panuje zupełna cisza. Pampa rozbrzmiewała muzyką śmierci.

Przez kilka minut siedział, oddychając czystym górskim powietrzem, a potem uznał, że czas wracać. Podnosząc się, usłyszał za sobą oddech. Nie zdążył się jeszcze do końca obrócić, kiedy poczuł uderzenie, cios prosto w szczękę, a potem głuchy trzask czegoś, jakby trzonka łopaty czy podobnego przedmiotu, co trafiło go w kark. Pociemniało mu w oczach, zobaczył czerwoną czapkę z nausznikami, parę zrobionych z opon sandałów oddalających się od niego, biegnących, i wreszcie człowieka pędzącego przez równinę, a potem wszystko ogarnęła cisza.

Ocknął się, gdy zapadał już zmrok, czując dotkliwy ból głowy. Niebo nad nim czerwieniało, zapowiadając ciemności, jakby wykrwawiało się na zachodzące słońce. Dotknął swojego karku. Poczuł lekkość i ciepło. Wstał.

Wrócił do Quinua i wsiadł do busa jadącego do Ayacucho. Już w domu szybko przemył rany. Nie wiedział, czy składać doniesienie, nie wiedział, dlaczego go uderzono. Nigdy w życiu nie został pobity. A może jednak? Nie. Nigdy go nie bito. Uznał, że przemyśli to na spokojnie następnego dnia. Ta sprawa zaczynała go męczyć. Położył się, nie zapominając, by najpierw przenieść do swojego pokoju zdjęcie matki siedzącej na bujanym fotelu z ciepłym uśmiechem. Zastanawiał się, kto by się nią zajął, gdyby coś mu się przydarzyło. Bał się o nią, nie chciał jej zostawiać samej, już nie.

Pomyślał, że jeśli jednak jest to akt terrorystyczny, to podlega jurysdykcji wojskowej. A jeśli nie, to interweniować powinna policja. Jego praca zakończyła się chlubnie, dołożył wszelkich starań, a nawet został ranny w trakcie pełnienia służby.

Ale przez dwie następne noce koszmary nie dawały mu spokoju.

Do jego snów o ogniu dołączyły uderzenia, głucho uderzenia i krzyki kobiety. W niedzielę musiał położyć się do łóżka swojej matki, żeby pewniej się poczuć. W poniedziałek zerwał się obudzony ciosem wymierzonym mu we śnie. Ledwie otworzył oczy, ogarnęło go przekonanie, że policja jeszcze dziś' zajmie się sprawą.

Po południu, kiedy wychodził z budynku prokuratury, poszedł do komisariatu. Szyję przewiązał sobie gaza, żeby zakryć ranę.

– Dzień dobry, szukam kapitana Pacheco.

Na wartowni siedział ten sam sierżant co poprzednio. Chacaltana zastanawiał się, czy może mieszka za tym biurkiem.

– Kapitana Pacheco?

– W rzeczy samej.

Zaniepokojony sierżant zniknął w bocznych drzwiach. Spędził tam sześć minut. Potem się wyłonił.

– Niestety, kapitana nie ma w tej chwili. Udał się do dowództwa wojskowego w sprawach służbowych.

– A wiadomo, kiedy wróci?

– Zasadniczo nie mam informacji w tym temacie. Było już późno. Pomocnik prokuratora przypomniał sobie o całej tej pracy gromadzącej mu się w biurze na dzień następny: napisać odmowne podziękowania za zaproszenia na dwa koktajle i przygotować raport dla prokuratora okręgowego dotyczący przestępstw seksualnych w rejonie. Chacaltana sądził, że prośba przełożonego stanowi pewną formę uznania dla jego pracy w terenie i jego przemyśleń dotyczących tej problematyki społecznej. Poza tym musiał przygotować

dokument dotyczący przejrzystości wyborów przed zbliżającą się elekcją. Trudno było podjąć decyzję, ale nie było czasu do stracenia. I nie miał też nic lepszego do roboty w godzinach pracy biurowej. Po namyśle, zlokalizowawszy w miarę przyzwoity fotel w poczekalni, powiedział:

– Poczekam tutaj.

Usiadł. Sierżant nie przewidział takiej odpowiedzi. Wyglądał na zdenerwowanego. Popatrzył w stronę gabinetu. A potem znów na pomocnika prokuratora.

– No, ale... Pana kapitana nie będzie przez wiele godzin. Może już w ogóle nie wrócić. Ale ja oczywiście poinformuję, że pan...

– Nie ma pośpiechu. Choć sprawa pilna.

– Powiedział, że prześle panu stosowny raport...

– Wolę bezpośrednią rozmowę, dzięki.

Spojrzenie sierżanta zrobiło się błagalne. Usiadł i ciężko westchnął. Pomocnik prokuratora też.

Pół godziny później sierżant odezwał się do niego, ziewając:

– Sądzę, że pan kapitan już nie wróci.

– Jeśli przyjdzie jutro rano, wciąż będę tu siedział. Albo w czwartek. Ile będzie trzeba.

Zaskoczyło go własne zdecydowanie, ale prawdą było, że funkcjonowanie mechanizmów komunikacji międzyinstytucjonalnej w Ayacucho pozostawiało wiele do życzenia. Uznał, że może w ten sposób je usprawni. Potrafił być bardzo stanowczy, kiedy tylko się na to zdecydował. Usadowił się wygodnie w fotelu i spokojnie czekał. O ósmej przyszło dwóch żandarmów i sierżant wpuścił ich do gabinetu. Wyszli o dziewiątej, żegnając się wesoło z kimś, kto pozostał w środku. O 10.30 sierżant powtórzył, że przekaze kapitanowi, iż pomocnik prokuratora stawiał się na komisariacie. O 10.31 pomocnik prokuratora odpowiedział, że nie ma takiej potrzeby, bo będzie tu czekał w recepcji na przyście kapitana. O 11.23 zdjął z siebie marynarkę i przykrył się nią jak kołdrą. O 11.32 zaczął chrapać, pogwizdując cicho. Wreszcie o 12.08 obudziło go skrzyknięcie drzwi. Kapitan Pacheco wyszedł z biura, rzucił nienawistne spojrzenie pomocnikowi prokuratora i ruszył dalej w stronę łazienki. Przebywał w środku siedem minut, po czym wyszedł, wycierając ręce, a w tle słychać było spuszczaną wodę. Sierżant zerwał się, by zaszalutować.

– Dobry wieczór, kapitanie! Nie wiedziałem, że pan przebywa na terenie komisariatu. Stawił się tutaj pan prokurator w sprawie...

– Stul pysk, psia mać. Proszę wejść, Chacaltana. Chce pan porozmawiać?



To porozmawiamy.

Pomocnik prokuratora rejonowego ruszył za nim do gabinetu z triumfem błyszczącym w uśmiechu. Kapitan Pacheco zasiadł ciężko za swoim biurkiem, obok flagi narodowej i pod zdjęciem prezydenta. Na ścianie wisiał herb policji ze sloganem: „Honor to nasza zasada”.

– Zanim zaczniemy, pozwoli pan, że wyznam, że jesteś pan upierdliwy jak wrzód na dupie – oświadczył w charakterze oficjalnego powitania. – Co się panu stało w głowę?

Pomocnik prokuratora bał się przyznać, że go pobito. Nie zasługiwałby w takim przypadku na szacunek.

– Nic, przewróciłem się. I przepraszam za okoliczności najścia, ale wysłałem do pańskiej wiadomości pisemne...

– Tak, tak, tak. Sprawa May ty Carazo. Widziałem to.

– Niestety, pańska odpowiedź najwyraźniej zapodziała się, nie dotarłszy do mych rąk...

– Nie wysłałem panu żadnej odpowiedzi, Chacaltana. I nie wyślę. To pan chciał usłyszeć?

– Nie, kapitanie. Zależy mi na współpracy z panem celem rozwikłania sprawy...

– Chacaltana, pan jest zwolennikiem APR-y czy idiotą?

– Przepraszam, panie kapitanie?

– Nie słyszał pan tego, co mówił komendant Carrión?

– Słyszałem, panie kapitanie. I właśnie wydaje mi się, że znalazłem przesłanki potwierdzające słuszność jego podejrzeń. Mam podstawy, by sądzić, że wzmiankowany Justino...

– Nie interesują mnie pańskie przesłanki. Nie interesuje mnie nic, co ma związek z tą sprawą. Mamy za chwilę wybory. Nikt w Ayacucho nie chce słuchać o terrorystach.

– Pan pozwoli, że wyrażę zdumienie tymi słowami...

– Słuchaj pan, Chacaltana, będę z panem całkowicie szczery i mam nadzieję, że rozmawiamy o sprawie ostatni raz. Policja jest zarządzana przez ministerstwo spraw wewnętrznych, a Minister Spraw Wewnętrznych jest wojskowym. Czy to jest dla pana jasne?

– Ale to nie jest żadne naruszenie zasad. Członkowie sił zbrojnych posiadają wszelkie konieczne kwalifikacje, by...

– Spróbuję powiedzieć to tak, żeby nawet pan zrozumiał: tutaj decyzje podejmują oni. Jeśli oni nie chcą śledztwa, nie będzie śledztwa.

– Ale naszym obowiązkiem...

– Naszym obowiązkiem jest milczenie i przytakiwanie! Tak trudno wbić to sobie do głowy? Niech pan posłucha: nie mam żadnego interesu w tym, żeby panu pomagać, bo mi się nie chce. Ale nawet gdyby mi się chciało, to i tak bym nie mógł. Więc proszę mnie nie wrabiać w tę historię, bo mi pan spieprzy szansę na awans! Ja uprzejmie proszę! Mam rodzinę! Chcę wracać do Limy! Nie mogę wkurzać komendanta Carrióna!

Hierarchiczny mechanizm zapełniający umysł pomocnika prokuratora rejonowego Feliksa Chacaltana Saldívarra nie przewidywał możliwości zaprzepaszczenia awansu z powodu stosowania się do procedur. Wręcz przeciwnie. Próbował to wytłumaczyć, ale kapitan mu przerwał:

– Dlaczego po prostu nie napisze pan raportu i nie zamknie sprawy raz na zawsze? Proszę przypisać ten zgon pożarowi albo wypadkowi drogowemu... I wszyscy będą mieć spokój.

Chacaltana otworzył szeroko oczy z niekłamanego zdumienia.

– Ale ja... nie mogę tego zrobić... Napisanie raportu bez policyjnej ekspertyzy jest nielegalne, panie kapitanie.

Kapitan schował twarz w dłoniach. Zamknął oczy. Lekko poruszał ustami, jakby po cichu liczył do stu. Już spokojniejszy powiedział:

– Chacaltana, to jest strefa wysokiego ryzyka. Spora część rejonu wciąż objęta jest czerwonym alarmem. Prawa są tu zawieszane.

– Poza tym spadkobiercy zmarłego mogliby się domagać...

– Nie ma żadnych spadkobierców! Nikt nie wie kto to! Sprawa nie przeciekła do prasy! Nikt o niego nie pyta, Indianie nigdy nie pytają. Nie obchodzi ich to. I mnie też nie.

Kiedy to mówił, portret prezydenta za jego plecami zdawał się drżeć. Potem gabinet spowija cisza. Kapitan miał na biurku ramkę ze zdjęciami swojej rodziny, dwójka dzieci i żona. Chacaltana lubił rodziny. Ale w tej chwili, szczerze oburzony, wstał z godnością.

– Ja też chcę zamknąć tę sprawę jak najszybciej, panie kapitanie, ale pański raport musi do mnie dotrzeć, bo tego wymagają przepisy. Nie wolno mi zakończyć śledztwa bez tego raportu. Oświadczam to niniejszym z całą stanowczością.

Chacaltana podszedł do drzwi. Kapitan rozparł się w fotelu. Kiedy pomocnik prokuratora miał już nacisnąć na kłamkę, powiedział:

– To wszystko?

Chacaltana stanął. Nie odwrócił się. Wiedział, że zwyciężył.

– Po to przyszedłem.

Pomocnik prokuratora wypowiedział to głosem stanowczym, stojąc dumnie w drzwiach. Kapitan chciał potwierdzenia:

– Jeśli dam panu raport spisany przez moich ekspertów i przeze mnie podpisany, nie będzie pan więcej robił problemów?

– Jedyne problem, jaki mamy, to nieprawidłowość administracyjna, która nie pozwala nam zamknąć sprawy.

Kapitan uśmiechnął się lekko. Ale zaraz powstrzymał ten grymas. Zmarszczył brwi. Chacaltana zachowywał kamienną twarz profesjonalnego prokuratora. Kapitan zaśmiał się głośno.

– W porządku, Chacaltana, rozumiem. Pogadam z moimi ludźmi i zlecę im tę robotę. Będzie pan miał swój raport jutro rano na biurku. Dziękuję, że pan do mnie wpadł.

Prawdę mówiąc, właśnie to chciał usłyszeć pomocnik prokuratora.

Wyszedł z gabinetu w poczuciu, że wytoczył wielką bitwę i zwyciężył. Rozumiał jednak opory policji. Nie zapomniał, że żyją w strefie czerwonego alarmu, a to zawsze nastraja ludzi nieufnie. O tej porze w mieście wszystko było już zamknięte. Po ulicach nie chodził nikt prócz sporadycznych patroli, pozostałość po godzinie policyjnej. Cichą i niebieską nocą maszerował w stronę domu, wdychając świeże powietrze prowincji. Kiedy już do niego dotarł, udał się do pokoju matki. W środku panował chłód, bo przez cały dzień było otwarte okno. Zamykając je, tłumaczył się:

– Przepraszam, mamusku, zostawiłem cię samą na cały dzień. Bo ta sprawa jest bardzo ciężka. Bardzo smutna. Nieboszczyk nie ma żadnych krewnych. Wyobrażasz to sobie? Smutne, nie?

Nie przestając mówić, wyjął z szuflady najcieplejszą wełnianą piżamę i położył ją na pościeli.

– Kiedy umiera ktoś, kto nie ma nikogo, żeby go wspominał, to tak, jakby umierał podwójnie. Gdzie też może być rodzina tego pana? Kto będzie przywoływał miłe wspomnienia, kto mu wieczorem pościeli łóżko albo poda piżamę? Nikt, mamusku. Nikogo, kto by popatrzył na jego zdjęcie czy nocą wypowiedział imię. Widzisz, jak to jest? Kiedy ktoś taki przestaje istnieć, to jakby nigdy nie istniał, jakby był słonecznym promieniem, po którym w zmroku nie zostaje nawet ślad.

Pogładził piżamę i prześcieradło. Potem z komody wziął fotografię, tę, na

której jego matka stała sama z tym słodkim, młodzieńczym spojrzeniem. Zaniósł zdjęcie do swojego pokoju i postawił na nocnym stoliku, żeby nie czuć się tak samotnie przed zamknięciem oczu.

Następnego ranka policyjny raport rzeczywiście czekał na jego biurku. Pomocnik prokuratora otworzył go i przejrzał. Był bardzo źle napisany, pełen powtórzeń i błędów ortograficznych, ale treść była klarowna i formalnie w porządku. Sęk w tym, że nie brakowało niespójności, absurdów. To nie był wiarygodny raport. Dziecko by to zauważyło. Nawet on zwrócił na to uwagę, choć wcale nie zamierzał. Zadzwoił do kapitana Pacheco, a ten odebrał osobiście.

– Panie kapitanie?

– Wszystko w porządku, panie prokuratorze?

– Widzi pan, czytam właśnie pański raport... – I?

Kolejny raz w jego głowie pojawiła się postać mężczyzny w głębi korytarza. Wyglądał tak realistycznie, że pomocnik prokuratora się przestraszył. Słyszał jego krzyki dobiegające z czerwonej ciemności i widział wyciągniętą rękę. Może wcale nie prosił o pomoc, może go oskarżał, pomyślał. Może jego wyprostowane palce wskazują winnego.

– Chacaltana, jest pan tam? – zapytał kapitan.

– Tak, tak. Przepraszam. Chciałem tylko podziękować za raport. Naprawdę bardzo mi pan pomógł.

– Do usług.

Odłożył słuchawkę i usiadł przed starą maszyną Olivetti. Napisał raport, z którego nie był zadowolony, bo wyszedł za długi. Wyrzucił go do kosza. Sporządził kolejny dokument, ale wydał mu się pełen uproszczeń i nieścisłości. Też go wyrzucił i napisał trzeci, dbając szczególnie o składnię i interpunkcję, prostą, nieprzesadną, wstrzemięźliwą. Kiedy poprawiał przecinki i ogonki, poczuł ulgę. Obraz spalonego człowieka przestał go nękać. No, a przede wszystkim kanały komunikacji międzyinstytucjonalnej okazały się drożne. Kolejny dowód postępu.

Dnia 7 marca 2000 roku, we wtorek, w czasie trwania uroczystości karnawałowych burza z wyładowaniami elektrycznymi pojawiła się na wysokości Huancaveüca, wyrządzając znaczne szkody materialne i ludzkie na obszarach niezamieszkałych.

Następnie wzmiankowane zjawisko klimatyczne przemieściło się w kierunku prowincji Huamanga, gdzie zaistnienie go nie zostało stosownie

poświadczane przez ludność w wyniku pozostawiania w stanie upojenia alkoholowego mieszkańców powyższej prowincji z powodu przywoływanych wyżej uroczystości.

Denat, jednoręki mężczyzna, którego tożsamość nie została ustalona, co dowodzi, iż chodzi tu o przejezdnego i/lub turystę, w związku ze wzmiankowanymi okolicznościami klimatycznymi stawiał się celem przenocowania pod adresem zamieszkania Nemesia Limanty Huamána (lat 41), lecz ten odmówił wstępu denatowi, chociaż ze względu na upojenie alkoholowe owego dnia nie przypomina sobie tego zajścia.

Mimo odmowy Nemesia Limanty Huamána (lat 41) aktualny nieboszczyk uparł się przy zamiarze przenocowania i dopuszczając się tym samym bezprawnego wtargnięcia na teren prywatny i niewłaściwego użycia lokalu prywatnego, wszedł do stodoły pełniącej także funkcję magazynu na ropę oraz inne łatwopalne substancje używane przy pracach o charakterze rolniczym i hodowlanym.

Aktualny denat przebywał na terenie zabudowań stodoły w okresie dwóch dni, w którym to czasie, by zataić swoje przewinienia, ukrywał się w słomie, przez co mieszkańcy Quinua nie mogli go zobaczyć, co wyjaśnia, dlaczego pobyt przybysza nie zachował się w pamięci miejscowych.

Dnia 8 marca roku 2000, w środę, mniej więcej w godzinach południowych, wyładowanie elektryczne wywołane przez niesprzyjające warunki pogodowe objawiło się w postaci błyskawicy, powodując straty w domostwie Nemesia Limanty Huamána, a dokładnie uszkodzając stodołę, gdzie nocował wzmiankowany aktualny denat. Uderzony przez owo wyładowanie w bark, pozbawiony ramienia i płonący żywym ogniem, aktualny denat wykazał się nieznajomością realiów wiejskich, próbując zagasić ogień wspomnianymi wyżej środkami łatwopalnymi, które to, w połączeniu z rezultatem wyładowania, spotęgowały proces spalania i zmieniły się w pożar znacznych rozmiarów, który jednak nie rozprzestrzenił się na inne zabudowania, co tłumaczyć należy wysokim stopniem wilgotności.

Ostatecznie denat runął na podłogę, uderzając twarzą o leżące tam grabie, w wyniku czego odniósł ranę kłutą-szarpaną w kształcie krzyża na czołowej części czaszki.

Na tym protokół zakończono dnia 17 marca...

Teraz było idealnie, z prawidłową odmianą czasowników i stosownymi akapitami. Uldze kontemplowania gotowego raportu towarzyszyła wiedza, że żaden morderca nie chodzi na wolności po prowincji. Żadnych terrorystów. Wojna się skończyła. Nie była to nawet zbrodnia w afekcie. Bez wątplenia

Justino Mayta Carazo uciekł przed prokuratorem, obawiając się konsekwencji swojego odkrycia. Nie uznał za konieczne składania doniesienia w tej sprawie. Jego strach też był zrozumiały.

Pomocnik prokuratora sporządził stosowne kopie i umieścił we właściwych kopertach. Nadał je z satysfakcją dobrze wykonanej pracy. Pomyślał o swojej matce. Byłaby z niego dumna. Pomyślał o Edith. Przez to zamieszanie wokół sprawy nie zdążył się do niej wybrać przez cały tydzień. Musi zajrzeć do restauracji. Nagle poczuł, że wraca mu apetyt.

## **Czwartek 6 kwietnia /niedziela 9 kwietnia**

– Przede wszystkim chciałbym, żeby pan wiedział, że jesteśmy z pana bardzo dumni, prokuratorze Chacaltana. I z tego, że siły zbrojne naszego kraju mogą liczyć na pańskie nieustrudzone wysiłki w imię prawa i porządku.

Pomocnik prokuratora Chacaltana miał wrażenie, że wszystkie te słowa wypowiedziano dużymi literami, jak na dyplomach wiszących na ścianach gabinetu komendanta Carrióna obok medali i flag, wokół masywnego fotela za biurkiem. Gdy pułkownik podawał dwie filiżanki mate, pomocnik prokuratora zauważył, że komendant wydaje się znacznie wyższy z perspektywy małego stołka, na którym posadzono jego.

– Dziękuję, panie komendancie.

– Muszę wyznać, że nie byliśmy pewni, czy cywilny wymiar sprawiedliwości będzie umiał sobie poradzić z tego rodzaju sprawą. Jeśli pan pozwoli, to powiem, że nie wszyscy funkcjonariusze są w stanie pojąć, co się tutaj dzieje. A szczególnie ci z Limy.

– Ja jestem z Ayacucho, panie komendancie.

– Wiem, wiem. I to także przepelnia nas dumą. Pomocnik prokuratora Chacaltana zastanawiał się, co trzeba zrobić, żeby naprawdę pochodzić z jakiegoś miejsca. Dlaczego właściwie jest bardziej z Ayacucho niż z Limy, w której przecież zawsze mieszkał. Pomyślał, że jego miejsce jest tam, gdzie są jego korzenie i bliscy. A Ayacucho jest w porządku. Coraz bardziej.

Tygodnie następujące po przedłożeniu raportu okazały się nadspodziewanie przyjemne. Nagle pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar zdawał się awansować. Przestano mu zlecać podrzędne śledztwa i nawet sędzia Briceño przesłał mu na piśmie gratulacje za szybkie i skuteczne rozwiązanie sprawy z Quinoa bez niepotrzebnego alarmowania opinii publicznej. Dzień po zamknięciu dochodzenia otrzymał swoją nową maszynę do pisania i takie ilości kalki, że mógł sobie robić tyle kopii, ile mu się zachce. Nawet jego sny się uspokoiły, opuszczając kurtynę spokoju na pełne ognia koszmory. A pod koniec tygodnia wezwał go komendant. Rzadko się zdarzało, żeby komendant spotykał się z urzędnikami, a jeszcze rzadziej, żeby ich zapraszał do swojego gabinetu. Pomocnik prokuratora czuł satysfakcję, ale nie chciał nadużywać swojej pozycji.

– Uważam, że szczególne podziękowania należą się w tym śledztwie Policji Narodowej, która nieustannie okazywała gotowość do działania i

zaangażowanie.

– Jest pan uosobieniem skromności, panie prokuratorze. Kapitan Pacheco informował mnie, że sprawa nigdy nie ruszyłaby do przodu, gdyby nie pańskie zdecydowanie i odwaga.

– Dziękuję, panie komendancie.

Komendant rozparł się w fotelu i upił trochę mate. Wyglądał na rozluźnionego. Nie wydawał się tak groźny jak za pierwszym razem. Pomocnik prokuratora domyślał się, że to wynik wzajemnego zaufania. Komendant mówił dalej:

– Większość takich spraw nigdy nie zostaje rozwiązana. Często nawet nie rozpoczyna się śledztwa, bo nikt się tego nie domaga. Ale dobrze jest mieć wszystko zarchiwizowane i prawnie załatwione. Naszą najlepszą bronią jest robić wszystko dobrze, prawda?

– Oczywiście, panie komendancie.

Uznając, że został do tego upoważniony, pomocnik prokuratora także siorbnał trochę mate. Przypomniała mu się Edith. Nie chciał iść do jej restauracji z opatrunkiem na karku, wolał, by widziała rany. Zajrzał tam któregoś ranka, żeby ją pozdrowić. Przywitała go jasnym uśmiechem. Obiecał, że wróci, i wycofał się tyłem, żeby nie odsłonić skaleczonego karku. Ale dziś rano zdjął sobie bandaż i blizna wyglądała nieźle. Może powinien wpaść tam po wyjściu z biura komendanta, żeby nie myślała, że ją wykorzystuje. I żeby uczcić sukces.

– Właśnie dlatego wezwałem pana do siebie – ciągnął komendant. – Teraz musimy skupić się na wyborach. Potrzebujemy zaufanych ludzi, którzy wierzą w praworządność, praworządność Peru, by zmierzyć się z wielkim wyzwaniem, jakie stawia przed nami xxi wiek.

– Będę zachwycony, mogąc zrobić, co tylko jest w mojej mocy, panie komendancie.

– A ja, że będzie pan z nami współpracował. Ale najpierw chciałbym zadać panu parę pytań.

Komendant wziął leżącą na biurku teczkę. Była gruba, pełna papierów i zdjęć. Pomocnik prokuratora rozpoznał te dokumenty. Były to jego akta osobowe, choć wydawały się znacznie grubsze niż normalna teczka tego rodzaju. Komendant założył okulary i przewrócił kilka stron. Zatrzymał się na jednej z nich.

– Piszą tutaj, że osobiście poprosił pan o przeniesienie do Ayacucho.

– Tak jest, panie komendancie. Chciałem wracać na swoją ziemię. –



Wyjechał pan stąd po śmierci matki, prawda?

– Tak, w rzeczy samej. Zamieszkałem u jej siostry w Limie.

– Jak umarła pańska matka? Była... ofiarą terroryzmu?

– Nie, panie komendancie. Umarła... zanim się to wszystko zaczęło...

Ciemna masa zalała jego pamięć. Próbował opanować drzenie, mówiąc:

– Zginęła w pożarze. Miałem dziewięć lat.

Po raz pierwszy komendant zdradził, że może mieć jakieś uczucia.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

– Nie szkodzi, panie komendancie. Ona zawsze pozostanie żywa... w moim sercu.

– A pański ojciec?

– Nigdy go nie poznałem, panie komendancie. I nie pytałem. Ja, tak naprawdę, nigdy nie miałem ojca.

W jego wspomnieniach była jedna fotografia. Uśmiechnięta matka obok jakiegoś mężczyzny. Chyba był biały, może z Limy. Zdjęcie wisiało w pokoju matki, nad komodą. Nie, już nie wisiało. Nigdy go tam nie było.

– Jest tu też napisane, że ma pan żonę.

– Tak, panie komendancie.

– Jakoś nie widzieliśmy tutaj pani Chacaltana, mam wrażenie.

Félix Chacaltana Saldívar poczuł się niezręcznie. Przypomniała mu się filiżanka bez kawy, puste łóżko, brak głosu dobiegającego rano z za drzwi łazienki.

– Nie ma już pani Chacaltana, panie komendancie.

– Również zmarła?

– Nie, nie! Po prostu odeszła. Nieco ponad rok temu. Powiedziała, że... że jestem człowiekiem bez ambicji. Wtedy poprosiłem o przeniesienie.

Zastanawiał się, dlaczego właściwie mówi o tym komendantowi Carriónowi. Przecież nie prosił o takie szczegóły.

– Dobrze jest nie mieć ambicji – odpowiedział oficer. – Za dużo mamy tu ambicji. Dzieci?

Przyglądając się przez okulary dokumentom, komendant na przemian patrzył na papiery i na pomocnika prokuratora, który wydawał się coraz mniejszy na swoim stołku.

– Brak. To pewnie też była jedna z przyczyn jej odejścia.

– W aktach nie ma zapisu o rozwodzie.

– Bo do niego nie doszło. Myślałem, że nie jest konieczny. Nie chciałem ponownie się żenić. Nigdy. Pan wybaczy, komendancie.

– Czy wolno mi zapytać, dlaczego...?

Nie chciał więcej mówić. Komendant zdjął okulary i zaofiarował mu ojcowski uśmiech. W każdym razie taki, jakim powinni uśmiechać się ojcowie.

– Proszę wybaczyć, że zadaję tak osobiste pytania. Proszę mi wierzyć, to ważne. Ale więcej wiedzieć nie muszę. Sądzę, że jest pan idealnym kandydatem do pracy, którą musimy wykonać. Nie ma pan rodziny, więc może pan podróżować. Poza tym kocha pan swoją ziemię i szanuje rodzinę, porządny z pana człowiek.

Typ człowieka, który umiera, nie pozostawiając żadnych bliskich, pomyślał Chacaltana. Zastanawiał się, kto po jego śmierci pogłodzi mu prześcieradło.

– Trzeba będzie dużo jeździć, panie komendancie?

– Widzi pan, Chacaltana, w niedzielę są wybory i potrzebujemy wykwalifikowanych kadr, zaangażowanych w obronę wartości demokratycznych. Rozumie pan?

Niczego nie rozumiał.

– Tak, panie komendancie.

– W miejscowościach, do których przyjadą dziennikarze, będą nam potrzebni zaufani komisarze wyborczy. Chacaltana przejrzał w wyobraźni przepisy wyborcze i te związane z urzędem prokuratorskim. Znalazł jedną sprzeczność.

– Panie komendancie, komisarze wyborczy nie są związani z prokuraturą. To urzędnicy Państwowej Komisji Wyborczej albo Państwowego Trybunału Wyborczego...

– Tak, oczywiście. Ale my się nie będziemy bawić w gierki słowne i formalne. To dobre dla polityków. Prokurator to prokurator, Chacaltana, i musi służyć ojczyźnie, kiedy zachodzi potrzeba. A pan ma doskonałe kwalifikacje.

– To wielki zaszczyt... Nie wiem, czy zdążę zrobić odpowiedni kurs albo przygotować się w inny sposób. Poza tym muszę to skonsultować z moimi przełożonymi...

– Wierzmy w pańskie umiejętności, Chacaltana, niech pan sobie daruje

kursy. Ja zajmę się wszystkimi szczegółami: entuzjastyczną zgodę przełożonych może pan uznać za załatwioną i proszę sobie głowy nie zawracać biurokratycznymi trudnościami. Zwierzchnictwo Sił Zbrojnych zajmie się całą papierkową robotą.

Komendant wyjął inną teczkę. W środku miał podpisaną akredytację na stanowisko komisarza wyborczego ze zdjęciem Chacaltana, kopertę z pieniędzmi na diety i bilety autobusowe, dokument dotyczący przepisów wyborczych i inne papiery. Chacaltana poczuł się uprzywilejowany.

– To wielki honor, że pan o mnie pomyślał.

– Zasługuje pan na to w pełni, prokuratorze Chacaltana.

– Kiedy i gdzie zostanie wysłany?

– Do Yawarmayo. Pański autobus wyjeżdża za dwie godziny.

– Tak szybko?

– Ojczyzna nie ma czasu do stracenia, panie prokuratorze. A wybory już w niedzielę. Jakies pytania?

– Nie, panie komendancie.

– Może pan odejść. Mam nadzieję, że to początek obiecującej kariery, Chacaltana.

– Dziękuję, panie komendancie.

Kiedy wychodził na ulicę, szczeka lekko drżała mu z emocji. Pierwszy raz od wielu lat czuł euforię. Chusteczką wytarł pot z czoła. Wreszcie jego wysiłki spotkały się z uznaniem. Poczuł, że przed wyjazdem musi się z kimś podzielić tym sukcesem. Niemal nieświadomie skręcił w stronę „El Huamanguino”. Powitał kelnerkę szerokim uśmiechem.

– Kupiłam dla pana mate. A dziś jest potrawka na ostro – przywitała go.

– Nie przyszedłem na obiad. Ja...

– Te stoły są dla klientów jedzących obiad. Jak pan nie je, to pan nie może sięść.

– To w takim razie poproszę.

Odczekał, ile trzeba, niecierpliwiąc się, kiedy będą mogli porozmawiać. W telewizji szła telenowela i jakaś kobieta wypłakiwała morza łez z powodu swojego mężczyzny. Tym razem na talerzu, który podała Edith, był prażony boczek, wieprzowa nóżka i ciepłe ziemniaki.

– Wysyłają mnie w podróż służbową – oświadczył dumnie Chacaltana.

– Naprawdę?

– Tak, tak. Odwaliłem kawał dobrej roboty w pracy. I mianowali mnie komisarzem wyborczym.

– Gratulacje! To wymaga kieliszka cziczy.

– Nie, dziękuję. Nie piję.

Tak czy inaczej naląła mu do szklanki tego słodkawego, brązowego napoju.

– Nie ma pan żadnej wady, co? Żona musi być zadowolona...

– Nie mam żony.

– Aha. Spróbuje pan potrawki?

– Tylko że... nie mam czasu. Ale proszę posłuchać. Kiedy wrócę... za parę dni... pewnie mnie zaproszą na parę koktajli. Takie w wyższych kręgach. Obowiązki.

– I nie będzie pan tu zachodził?

Wydawało się, że mówiąc to, posmutniała. To ośmieliło pomocnika prokuratora.

– Wręcz przeciwnie. Przyjdę. Ale chciałbym też... no... – Tak?

– Władze przychodzą na takie okazje w towarzystwie swoich małżonek, żon.

– No jasne.

– Bardzo bym chciał pójść tam z panią, Edith. Jeśli nie jest to kłopotem.

Zdał sobie sprawę, że teraz zaczął się do niej zwracać per pani. Uśmiechnęła się.

– Ze mną? A dlaczego właśnie ze mną?

– Bo... bo nie znam w mieście nikogo...

Teraz zmarszczyła brwi. Próbował naprawić błąd. Odzwyczaił się od rozmawiania na pewne tematy, może zresztą nigdy o nich nie rozmawiał.

– ...nikogo, kto byłby tak ładny jak pani.

– Teraz to mi pan fanfarony opowiada!

– To nie jest żaden fanfaron.

– Będzie pan jadł czy nie?

– To niestety niemożliwe. Muszę lecieć. Muszę biec, żeby spakować

walizki. Pójdzie pani ze mną, jak wrócę? Tak?

Zaczerwieniła się jak piwonია. Zaśmiała się. Wydawało się, że śmieje się z wszystkiego. A kiedy się śmiała, to tak jakby błyszczała. W telewizji zła bohaterka z telenoweli groziła swojej rywalce, która próbowała odbić jej mężczyznę.

– Tak – powiedziała Edith.

Pomocnik prokuratora miał wrażenie, że jego dzień nabrał sensu. Ze cały jego rok w Ayacucho nabrał sensu. Wstał szczęśliwy. Dyskretnie zostawił pieniądze za obiad na stole, żeby nie mogła odmówić ich przyjęcia. Podszedł do niej, żeby się pożegnać. Trzymała ścierkę. Rozłożył ramiona. Ale zaraz je opuścił. Nie chciał przesadzić. Wyciągnął rękę. Ona podała mu swoją. Powiedział:

– Dzięki. Widzimy się niedługo.

Przytaknęła ruchem głowy. Wyglądała na zawstydzoną. Pomocnik prokuratora pobiegł do domu.

– Mamuśku, nie mam czasu na wyjaśnienia, ale jestem bardzo zadowolony. – Brał z szuflady z bielizną wszystko, co się natopczyło, i pakował to do swojej starej sportowej torby. – Zobaczysz, jak się rzeczy świetnie ułożą. Po tym na pewno zaczną mi lepiej płacić i będę ci mógł kupić nową piżamę, mówię ci. – Spakował krawaty i koszule, a potem zdjął z wieszaka dwie marynarki i parę spodni. – I jeszcze Edith. Poznasz ją. Spodoba ci się. Pa, mamuśku.

Zamknął okna i drzwi i popędził na dworzec autobusowy. W połowie drogi zatrzymał się i zawrócił. Poszukał w torbie kluczy do domu i wszedł. Pobiegł do pokoju na końcu korytarza, wziął fotografię, na której widać było jego matkę bardzo młodą, pozującą w koszuli w kwiatki. Bardzo uważał, żeby nie przypałało się nigdzie to zdjęcie, na którym mama uśmiecha się u boku tego pana zapewne z Limy. To go uspokoiło. Ucałował fotografię, wsadził ją do torby i znów wyszedł.

Na dworcu panował totalny chaos. Autobus jadący o czwartej był pełny i jego nazwisko nie figurowało na liście rezerwacji. Jakaś kobieta z czwórka dzieci nakrzyzczała na niego, że chce jej zająć miejsce. Kierowca kazał mu wysiąść, żeby nie przeszkadzał. Wreszcie po piętnastu minutach kłótni szorstki pracownik firmy przewozowej poprosił go, żeby pojechał nocnym kursem. Pomocnik prokuratora Chacaltana pomyślał, że miałyby wtedy więcej czasu na zjedzenie u Edith i pożegnanie z matką, więc się zgodził. Potem przyszło mu do głowy, że jeśli wojskowi zobaczą go poza dworcem, uznają, że zaniedbuje obowiązki, więc usiadł i czekał na wyjazd następnego autobusu przez siedem i pół godziny, upewniwszy się wcześniej, że tym razem

rzeczywiście znajduje się na liście rezerwacji. Wykorzystał ten czas na przejrzenie praw wyborczych i wytyczne dla obserwatorów.

Nocą autobus wyjechał z ledwie piętnastominutowym opóźnieniem. Kolejna oznaka, że Ayacucho mocnym krokiem idzie ku przyszłości. Yawarmayo mieściło się o siedem godzin jazdy w kierunku północno-wschodnim, drogą na Ceja de Selva. Chociaż ciemność uniemożliwiała oglądanie widoków za oknem, pomocnik prokuratora spędził podróż na domyślaniu się istnienia nieasfaltowanych szos, po których tłukł się autobus, łagodnych pagórków otaczających miasto, a potem stopniowej zmiany pejzażu – od jałowych wzniesień po puszczańską zieleń gór. Chwilami przysypiał, ale budził się, kiedy autobus podskakiwał na jakimś wyboju. W pewnym momencie nie wiedział sam, czy śpi, czy nie, czy jego szczęście jest prawdziwe, czy wyśnione.

Aż otworzył oczy.

Autobus stanął. Spojrzał na zegarek: czwarta rano. Popatrzył na zaparowane od środka szyby. Przetarł swoją, żeby wyrzeć na zewnątrz. Deszcz padał poziomo gnany przez wiatr. Sypało drobnym śniegiem. Zauważył, że pasażer z siedzenia obok zniknął, tak jak sporo innych osób. Światła się paliły, a pojazd opustoszał w połowie, siedziały w nim jedynie zaspane kobiety. Od strony drzwi ktoś, może kierowca, zawołał:

– Powiedzieli, żeby wysiedli wszyscy mężczyźni! Tylko mężczyźni! Pomocnik prokuratora nie rozumiał, co się dzieje. Próbował wypatrzeć coś w panującej na zewnątrz ciemności. Z powodu światła wewnątrz można było tylko rozróżnić jakieś zakapturzone profile i ocenić długość bagnetów przyczepionych do karabinów, które ci ludzie nosili na ramieniu.

Nagle przypomniała mu się ostatnia wizyta w Ayacucho, kiedy przyjechał do matki jeszcze przed przeprowadzką. To było na początku lat osiemdziesiątych, tuż po zatrudnieniu w prokuraturze. Zanim dojechali do miasta, autobus został zatrzymany przez grupę terrorystyczną, która zażądała dokumentów od wszystkich pasażerów. Wojskowi jadący w cywilu połknęli swoje papiery. Pomocnik prokuratora też przeżuł swoją legitymację służbową. Terrorysty zebrali wszystkie książeczki wyborcze z autobusu, a potem zniszczyli je na oczach właścicieli.

– Nie macie już dokumentów! – krzyczeli. – Nie możecie głosować, nie jesteście obywatelami. Niech żyje wojna ludowa! Niech żyje Komunistyczna Partia Peru! Niech żyje prezydent Gonzalo!

Kazali im powtórzyć te hasła i zmyli się, okradając wcześniej pasażerów z czego się dało. Mieli kominiarki i broń palną. Tak jak ci, którzy właśnie zatrzymali autobus.

Kierowca w drzwiach ponownie zawołał mężczyzn. Jeszcze dwóch, którzy dotąd spali, podeszło do drzwi, przecierając oczy. Pomocnik prokuratora zaczął się zastanawiać, czy powinien zjeść swoją legitymację komisarza wyborczego. Tyle że dokument był zalaminowany. Nie da się przeżuć czegoś takiego. Schował go pod fotelem i wstał. Podeszedł do drzwi. Kiedy wysiadał, jeden z osobników w czarnej kominiarce pchnął go w stronę kolejki utworzonej przez pozostałych. Deszcz chłostał go po twarzy. Z ulgą zauważył, że popychający go człowiek ubrany jest w zielony mundur armii. Próbował się przedstawić:

– Jestem pomocnikiem prokuratora rejonowego, Félix...

Tamten odpowiedział mu tylko pchnięciem. Kiedy przyszedł jego kolej, stanął przed jakimś sierżantem, także schowanym za kominiarką. Przez tę maskę, strach, deszcz i fatalną hiszpańszczyznę ledwie dało się usłyszeć:

– ...mnnność!

Przyzwyczajony to takich kontroli pomocnik prokuratora wyjął swój dowód osobisty. Tamten przyjrzał mu się uważnie i spojrzał urzędnikowi w twarz. Trudno było odgadnąć wyraz jego oczu. Oddał mu dokument i ponownie krzyknął:

– ...mmmnać!

Pomocnik prokuratora pokazał swoją książeczkę wojskową. Tamten przytaknął i oddał dokument. Ten pierwszy pchnął Chacaltanę z powrotem w stronę autobusu. Pomocnik prokuratora wsiadł spokojniejszy, myśląc o tym, że nad jego bezpieczeństwem dzień i noc czuwają Siły Zbrojne.

Autobus ruszył dalej. Félix Chacaltana Saldívar odnalazł swoją legitymację i ponownie zasnął. Obudziło go światło poranka i ujrzał rzekę spływającą z boczem, którym pojazd zjeżdżał w dół. W miarę jak ustępowały chmury, niebo odzyskiwało swą kojącą jasność.

Autobus stanął o siódmej rano. Pomocnik prokuratora wysiadł i wyjął swoją torbę spośród worków ziemniaków i klatek ze zwierzętami. Nie było tu dworca. Autobus zatrzymał się tylko po to, żeby wypuścić Chacaltanę. Do wioski trzeba było iść jeszcze dwie godziny. Tyle samo dzieliło go od pory otwarcia wszystkich instytucji publicznych. Pomocnik prokuratora miał się stawić w Państwowej Komisji Wyborczej i na posterunku Policji Narodowej. Pomyślał, że powinno mu starczyć czasu na jakieś śniadanie. Szedł pylistą drogą z bagażem na ramieniu. Przeszedł przez rzekę i wspinał się na dwa wzgórza, znacznie wyższe, niż się z początku wydawało. Co chwilę zatrzymywał się, żeby sprawdzić, czy garnitur mu się nie pobrudził.

Wreszcie dotarł do doliny. W oddali widać było Yawarmayo. Kiedy znalazł

się bliżej, wydało mu się, że dostrzega kogoś stojącego przy wejściu do osady. Uznał, że to pewnie stosowne władze czekają na jego przybycie. Pomachał ręką. Tamten nie odwzajemnił się żadnym gestem. Kiedy dotarł do wioski, nikogo już nie było. Wszystko pozamykane. Żadnych śladów restauracji czy ludzkiej obecności. Ani skrawka asfaltu. Stojące kawałek dalej latarnie mimo dnia wciąż się świeciły.

Wyglądało na to, że przyozdobiono je jakimiś girlandami czy innymi kolorowymi ornamentami. Pomyślał, że to pewnie pozostałości po karnawale albo dekoracje na Wielki Tydzień. Otrzeptał spodnie z kurzu, poprawił wieszak z garniturem, dokumenty i swoją sportową torbę. Poszedł dalej.

Dopiero kiedy znalazł się pod latarniami, zobaczył, co tak naprawdę na nich wisi. To były psy. Niektóre powieszono, innym poderżnięto gardła, jeszcze inne rozcięto jak wieprzowe tusze, tak że z ich wewnętrznych organów ściekała krew. Puścił torbę. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Psom poprzyczepiano tabliczki z napisami: „Tak giną zdrajcy” albo „Śmierć sprzedawcykom”.

Pomocnik prokuratora poczuł, że mu słabo. Musiał się oprzeć o ścianę. Usiadł na środku ulicy, po której, jak zauważył, znów się rozejrzawszy, nikt prócz niego tego ranka nie chodził.

Pół godziny później wciąż się tam kręcił. Bezskutecznie szukał jakichś otwartych drzwi. Nie wiedział, co robić. Gdzie iść. Aż w końcu pierwsze cienie pojawiły się na ulicy. Byli to policjanci, szli powoli, niosąc drabiny, żeby ściągnąć psy. Oparli drabiny o latarnie i zdjęli zwierzęta zgodnie z wyraźnym rozkazem, raczej ze znużeniem niż wstrętem, jakby przyzwyczajeni do rutynowego ściągania psich ścierv. Félix Chacaltana przypomniał sobie słowa komendanta. „Niech pan nie widzi rumaka, patrząc na psa”.

Tutejszy oddział policji, jak zauważył Chacaltana, liczył pięciu chuderławych funkcjonariuszy z podkrążonymi oczami. Żaden nie miał więcej niż dziewiętnaście lat. Żaden na niego nie spojrzał. Chacaltana podszedł do jednego z nich, który trzymał drabinę.

– Dzień dobry, szukam porucznika Aramayo.

Policjant odpowiedział mu nieufnym spojrzeniem. Pomocnik prokuratora pokazał mu swoją legitymację. Jeden pies spadł na ziemię, prawie na jego głowę. Podążała za nim chmara much. Za jego plecami dał się słyszeć rozkazujący głos:

– Kurwa mać, Yupanqui! Nie rzucaj psami, bo chlapią. Cholera!

Pomocnik prokuratora domyślił się, że to tego głosu szuka. Obrócił się i ujrzał mniej więcej pięćdziesięcioletniego oficera, którego brzuch wypływał spod mundurowej koszuli koloru khaki.



- Porucznik Aramayo?
- Co jest?
- Jestem komisarzem wy...
- Gonza, nie certol się! Rękami! Po męsku!

Dwie latarnie dalej jakiś funkcjonariusz trącał psa drutem, żeby sprawdzić, czy może spadnie bez konieczności dotykania. Ze zrezygnowaną miną rzucił pręt i zabrał się do odwiązywania zwierzęcia rękami. Pomocnik prokuratora próbował zwrócić na siebie uwagę:

– Przyjechałem celem obserwacji przebiegu wyborów. Porucznik sprawiał wrażenie, jakby dopiero zauważył przybysza. Obejrzał go z góry na dół z nieufną miną.

– Że niby po co?

– Celem obser...

– Papiery. Chcę zobaczyć pańskie papiery. Chacaltana okazał legitymację. Porucznik przestudiował obie jej strony. Zapytał:

– Kto pana przysłał?

– Państwowa Komisja Wy...

– Kto pana przysłał, Chacaltana?

– Komendant Carrión, panie poruczniku. Ze spojrzenia policjanta zniknęła pogarda.

– Proszę ze mną na śniadanie. A ty, Yupanquí... za pół godziny ma tu być czyściutko!

Posterunek policji miał tylko dwa pomieszczenia. W jednym z nich na biurku leżały dwa tamale, trochę sera, chleb i kawa z mlekiem. Na podłodze wciąż wały się materace, na których policjanci spędzili noc. Porucznik podzielił wszystko na pół i poprosił pomocnika prokuratora, żeby usiadł. Chacaltana nie był głodny. Ale porucznik jadł jak wilk.

– To... To normalne? – zapytał pomocnik prokuratora.

– Co? Śniadanie?

– Te psy.

– No, zależy, panie komisarzu, co dla pana jest normalne – stwierdził, przelękając kęs chleba umoczonego w mleku.

– Nie wiedziałem, że... Szlak wciąż działa w rejonie. Śmiech porucznika wyparował razem z resztą kawy.

– Działa? Ha, ha. Może troszkę. Raczej stara się być upierdliwy.

– Przyjechałem w związku z wyborami. Pan wie, że przyjadą obserwatorzy i...

– Dobrze by było, kurde, żeby ktoś to zaczął obserwować.

Znów się zaśmiał, pokazując częściowo przerzuty kawałek tamala w ustach. Pomocnik prokuratora stracił wątek. Ostatnio ciągle mu się to zdarzało, nie wiedział, czego właściwie dotyczy rozmowa. Próbował zebrać myśli.

– A od kiedy wznowili działalność?

– Jak to: wznowili? To nie jest żadne wznowienie, Chacaltana. Tutaj nic się nie zmienia od dwudziestu lat.

– Aha.

– Zaoferowali mi przeniesienie do Limy i stopień kapitana, jeśli obciągnę fiuta jakiemuś komendantowi ze stolicy. Ale nie chciałem. Więc przysłali mnie tu, żeby mi dokopać. Niech mi się pan przyjrzy, panie komisarzy: najuczciwszą osobą w tej gównianej dziurze jestem ja. Będzie pan to jadł?

– Nie, proszę mówić dalej.

Porucznik rozprawił się z drugim tamalem niemal jednym kęsem. Pomocnik prokuratora pytał dalej:

– I nie prosiliście o wsparcie?

– Wsparcie? Jasne. Prosiliśmy też o basen i kilka dziwek. I tyle z tego wyszło.

Porucznik zapalił cygaro i beknął. Pomocnik prokuratora uznał to za koniec rozmowy dotyczącej Szlaku.

– Dobrze. Co się tyczy wyborów, przeglądałem ustawę. Ciekaw jestem, czy przygotował pan lokal na głosowanie więźniów i...

– Więźniów? Mam wyprowadzić więźniów? Niech pan zapomni. Nie głosują.

– Ale prawo wyborcze stanowi, że...

– Ha, ha. Niech pan powie komendantowi Carriónowi, że zamierza pan wyciągać terrorystów z więzień. Przekona się pan, gdzie panu wsadzi prawo wyborcze.

– Proszę pozwolić, że przeczytam panu, co mam tu zapisane w wytycznych, dysponuję zresztą kopią na pański użytek...

Porucznik nawet nie spojrział na dokument. Wbił za to swoje spojrzenie w gościa i odezwał się ze zdecydowaniem i powagą:

– Nie, to pan pozwoli, że powiem, co pan robi. Po pierwsze, nie życzę sobie, żeby pan się tu kręcił i zwracał na siebie uwagę. Żadnych służbowych samochodów czy wyraźnych oznak funkcji: kamizelki, mundury i insygnia odpadają. Bo stanie się pan celem ataku, a winę zrzucą na mnie. Poprzedni komisarz, co się tu kręcił, uważał się za wielkiego pana. Narobił zamieszania przy przyjeździe. Strzelił sobie rundkę samochodem z przyciemnianymi szybami i dwoma ochroniarzami. Terrorysty zobaczyli ciemne szyby i pomyśleli: „Ktokolwiek tam siedzi w środku, musi być ważny”. Siedemdziesiąt dziur po kulach z karabinka szturmowego w karoserii. I ręczne granaty. Ochroniarze kaput. Komisarz ciężko ranny, chyba oko stracił. Nigdy tu nie wrócił, bęcwał.

Félix Chacaltana Saldívar nie wiedział, co odpowiedzieć. Popatrzył na resztki tamala i leżącą przy nim skórę kurczaka. Przyglądał się, jak porucznik kończy cygaro. Oficer też się nie odzywał. Na wszelki wypadek pomocnik prokuratora zostawił mu na stole kartkę z wytycznymi, po czym wstał.

– Dobrze – powiedział – skoro mamy to już za sobą, czas rozejrzeć się za lokum.

– Proszę poszukać Yupankiego, tego, co się psami zajmował. To matoł, ale pomoże panu.

Pomocnik prokuratora wziął swoją torbę i wieszak z garniturem. Kiedy dochodził do drzwi, usłyszał głos policjanta:

– Słuchaj pan, Chacaltana, czy pan... pan wie, gdzie pana przysłali?

– Ta miejscowość to Yawarmayo, prawda?

Porucznik, uśmiechając się, wypuścił ostatni obłok dymu.

– Nie, Chacaltana. To jest piekło. W imieniu Policji Narodowej witam pana serdecznie.

Znalazł Yupankiego kilka ulic dalej. Ten właśnie wsadzał psy do wielkich czarnych worków na zwłoki, które odciągano za granice osady, żeby je spalić. Yupanqui wyjaśnił pomocnikowi prokuratora, że w wiosce nie ma hoteli, ale może zatrzymać się w jakimś domu prywatnym, gdzie zawsze z radością wita się przyjezdnych. Poprowadził go ulicami pod dom nieco większy od innych. Gdy stanęli pod drzwiami, zawołał:

– Teodorooo!

Następnie zaczął walić w drzwi, nie przestając wołać. Czasami obracał się

w stronę pomocnika prokuratora z przepaszającym uśmiechem. Kiedy Chacaltana miał już zasugerować, że może w domu nikogo nie ma, drzwi się uchylły, odsłaniając mężczyznę, kobietę i trójkę dzieci. Wszyscy jak skamieniali przyglądali się obcemu. Policjant powiedział im coś w keczua. Mężczyzna odpowiedział. Policjant podniósł głos. Mężczyzna gwałtownie zaprzeczył. Cała rodzina zareagowała okrzykami, wszyscy naraz, ale policjant zrewanżował się tym samym i wyciągnął pałkę. Pomocnik prokuratora sądził, że zacznie bić, ale ograniczył się do groźnego wymachiwania bronią. W środku kłótni zwrócił się nagle do Chacaltany i zapytał po hiszpańsku:

- Ma pan kasę?
- Proszę?
- Czy ma pan pieniądze. Cokolwiek.

Pomocnik prokuratora wydobył z kieszeni dwie monety jednosolowe. Na ich widok rodzina raptownie zamilkła. Policjant wręczył im pieniądze i gestem polecił Chacaltanie, by położył swoje rzeczy na podłodze. Potem sobie poszedł. Kwaterunek został załatwiony.

Chacaltana stał przed swoimi gospodarzami. Nie miał na czym się opierać. Był tam tylko garnek stojący na stosie zwęglonego drewna i kilka dachówek rozrzuconych po podłodze.

– Dzień dobry – powiedział – mam nadzieję, że nie sprawiam nadmiernego kłopotu.

Tamci patrzyli na niego bez słowa.

– Mogę tu zostawić rzeczy? Nie będą przeszkadzały? Nie wiedzą państwo przypadkiem, gdzie się mieści biuro Państwowej Komisji Wyborczej? Nie?

Zaczął się zastanawiać, na czym powiesić wieszak z ubraniami. Na jedynym w pomieszczeniu gwoździu wisiał krzyż, którego przez szacunek dla gospodarzy nie chciał zdejmować. Złożył marynarkę, jak umiał najlepiej, i położył ją w kącie, na torbie. Potem pożegnał się grzecznie i ruszył, by zająć się swoimi sprawami. Nikt mu nie odpowiedział.

Państwowa Komisja Wyborcza, jak go poinformowano, mieściła się w domu Johnatana Cahuide Alosilli, który posiadał kilka pól uprawnych wokół osady, miał przewodniczyć lokalnej komisji wyborczej i nadzorować liczenie głosów. Już w progu pomocnik prokuratora rejonowego zobaczył plakat z prezydentem, taki jak u kapitana Pacheco, tyle że większy. Przedstawił się. Johnatan Cahuide, szef i jedyny urzędnik komisji, powitał go serdecznie. Zapewnił, że wszystko jest przygotowane na wybory. Pomocnik prokuratora powiedział:

– Pan wybaczy, Johnatanie, ale będziemy musieli usunąć zdjęcie prezydenta. Prawo wyraźnie określa, że dwa dni przed dziewiątym kwietnia zabroniona jest jakakolwiek forma agitacji politycznej.

– Proszę? Przecież to nie jest żadna agitacja. Jesteśmy w urzędzie państwowym. To jest zdjęcie najwyższego przełożonego. – Ale ten przełożony jest kandydatem.

– Tak, ale tutaj występuje nie jako kandydat, tylko prezydent.

Pomocnik prokuratora rejonowego – obecnie komisarz wyborczy – obiecał sobie w duchu przejrzeć ponownie stosowne zapisy prawa.

– Ile osób będzie tu głosować?

– Trzy tysiące. Stanowiska do głosowania zostaną ulokowane w Szkole Publicznej imienia Alberta Fujimoriego.

– Szkoła ma takie imię?

– Tak jest. Pan prezydent niemal osobiście ją ufundował.

– I nie uważa pan, że dobrze by było zakryć to nazwisko? Przecież prawo stanowi, że agita...

– To nie jest żadna agitacja. Tak się nazywa szkoła.

– No tak. Czy przeprowadzono szkolenia dla członków komisji wyborczej?

– Tak. – Johnatan Cahuide pokazał mu listy obecności. – Uczestniczyły dwie osoby.

– Dwie?

– Tak jest, panie Chacaltana. Żeby tu się dostać, większość członków komisji musi jechać na mułach przez dwa dni, i to ciągnąc ze sobą rodziny, bo nie mają z kim ich zostawić. Więc nie przyjeżdżają wcześniej. Dobrze będzie, jak się w ogóle zjawia w niedzielę, żeby zagłosować.

– Ale poinformowano ich, kto kandyduje? Jakie są ich prawa?

– Żołdacy...

– Członkowie Sił Zbrojnych – poprawił go pomocnik prokuratora.

– No, ci właśnie. Zjawiają się tu i mówią wieśniakom, że armia dysponuje technologią pozwalającą ustalić, kto na kogo głosował. Czyli wszyscy oddadzą głos na prezydenta.

– Ale to... to jest nie w porządku i wbrew prawu.

– Niby tak. To gnoje, te żołdaki – odparł Cahuide z szelmowskim uśmiechem.

Pomocnik prokuratora zaczął się zastanawiać, czy jego rozmówca zaliczył stosowne szkolenia.

Po wspólnym posiłku Chacaltana poszedł już sam obejrzyć szkołę, w której będzie lokal wyborczy. Szkoła imienia Alberta Fujimoriego była niewielkim budynkiem z dwiema salami i wewnętrznym dziedzińcem. W każdej z sal miały stać dwa stoły. Zrobił trochę notatek, ale generalnie uznał, że miejsce jest stosowne. Wrócił na ulicę. Od kiedy zdjęto psy, do osady zaczęło wracać życie. Wieśniacy kręcili się z różnymi narzędziami, a kobiety) szły nad rzekę z praniem. Chwilami pomocnik prokuratora zapominał o porannym epizodzie.

Skrećiwszy za róg, przykucnął, żeby zawiązać sznurówkę. Kątem oka, jak mu się zdawało, dostrzegł tę samą postać, którą wypatrzył z oddali, zbliżając się do osady. To był wieśniak, tym razem stał trochę bliżej. Obrócił się, żeby go poszukać, ale nie dostrzegł już nikogo. Pomyślał, że to mogły być przywidzenia. Podeszedł do zakrętu. Po wydeptanych ścieżkach chodziły tylko kobiety.

Wieczorem wrócił do swojej kwatery. Kiedy wszedł, cała rodzina siedziała skupiona w głębi pomieszczenia, bez słowa. Rzeczy pomocnika prokuratora spoczywały tam, gdzie je zostawił, nietknięte, obok wełnianego koca.

– Dobry wieczór – powiedział.

Nikt nie zareagował. Nie wiedział, czy ma się przed nimi wszystkimi rozbierać. Wstydził się. Zdjął marynarkę, krawat i buty, po czym położył się na swoim miejscu. Natychmiast zasnął. Był wyczerpany. We śnie jego matka szła wzgórzami w ciemną, górską noc, pomiędzy potężnymi ogniskami oświetlającymi pola. Szła ze słodyczą w spojrzeniu i z pełnym spokojem uśmiechem. Wyglądało na to, że podchodzi do swego syna czekającego na nią z rozpostartymi ramionami. Ale kiedy była już bliźutko, skrećiła w bok. Zaczęła iść w stronę jednego z ognisk. Félix Chacaltana chciał do niej podbiec, ale w ogóle się nie przemieszczał, jakby poruszał nogami w miejscu, a ona, nie przestając się uśmiechać, maszerowała w stronę ognia. Krzyknął, ale nie odwróciła się. Poczuł, jak łzy ciekną mu po twarzy, a ona była coraz bliżej płomieni. Wydawało mu się, że jego matka płacze krwią, tak jak Matki Boskie. Kiedy postawiła stopę w ogniu, usłyszał eksplozję.

Zerwał się zlany potem, serce waliło mu szaleńczo. Podejrzewał, że eksplozja była częścią snu. Odwrócił się w stronę rodziny Teodora, która nie ruszyła się ze swojego kąta. Kiedy jego oczy oswoiły się z ciemnością, zobaczył, że na niego patrzą, ściśnięci w rogu jak przestraszone koty. Nie spali. Być może czuwali przez całą noc. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie krzyczał przez sen.

Obrócił się twarzą do ściany i próbował zasnąć, ale usłyszał jakieś hałasy, odgłosy, odległe krzyki. Z wszystkich stron zdawały się dobiegać odległe dźwięki. Próbował wsłuchać się i zrozumieć, co tam krzyczą. Ton, brzmienie wydawały mu się znajome. Wtedy usłyszał drugą eksplozję.

Rodzina nie ruszała się z miejsca.

Pomocnik prokuratora wstał.

– Co się dzieje?

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy razem, ściśnięci, wyglądali teraz jak gniazdo węży. Pomocnik prokuratora zaczynał tracić cierpliwość.

– Co się dzieje?! – krzyknął, podnosząc Teodora za koszulę. Poczul jego alkoholowy dech na twarzy. Teodoro zaczął coś mówić w keczua. Jego głos brzmiał jak skarga, jakby się z czegoś tłumaczył. – Mów do mnie po hiszpańsku, cholera! Co tu się dzieje? Głuchy lament trwał. Kobieta zaczęła płakać. Dzieci też. Félix Chacaltana puścił Teodora i podszedł do okna. Na wzgórzach płonął ogień. Widać było światła. W jego głowie na chwilę pojawiła się postać matki. Otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Teraz wyraźniej słyszał krzyki. Były takie same jak te, które słyszał wiele lat wcześniej, w autobusie wiozącym go do Ayacucho. Rozkazy. Olbrzymie ogniska płonęły na wzniesieniach na czterech stronach świata. Wysoko, dokładnie za nim, kształt sierpa i młota narysowany ogniem żarzył się nad pogrążoną w mroku osadą.

Pomocnik prokuratora pobiegł na posterunek policji. Na ulicy nie spotkał nikogo. Nikt się nawet nie wychylał przez okno. Domy wyglądały jak zbiorowe mogiły, ciemne, głuche i nieme wobec tego, co się dzieje na wzgórzach. Dotarł pod posterunek i zaczął walić w drzwi.

– Aramayooooo! Aramayooo! Otwierać!

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Słyszać było tylko wycie wokół miasteczka. Wiwaty. Komunistyczna Partia Peru. Prezydent Gonzalo. Były coraz głośniejsze, otaczały go i osaczały. Zastanawiał się, czy terroryści tu zejda i gdzie w takim razie się schować. Znów załomotał w drzwi. Wreszcie mu otwarli. Pięciu policjantów i porucznik siedzieli w środku. Oficer miał rozpiętą koszulę i butelkę pisco w garści. Pomocnik prokuratora krzyknął:

– To atak, Aramayo! Są wszędzie!

– Przecież widzimy, panie komisarzu – odpowiedział policjant ze spokojem.

Jego pasywność dotknęła Chacaltanę bardziej niż wrzaski w górach. Złapał go za rozchełstaną koszulę, tak jak przedtem Teodora.

– I co pan zamierza zrobić? Proszę odpowiedzieć! Co pan zrobi?!

Porucznik nie tracił spokoju.

– Puszczaj mnie pan, Chacaltana, albo rozwalę panu gębę kolbą.

Chacaltana zdał sobie sprawę ze swojej hysterii. Puścił policjanta, który zaoferował mu łyk pisco. Pozostali siedzieli na podłodze jak skamieniali, z pistoletami w rękach. Byli tacy młodzi. Na zewnątrz wciąż słychać było krzyki. Sierp i młot odbijały się w szybach komisariatu. Chacaltana napił się, oddał butelkę i osunął się na krzesło. Przeprosił. Aramayo powoli i z godnością podszedł do okna.

– Przedstawienie dobiega końca – powiedział. – Zaraz się zamkną.

Chacaltana schował twarz w dłoniach.

– Zawsze tak jest?

Porucznik pociągnął łyk z butelki.

– Nie. Dziś są spokojni.

Jeden z policjantów schował się pod kocem. Aramayo powiedział:

– Nie sądzę, żeby dziś były psy. Co najwyżej jakieś napisy. Jutro wczesnym rankiem trzeba będzie je zmyć. Pański koleżka Carrión przyjeżdża z wizytą.

Chacaltana poczuł przyływ ulgi. Stwierdził:

– Doskonale. Władze wojskowe powinny wiedzieć, co się tu dzieje...

Aramayo przerwał mu, wybuchając śmiechem. Chacaltana miał wrażenie, że był to niezdrowy śmiech. Porucznik, wciąż odwrócony plecami do pomocnika prokuratora, powiedział:

– Władze wojskowe nas nie dostrzegają, panie Chacaltana. Jesteśmy niewidzialni. Poza tym władze nie rządzą. Tutaj rządzi Lima. A ci z Limy nie dowiedzą się, że tu mamy wojnę, póki im ktoś kulki w dupę nie wpakuje.

Ciężko usiadł na materacu. Odstawił na bok butelkę i rozciągnął się.

– Ale niech się pan nie frasuje, panie Chacaltana – ziewnął. – Prędzej czy później się zorientują. I zjawią się tu, oczywiście, że się zjawią. Przyślą komisje, deputowanych, dziennikarzy, wojskowych, wzniosą pomniki ku czci pokoju... Jedyne problem jest taki, że aby tak się stało, my będziemy musieli dać się ukatrupić.

Tej nocy nikt się już nie odzywał. Pomocnik prokuratora skulił się pod drzwiami. Nie miał siły, żeby się poruszyć. Słyszał, jak krzyki powoli rzedną i cichną. Kilka godzin później, kiedy pokonał go sen, sierp i młot wciąż płonęły na zboczu.



Otworzył oczy. Komisariat był pusty, a przez okno na jego głowę padały promienie słońca. Wszystko go bolało i potrzebował prysznica. Przetarł twarz, żeby oczyścić oczy, i przeciągnął się. Kiedy próbował uczesać się przed szybą, wszedł Aramayo.

– Dzień dobry, komisarzu, dobrze pan spał?

– To nie jest śmieszne, Aramayo.

Policjant zaśmiał się, odsłaniając ubytki po kłach.

– Carrión jest już w miasteczku. Biedny Yupanqui musiał wspinać się na wzgórze, żeby sprzątnąć resztki po ogniskach. Pozostali spędzili rano na malowaniu ścian. Zobacz pan, jakie piękne miasteczko. Jak Miami.

Podsunał mu miednicę z lodowatą wodą do przemycia twarzy. Pomocnik prokuratora zateęsknił za szczoteczką do zębów. Stwierdził:

– Muszę porozmawiać z komendantem.

– Wybory już jutro, więc nie czeka tu pana zbyt wiele ciężkich nocy. Może pan wrócić wojskowym transportem aprowizacyjnym, nocą.

Pomocnik prokuratora wytarł sobie twarz rękawem koszuli i oświadczył:

– Nie chodzi o mnie. Ktoś musi powiedzieć komendantowi, co tu się wydarzyło. Zanim nas wszystkich pozabijają. Ponownie przejrzał się w szybie. Wyglądał już nieco bardziej wyjściowo. Ruszył w stronę drzwi. Zanim zdążył postawić stopę za progiem, porucznik zablokował mu przejście ręką.

– Niech pan nic nie mówi, panie komisarzu.

– Dlaczego? Panu są potrzebne posiłki. Trzeba natychmiast poprosić o...

– Nie ma o co prosić.

– Proszę mi pozwolić spróbować. Komendant zrozumie.

– Bezpieczeństwo tego miasta to moja odpowiedzialność. Jeśli przedstawi pan jakieś skargi zwierzchnictwu, wpakuje mnie pan w kłopoty.

– Pan już ma kłopoty, poruczniku. Nie zauważył pan tego w nocy?

Musiał odepchnąć ramię policjanta, żeby przejść. Porucznik otworzył usta, jakby chciał się jeszcze odezwać, ale spojrzenie Chacaltany odebrało mu na to ochotę. Wychodząc, pomocnik prokuratora usłyszał za plecami jego głos:

– Pan nie wie, co to są prawdziwe kłopoty, Chacaltana. Nie chciał tego słuchać. Na zewnątrz, poczuł zapach świeżej farby na ścianach. Pod żółcią, zielenią i bielą można było dostrzec ślady czerwonych malunków. Zabrał się do poszukiwania Carrióna. Jego obecność można było poznać po liczbie uzbrojonych żołnierzy kręcących się po ulicy i pełniących wartę na rogach. Na

placu stał jeep i ciężarówka, które przywiozły tu wszystkich. Tam, gdzie żołnierzy będzie najwięcej, znajdzie Carrióna. A najgęściej od mundurowych było w biurze Państwowej Komisji Wyborczej, gdzie komendant rozmawiał z Johnatanem Cahuide. Pomocnik prokuratora nie musiał się legitymować, by go do nich dopuszczono, a przyjęto go resztkami śniadania i uśmiechami. Carrión był w doskonałym humorze. – Chacaltana, mój zaufany człowiek! Proszę się częstować kawą.

– Panie komendancie, musimy koniecznie porozmawiać.

– Oczywiście. Johnatan Cahuide opowiadał mi o pańskich skutecznych i drobiazgowych działaniach...

– O tym też musimy porozmawiać. Mam powody, by podejrzewać, że niektórzy wyżsi wojskowi z regionu planują za pana plecami wyborcze fałszerstwo.

Carriónowi śmiech zastygł nagle na twarzy. Cahuide przełknął głośno ślinę. Komendant odstawił filiżankę na stół i usadowił się wygodnie na krześle.

– Co pan mówi?

– Tak jest. Może trzeba by zorganizować szkolenie na temat wartości demokratycznych dla członków Sił Zbrojnych, którzy...

– A pan ciągle z tymi szkoleniami, Chacaltana, daj pan spokój.

– No, ale są przesłanki, że...

– Chacaltana...

– ...żołnierze prowadzą kampanię na rzecz rządu...

– Chacaltana...

– ...wywierają nawet siłową presję na wieśniaków...

– Chacaltana, do cholery!

Zamilkli. Cardón wstał z krzesła. Johnatan Cahuide patrzył na pomocnika prokuratora z przerażeniem. Komendant nawrzeszczał na dwóch żołnierzy stojących w drzwiach, żeby wyszli, i zamknął za nimi. Potem usiadł. Minęło kilka sekund, zanim się uspokoił.

– Co pan wyprawia, Chacaltana?

– Przedstawiam raport ustny, panie komendancie – odpowiedział pomocnik prokuratora zaskoczony pytaniem.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł urzędnik, którego Chacaltana widział u boku Carrióna w trakcie przemarszu. Miał ten sam błękitny krawat i ile wyprasowany garnitur. Wojskowy przedstawił go jako doktora Cariosa

Martina Eléspuru. Mężczyzna przywitał się krótko, prawie się nie odzywając, i usiadł na innym stołku. Nalał sobie kawy. Pomocnik prokuratora wciąż stał. Carrión odzyskał spokój i wprowadził przybysza w temat.

– Komisarz Chacaltana się... przestraszył rzekomych działań niektórych żołnierzy przed wyborami. Skąd pan czerpie te informacje, panie komisarzu?

Chacaltana spojrział na Cahuide, który patrzył na niego błagalnie.

– Zeznania obywateli, panie komendancie – odpowiedział.

Na twarzy Carrióna ponownie zakwitł paternalistyczny uśmiech.

– Obywatele, drogi Chacaltana, nawet nie mówią tu po hiszpańsku, błagam pana. Nie wiem, co chcieli panu przekazać, ale niech się pan nie przejmuje.

– Pan wybaczy, komendancie, ale wybory... Carrión wszedł mu w słowo:

– Tutejszych ludzi gównem obchodzą wybory, nie zauważył pan?

– Ale przecież prawo stanowi...

– Jakie prawo? Tu nie ma żadnego prawa. Panu się wydaje, że w Limie pan jest? Niech pan da spokój...

Carrión usiadł. Facet w błękitnym krawacie podał mu kartkę, której treść komendant przeczytał ze spokojem. Zaczęli rozmawiać półgłosem. Zupełnie jakby zapomnieli o pomocniku prokuratora. Chacaltana odchrząknął. Nadal go nie zauważali. Odniósł wrażenie, że nie chcą na nic patrzeć, na nic realnego, nic, co stoi obok nich i chrząka. Zebrał się w sobie i przemówił:

– Proszę o wybaczenie, ale w takiej sytuacji nie rozumiem, co ja tu właściwie robię.

Eléspuru i komendant przestali przeglądać papiery. Carrión skupił w sobie całą cierpliwość, żeby odpowiedzieć:

– Mieszaniem z błotem Sił Zbrojnych zajmą się dziennikarze. Pan tu przyjechał nas bronić. Może pan odejść.

Eléspuru, który jakby rozmyślał nad czymś innym, dolał sobie kawy. Popatrzył na pomocnika prokuratora. Chacaltana postanowił powiedzieć wszystko za jednym razem, wystrzelić ostatnie naboje jak prawdziwi bohaterowie:

– Jest jeszcze coś, panie komendancie. Tej nocy... miał tu miejsce atak terrorystyczny.

Eléspuru pierwszy raz zdawał się słuchać Chacaltany. Spojrział na komendanta uśmiechającego się spokojnie.

– Atak. Niech pan nie przesadza, panie komisarzu. Wiemy, że kręci się tu paru pajaców, którzy odpalają fajerwerki, ale nie są groźni.

– Ale...

– Zabili kogoś?

– Nie, panie komendancie.

– Ranili kogoś? Zajęli jakiś dom?

– Nie, panie komendancie.

– Groźby? Zaginięcia? Zniszczenie prywatnej własności?

– Nie, panie komendancie!

– Bał się pan?

Nie spodziewał się takiego pytania. W swoich myślach unikał tego słowa. Nienawidził go. Musiał przyznać w głębi duszy, że minionej nocy nie zaszło nic poważnego.

– Trochę, panie komendancie.

Komendant zaśmiał się głośniej. Eléspuru też się uśmiechnął.

– Może być pan spokojny, komisarzu. Zostawimy tu jeden patrol na wszelki wypadek. Niech pan się nie da zastraszyć. Przysłaliśmy tu pana, bo pan jest odważny. Mógł się tu ostać jakiś wichrzyciel, ale generalnie skończyliśmy z nimi.

Eléspuru spojrział na zegarek i skinął na komendanta, który wstał.

– Czas zakończyć nasze spotkanie. Zobaczymy się w Ayacucho.

Pomocnik prokuratora uścisnął dłoń podaną przez komendanta. Była twarda, ścisnęła jego palce, jakby je chciała połamać. Patrząc mu w oczy, komendant powiedział:

– Jutro jest ważny dzień, Chacaltana. Niech pan nie zawiedzie naszego zaufania. Nie warto.

– Tak jest, panie komendancie. Przepraszam, komendancie.

Eléspuru pożegnał się gestem, nie podając ręki ani nie odzywając się. Kiedy wyszli, Johnatan Cahuide stwierdził:

– Teraz to masz przesrane, kolego.

Resztę poranka spędzili na dokańczaniu przygotowań przed jutrzejszymi wyborami, rozłożyli materiały w szkole. W południe wyszli na lunch do domu Cahuide. Gdy jedli gęstą zupę, pomocnik prokuratora zapytał:

– Jak ci się udało dostać stanowisko w komisji?

– Byłem szefem regionalnego sztabu w kampanii prezydenckiej. Potem wzięli mnie do tego.

Szef sztabu Cahuide był jednak tak prostolinijny, że pomocnik prokuratora nie miał nawet ochoty przypominać mu z regulaminem w rękę o jego obowiązkach.

– Cahuide, zdajesz sobie sprawę, że jesteś chodzącym naruszeniem przepisów wyborczych? Powinni cię zdjąć z funkcji. – Będiesz o to wnioskował?

Nie. Nie zamierzał donosić. Podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin przestał rozumieć, co jest złe, a co nie.

– Nic ci nie zrobię, Cahuide. Zresztą nie mogę. Nie jestem tu po to, żeby uniemożliwiać fałszerstwa, nie?

– Ja nie będę niczego fałszował. I wiem, że to może dziwnie wyglądać, Chacaltana. Ale nikt tu niczego nie naszykował. Nie trzeba.

– Nie trzeba?

Johnatan Cahuide dołożył mu trochę zupy. Sobie też.

– Félix, osiem lat temu, jakbym wyszedł na ulicę, to by mnie zabili. Teraz nie. Terrorysty zabili moją matkę, mojego brata i zabrali moją siostrę, którą potem zatłukli żołdacy. Od kiedy rządzi nasz prezydent, nie zabito ani mnie, ani nikogo z mojej rodziny. Chcesz, żebym głosował na kogoś innego? Nie rozumiem. Dlaczego?

Dlaczego? Chacaltana zdał sobie sprawę, że to pytanie nie pojawia się w podręcznikach, instrukcjach ani regulaminach. On sam nigdy go sobie nie zadał. Pomyślał, że trzeba wierzyć, by zbudować lepszy kraj. Ten, kto pyta, nie wierzy, tylko wątpi. A na wątpliwościach daleko się nie zajędzie. Wątpić jest łatwo. Tak samo jak zabijać.

Obaj zamilkli, zamyśleni, aż dobiegł ich hałas silników i krzyki na ulicach. Dźwięki zdawały się znacznie bliższe niż te zeszłej nocy. Cahuide zamknął okno. Chacaltana próbował coś wypatrzeć.

– A teraz co się dzieje?

– Nie pchaj się tam, Félix, już lepiej nie mieszaj.

– Muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

– Félix. Félix!

Pomocnik prokuratora wyszedł, a Cahuide za nim. Ulicami biegło kilku

młodych mężczyzn ściganych przez wojskowych z pałkami. Jeep i ciężarówka zatarasowały dwa główne wyjścia z osady. Dookoła rozstawiły się patrole żołnierzy z karabinami. Od czasu do czasu strzelali w powietrze. Ścigający nie mieli żadnej broni prócz pałek, którymi okładali uciekających, jeśli ci upadli na ziemię. Kawałek dalej dwóch żołnierzy rozwalalo drzwi jakiegoś domu. Ze środka dobiegało kobiece zawołanie. Żołnierze wyszli po chwili, prowadząc dwóch chłopców, na oko piętnastoletnich. Powyginali im ręce za plecami i popędzali kopniakami.

– Co to ma znaczyć?

Cahuide próbował wciągnąć Chacaltanę z powrotem do domu.

– Zostaw, daj spokój.

– Jak mogę to zostawić? Co oni wyprawiają?

– Nie udawaj głupiego, Félix. To jest pobór.

– Takie pobory są nielegalne...

– Félix, przestań udawać, że życie to podręcznik prawa! Chcesz środków bezpieczeństwa? No to je masz w działaniu.

– Dokąd oni ich zabierają?

– Odrobiją obowiązkową służbę wojskową. I już. Będą mieli pracę. Tutaj nie mają czego szukać. Czego chcesz? Żeby studiowali inżynierię? Dla nich tak jest lepiej, Félix. Félix!

Chacaltana rzucił się biegiem w stronę posterunku. Pamiętał, że prawo wyborcze zakazuje dokonywania zatrzymań dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem głosowania. Wiedział, że się ośmieszy, ale nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

Przy posterunku stała jeszcze jedna wojskowa ciężarówka, do której wpychano złapanych chłopaków. Tych, którzy się opierali, ładowano na siłę, bijąc pałkami po twarzy, w brzuch i po nogach, tak długo, aż nie mieli sił się wrywać. Trzy metry przed drzwiami posterunku dwóch żołnierzy zatrzymało pomocnika prokuratora. Próbował się z nimi szarpać, pokazał legitymację, ale nie puszczali go. Jeden z nich sięgnął po rewolwer. Pomocnik prokuratora uspokoił się. Powiedział, że poczeka. Kawałek dalej, mimo kurzu wznieconego przez walczących, dostrzegł komendanta z urzędnikiem w błękitnym krawacie oraz porucznika Aramayo. Eléspuru wyglądał na spokojnego, spoglądał w inną stronę, a wojskowy krzyczał coś do porucznika. Policjant patrzył w ziemię i przytakiwał, wyglądał na skruszony, a komendant krytykował go ze złością jak małego chłopca, który przyznaje się do błędów. Kiedy już nakrzyczał, oddalił się, nie bacząc na zamieszanie wokół poboru. Machnął na jakiegoś

oficera, by podjechał do niego jeep. Wsiadł razem z Eléspuru. Dopiero wtedy pomocnikowi prokuratora udało się przedrzeć przez krąg eskorty i zbliżyć do samochodu.

– Panie komendancie! Panie komendancie!

Carrión westchnął. Obecność pomocnika prokuratora wybitnie go męczyła. Ledwie obrzucił go spojrzeniem, kiedy ten podbiegł spocony, zakurzony, mimo eleganckiego i odprasowanego na tę okazję garnituru z chusteczką w kieszonce. Chacaltana wydyszał:

– Panie komendancie, trzeba zatrzymać tę operację... To jest... jest...

– Spokojnie, Chacaltana. Zabieramy tylko takich, co nie mają papierów w porządku albo są poszukiwani. Żeby cię nie straszyla po nocach.

Komendant zaśmiał się, ale już nie po ojcowsku. Jeep ruszył, a za nim obie ciężarówki pełne żołnierzy i mieszkańców osady. Po pięciu minutach kurz osiadł na ulicach i zapanował spokój, jakby martwy. Porucznik stał kilka metrów dalej, dławiąc wściekłość. Pomocnik prokuratora próbował do niego zagadać, chciał zaproponować pomoc przy szukaniu posiłków i docieraniu do wyższych instancji. Ale kiedy podszedł, porucznik wrzasnął mu w twarz:

– Chacaltana, kurwa twoja mać! Mówiłem panu, żeby trzymać język za zębami! Takiś pan odważny? He? Chcesz pan strugać bohatera? No, to bardzo proszę. Zobaczymy, kto panu pomoże, jak pan przyjdzie nocą cały zaryczany. Może pańska kurwa mać pana obroni. Tutaj nietrudno być bohaterem.

– Ale panie poruczniku! Przecież należało...

Nie był w stanie kontynuować. Zakończenie tego zdania jawiło mu się niejasno, niemal niemożliwie. Porucznik odwrócił się plecami i zamknął się w komisariacie. Chacaltana popatrzył po pozostałych policjantach w nadziei na jakieś wsparcie, ale ci odpowiedzieli mu, obracając się na pięcie i odchodząc.

Pomocnik prokuratora wrócił do domu Cahuide. Zapukał kilka razy do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Podszedł do okna. Cahuide był w środku. Rzucił mu z wewnątrz spojrzenie, w którym mieszały się żal i lęk. Pomocnik prokuratora dłużej nie nalegał. Przemierzył pustawą osadę, czując na sobie nieufne spojrzenia. Nie otwarto mu także drzwi domu, w którym się zakwaterował. Tym razem nawet nie fatygował się do okna. Szedł dalej aż do pól.

Idąc tak beczynn timer, myślał o Edith. Zateśknił do niej, do jej srebrnego zęba, do nakryć stołowych w restauracji, w której nigdy niczego nie zjadł. Nagle zrozumiał, że Edith jest jedyną osobą, która na niego czeka. Nie wiedział, czy mówić o tym mamuśce. Zatrzymał się nad rzeczką i zaczął puszczać kaczki, tak jak w dzieciństwie uczyła go matka. Posmutniał.

Zważywszy na to, jak układały się sprawy, nie będzie żadnego powodu, dla którego Edith mogłaby go podziwiać. Nie dostanie awansu. Może i lepiej. Jeśli Yawarmayo to awans, wołał zostać tam, gdzie był. Odetchnął głęboko. Przez kilka sekund cieszył się jasnym i rześkim spokojem pól. Zapomniał, gdzie się znajduje.

Kiedy powierzchnia wody się uspokajała, odbijane przez nią obrazy odzyskiwały ostrość: gałąź, wystający kawałek kamienia, pień. Widoki wsi wydawały mu się małe, lekkie, odległe od przytłaczających i smrodliwych obrazów stolicy. Wśród zatartych kształtów objawiła mu się twarz jego byłej żony. Może miała rację, może Chacaltana nigdy nie żywił żadnych ambicji i najlepszą rzeczą dla niego byłoby *zaszyć* się w biurze w Ayacucho, pisać raporty i opracowywać recytacje wierszy Chocano. Ayacucho było miastem, które można przejść piechotą, podobało mu się to. I było bezpiecznym miejscem, dalekim od przymusowych poborów i nocnych wybuchów. Twarz jego byłej żony zmieniła się w oblicze matki. Pomocnik prokuratora chciałby coś zrobić, żeby była z niego dumna.

Postanowił wracać. Ostatni raz spojrzął na rzeczkę. Kształty wciąż igrały na powierzchni wody. Jeden z nich na odbitym w wodzie drzewie robił się coraz wyraźniejszy, w miarę jak toń się uspokajała. Z początku wyglądał na dziwnego ptaka, ale potem pomocnik prokuratora przyjrzał się lepiej. To nie był ptak. To była ludzka postać.

Nie patrzył w górę. Chciał, żeby to było tylko złudzenie optyczne. Już dostatecznie dużo widział w ciągu ostatnich dwóch dni. Jego oczy nie były przyzwyczajone do takiego natłoku wrażeń. Powoli przeszedł w miejsce, gdzie potok się zwiężał. Przeskoczył na drugą stronę, żeby się oddalić. Postać nawet nie drgnęła. Chacaltana odszedł jeszcze kilka kroków. Dwieście metrów dalej szło dwóch wieśniaków, każdy z maczetą. Zbliżali się. Miał ochotę ich zawołać, ale bał się sprowokować postać. Zdecydował się podejść. Parę kroków dalej nie wytrzymał. Zawołał:

– Przepraszam! Proszę panów!

Wieśniacy odwrócili się w jego stronę. Najpierw chcieli ruszyć do niego, ale potem najwyraźniej przemyśleli to sobie. Zatrzymali się. Pomocnik prokuratora pomachał im z oddali. Spojrzeli na niego zdziwieni. Wymienili między sobą kilka słów. Chacaltana się uśmiechnął. Mężczyźni ponowili marsz swoją drogą, przyspieszając nieco. Pomocnik prokuratora chciał iść za nimi albo znów zawołać. Przyszło mu do głowy, że może przedstawić się jako komisarz wyborczy. Zrozumiał jednak, że lepiej będzie pozwolić im odejść. Usłyszał szelest poruszanych gałęzi. Przyspieszył, by szybciej wrócić do miasteczka. W tej chwili poczuł, że spada na niego jakieś ciało, dokładnie na jego kark.



Cios sprawił, że się poślizgnął. Niemal wpadł do wody, ale złapał się gałęzi jakiegoś krzewu i udało mu się zrzucić z siebie człowieka, który potoczył się parę metrów i wstał, by znów skoczyć na pomocnika prokuratora. Chacaltana rozpoznał karłowatą postać, którą poprzedniego dnia wypatrzył u wejścia do osady. Próbując wstać, dostrzegł sandały z opony, a przede wszystkim tę samą czerwoną czapkę, którą zauważył wtedy w Quinua. Justino Mayta Carazo nie dał mu zbyt wiele czasu i ponownie rzucił mu się do gardła.

Pomocnik prokuratora zdołał zdzielić go gałęzią w twarz i uciec w stronę zbocza. Natknął się na kamienną ścianę. Justino pędził za nim susami. Chacaltana zaczął się wspinać. Czuł, że każdy kamień rani go w dłonie, że jego stopy ślizgają się na osuwających się kawałkach skały. Wolał nie patrzeć w dół. Niektóre spadające ze stoku kamyki trafiały go w twarz. Zbocze kończyło się płaskowyżem. Kilka sekund zajęło pomocnikowi prokuratora dotarcie na szczyt, czuł, że w każdej chwili może się potknąć i stoczyć w dół. A na górze rozciągała się przed nim lekko wznosząca się równina, znów otoczona kamiennym murem. Biegł. Justino wspinał się bardzo szybko, ale wydawało się, że po skoku z drzewa lekko utyka. Pomocnik prokuratora czuł, że zdobywa przewagę, ale stoki wzgórza były zbyt spadziste, by móc zejść w dowolnym miejscu. Skręcił w prawo, próbując dotrzeć do kolejnego zbocza, na które można by się wspinać. Próbował, ale bez skutku, wysokość i zmęczenie brały górę. Serce wyskakiwało mu z piersi, brakowało powietrza. Dotarł do stoku i palcami zaczepił się o skały. Zaczął się wspinać, opierając stopy na niewielkich wypustkach. Dotarł do przewieszki i zachwiał się. Przeszkoda wydawała się niemożliwa do pokonania. Zebrał ostatnie siły, oparł się o jakiś głaz i podciągnął metr w górę. Kiedy chciał zrobić następny ruch, nastąpił na niestabilny kamień. Poślizgnął się. Skała, na której wisiał, ustąpiła i runął w dół razem z małą lawiną kamieni i ziemi. Upadł na plecy.

Wieśniak podniósł go i pchnął pod ścianę. Chacaltana zebrał myśli i powiedział:

– Panie Justino Mayta Carazo, dopuszcza się pan przestępstwa niesubordynacji i uchybienia szacunku władzy.

Tamten krzyknął coś w keczua. Jego głos zdradzał raczej strach niż odwagę.

– Zapewniam, że złożę doniesienie w sprawie naruszenia mojej integralności fizycznej...

Mamrocząc wciąż w keczua, Justino zaczął go dusić. Przez chwilę pomocnik prokuratora miał wrażenie, że powietrze ucieka mu z płuc, przez gardło, usta, którymi starał się powiedzieć, że jest tylko urzędnikiem do spraw wyborów. Wieśniak nie puszczał, przeciwnie: nacisk narastał. Prawą ręką

pomocnik prokuratora obmacywał grunt, aż trafił na jakiś kamień, podniósł go i resztką sił uderzył Maytę w twarz. Wieśniak padł na ziemię. Pomocnik prokuratora musiał najpierw złapać oddech, żeby wstać. Łapał powietrze haustami. Miał wrażenie, że klatka piersiowa mu pęknie.

Leżący obok Justino złapał się za głowę. Pomocnik prokuratora obawiał się ponownego ataku. Ale wieśniak w czerwonej czapce zaczął łagodnie łkać.

– Ja niczego nie zrobiłem, psze pana! To mój brat robi to wszystko! On to robi!

– Prawdę mówiąc, nic z tego nie rozumiem – wydusił z siebie pomocnik prokuratora.

– Mój brat, to mój brat był, psze pana! Ja niczego nie zrobiłem!

Chacaltana pojął, że Justino nie umie powiedzieć więcej po hiszpańsku. Teraz już wiedział, co mieli na myśli Pacheco i Carrión, kiedy mówili, że tubylcy nie mówią, że nie komunikują się, że są jak martwi. Wieśniak przeczołgał się po ziemi. Miał kanciaste i czerstwe ciało od ciągłej pracy w polu, ale teraz nie wyglądał groźnie, teraz błagał. Z agresora zmienił się w ofiarę, choć przeciwnik pozostawał w bezruchu. Pomocnik prokuratora pomyślał, że pewnie bez problemu da się aresztować, ponieważ pojął, że ma do czynienia z władzą z ramienia prokuratury. Chciał zaprowadzić wieśniaka do jakiegoś tłumacza. To musiała być poważna sprawa. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Ayacucho. Tyle że pod ręką nie było żadnego telefonu. Wieśniak wyglądał coraz żałośniej, jęczał i wił się u stóp Chacaltany. Pomocnik prokuratora zamierzał zmusić policję do dokonania przesłuchania. Nie mogli mu odmówić. Wieśniak bez przerwy mówił o swoim bracie, wciąż pochlipując i stękając. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, jakiej jurysdykcji podlega Yawarmayo, do jakiego sędziego trzeba by go zaprowadzić. Nagle przyszła mu do głowy nowa możliwość, której wcześniej nie rozważał. Zupełnie jakby go olśniło. Ponownie spojrzął na ludzki strzęp wijący się na ziemi. Zapytał:

– Chciałeś... chciałeś mnie zabić, tak?

Nigdy wcześniej nie pomyślał, że ktoś mógłby chcieć go zabić. Może Justino planował spalić i ukryć jego ciało. Poczul chęć, żeby go uderzyć, skopać aż do krwi. Zdał sobie sprawę, że nie może. Żałość emanująca z wieśniaka rozbroiła go. Zabójca wypalił się we własnym ataku. Nagle ów strzęp lamentujący u jego stóp wzbudził w nim strach i żal, tak jak góry, rzeka, czyste i suche powietrze.

Złapał Justina za kark i podniósł.

– Zaprowadzę cię do komisariatu. Teraz porucznik będzie musiał mnie posłuchać.

Ale Justino miał inne plany. Kiedy tylko stanął na nogach, niespodziewanie uderzył łokciem pomocnika prokuratora w brzuch. Chacaltana stracił dech i nie mógł zareagować. Justino walnął go pięścią w twarz, a potem przewrócił kopniakiem. Jednym susem znalazł się na kamiennej ścianie i zaczął się wspinać. Leżący na ziemi pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar mógł tylko patrzeć, jak znika w górach, próbując go jednocześnie ostrzec, że teraz dopuszcza się jeszcze karalnej agresji i ucieczki.

Gdy tylko odzyskał siły, wrócił do miasteczka, myśląc o tym, że policjanci powinni *zdażyć* dogonić Justina. W komisariacie zastał Yupankiego i Gonzę, którzy grali w karty. Wszedł, dysząc ciężko i sapiąc. Na twarzy miał siniaka.

– Natknąłem się na terrorystę. Mam jego nazwisko i potrafię podać opis. Wiem, dokąd uciekł. Możemy go jeszcze dogonić.

Yupanqui rzucił na stół kartę. Nawet się nie obrócił, żeby spojrzeć na przybysza.

– Niech pan stąd idzie, panie komisarzu.

– Słuchajcie mnie! To zabójca. Mogę tego dowieść. Yupanqui wygrał rozdanie. Uśmiechnął się i zebrał karty ze stołu razem z trzema jednosolowymi monetami. Gonza zmarszczył nos z niezadowolenia. Yupanqui odezwał się:

– Jeśli sam pan nie wyjdzie, będziemy musieli pana wyprowadzić.

– Chcę rozmawiać z porucznikiem Aramayo. Yupanqui potasował talie i zaczął rozdawać. Chacaltana nalegał:

– Chcę rozmawiać z...!

– Niech pan nie podnosi głosu, komisarzu. Porucznika nie ma. Dla pana już go nigdy nie będzie.

Pomocnik prokuratora wyszedł z komisariatu. Ruszył w stronę domu Teodora, spoglądając na okoliczne wzgórza, jakby dało się w ten sposób wypatrzeć kryjówkę Justina. Zrozumiał, że przeciwnik jest jak te góry: niemy, nieruchomy, zamaskowany, jest częścią pejzażu.

Musiał pukać w drzwi Teodora dobrą chwilę, zanim go wpuścili. Jego bagaż wciąż tam leżał, otwarty i rozgrzebany. Marynarkę pomięto i rzucono pod torbę. Zdziwiło go odkrycie, że jest mu to obojętne. Teodoro powiedział do niego coś w keczua. Nie brzmiało to jak skarga. Raczej jak pretensja. Pomocnik prokuratora wyjął z kieszeni kilka monet i położył je na podłodze, przed właścicielem, który więcej się już nie odezwał. Chacaltana doceniał te postępy we wzajemnej komunikacji. Położył się od razu, w ubraniu i butach. Był wyczerpany, choć dopiero zaczynało zmierzchać.

Nocą znów usłyszał odgłosy wybuchów i widział blask ognia na wzgórzach. Nie spojrział nawet na rodzinę Teodora ani nie próbował wychodzić. Z początku okrzyki brzmiały jak echo jakiegoś starego filmu. Potem to wszystko wydało mu się muzycznym tłem koszmaru.

Pomyślał o swojej matce.

Tej nocy nie miał żadnych snów.

Następnego ranka wstał wcześniej, żeby zabrać się do pracy. O siódmej policjanci byli już na nogach i malowali fasady domów. Tej nocy również nie powieszono psów.

Głosowanie rozpoczęło się o ósmej mimo nieobecności sześciu członków komisji i kompletnej nieznajomości przepisów wyborczych u pozostałych sześciu. Do komisji zwerbowano kilku głosujących, którzy próbowali się wywinać, dopóki dwóch żołnierzy nie przekonało ich energicznie. Żaden obserwator czy przedstawiciel partii politycznej nie stawił się w lokalu. Obecny w pełnym stanie liczbowym korpus policji zapewniał bezpieczeństwo w pobliżu szkoły imienia Alberta Fujimoriego.

Okolo południa helikopter służby cywilnej pojawił się na niebie i wylądował nieopodal osady. Gałęzie drzew miotają się od podmuchu wywołanego przez śmigła. Tubylcy z zainteresowaniem przyglądali się lądowaniu. Dzieci podbiegły, żeby się pobawić. Z maszyny wysiedli dziennikarze z kamerami i mikrofonami. Wszyscy byli biali, z Limy albo cudzoziemcy. Zachowywali się bardzo poważnie. Przywitali się z policją i Johnatanem Cahuide i weszli do szkoły, żeby stwierdzić, czy głosowanie przebiega prawidłowo. Porozmawiali z dwoma członkami komisji, którzy znali hiszpański. Członkowie pytali, czy w helikopterze przyleciał pan prezydent.

Kiedy dziennikarze robili obowiązkowe zdjęcia, jakiś redaktor wyszedł na plac i zapalił papierosa. Pewien tubylec podszedł i poprosił o jednego. A potem następny. I jeszcze jeden. Po pięciu minutach redaktor stał otoczony miejscowymi, którzy chcieli zapalić. Pomocnik prokuratora Chacaltana uznał, że należy ich przepędzić. Podszedł i poprosił, żeby pozwolili dziennikarzowi wykonywać jego obowiązki. Gdy zostali sami, dziennikarz powiedział:

– Wygląda na to, że jest spokój, nie?

– Na to wygląda.

– Nie było żadnych kłopotów w ciągu ostatnich dni? Ta strefa jest całkowicie spacyfikowana?

Pomocnik prokuratora pomyślał, że to może być jego ostatnia okazja, by opowiedzieć, co wie. Dziennikarz mógł to opublikować i przekazać do Limy, gdzie z pewnością będą oburzeni i przyślą jakąś komisję albo zażądają

sledztwa. Być może komendant po prostu nie jest zorientowany w tym, co tu się dzieje, ale jeśli rozkaz przyjdzie z Limy, weźmie się do sprawy na poważnie. Chciał powiedzieć o Justinie Maycie Carazo i jego tajemniczych pojawieniach się i zniknięciach, o sierpach i młotach płonących nocą nad Yawarmayo, o okrzykach na wzgórzach i wrzaskach młodych chłopaków zamykanych w wojskowych ciężarówkach. Otworzył usta i zaczął:

– Cóż, czasami...

– Czasami ma się wrażenie, że nigdy nie było tu żadnej wojny.

Głos, który mu przerwał, należał do porucznika Aramayo. Oficer pojawił się obok nich z łagodnym i zadowolonym uśmiechem.

– Sam pan widzi – ciągnął policjant. – Dobry klimat, wiejski spokój, ludzie swobodnie korzystający z prawa do głosowania... Czego jeszcze można chcieć?

– Racja – przyznał dziennikarz. – Powinienem się tu przeprowadzić. Lima bywa czasami nie do wytrzymania.

– Wyobrażam to sobie – przyznał Aramayo ze zrozumieniem. – Mogę wyłudzić od pana papierosa?

Pomocnik prokuratora Chacaltana przez następne dwadzieścia minut nie odezwał się słowem. Potem dziennikarze wrócili do helikoptera i odlecieli. Ze względu na wiatry nie można lądować w Ayacucho po drugiej po południu. Kończył im się czas. Chacaltana patrzył z dołu na kamery filmujące ostatnie ujęcia z okien latającej maszyny.

O czwartej, w porze zamykania lokali wyborczych, ankiety wskazywały na zwycięstwo kandydata opozycji. Niektóre dawały mu ponad połowę głosów. W Państwowej Komisji Wyborczej i wśród wojskowych zapanowała dziwna nerwowość. Do piątej po południu Cahuide wciąż odbierał telefony i przygotowywał paczki, które miały zabrać ciężarówki wojskowe. Oficerowie biegali wte i wewte, ignorując pomocnika prokuratora, który stał się czymś w rodzaju kolejnego przedmiotu do załadowania, czymś, co nie wydaje żadnych odgłosów.

Cztery godziny później ciężarówka zbliżała się do Ayacucho z głośno grającym radiem. Między salsą i *valienatos* rozbrzmiewającymi w trakcie podróży pojawił się komunikat dotyczący pierwszych wyników wyborczych. Wszystkie ankiety okazały się błędne. Prawdziwym zwycięzcą został prezydent. Miało się jeszcze rozstrzygnąć, czy będzie druga tura. Żołnierze w szoferce nastavili radio na muzykę. Nudziła ich polityka.

Nocą, kiedy do celu pozostały jeszcze dwie godziny, Chacaltanie przypomniali się słowa Aramayo, który mówił o tym, że ludzie z Limy nie chcą

widzieć, co się dzieje w jego osadzie. Ale zastanawiał się też, dlaczego (ostatnio często pytał się „dlaczego”) porucznik nie chciał powiedzieć prawdy dziennikarzom i dowództwu. Może się trochę wstydził. Niełatwo przyznać, że jest się martwym.

## **Poniedziałek 10 kwietnia / piątek 14 kwietnia**

Dnia 8 marca 1990 roku w związku z zamachem terrorystycznym polegającym na wysadzeniu instalacji wysokiego napięcia w regionie, patrol Sił Zbrojnych stawił się w lokalu zamieszkiwanym przez rodzinę Mayta Carazo przy ulicy Sucre numer 14 w Quinua celem dokonania ustaleń dotyczących podejrzanego o akty terroru Edwina Mayty Carazo, liczącego lat 23.

Z powodów bezpieczeństwa patrol dowodzony przez porucznika Alfredo Cáceresa Salazara wkroczył do wzmiankowanego domostwa bez uprzedzenia i zgodnie z przysługującym mu prawem z zamaskowanymi twarzami i karabinkami szturmowymi H&K, zastając we wnętrzu rodzinę składającą się z przywoływanego powyżej podejrzanego, jego brata Justina oraz matki obydwu imieniem Nélide Carazo, wdowy po Maycie, którzy nocowali na miejscu.

Po wkroczeniu na miejsce obaj mężczyźni nazwiskiem Carazo, którzy nie stawiali żadnego oporu, zostali dla większej pewności obezwładnieni uderzeniami kolb, podczas gdy Nélide Carazo, wdowa po Maycie, została usunięta z pola działań przez dwóch mundurowych, którzy, jak zameldowali, przyparli ją karabinami do zewnętrznej ściany zabudowania w celu uniknięcia krzyków i zaalarmowania sąsiadów. Zamiar mundurowych został osiągnięty, jako że żaden z mieszkańców ulicy Sucre nie poświadczył wersji rodziny Carazo, gdyż wszyscy twierdzili, że w godzinach między północą i trzecią nad ranem, czyli kiedy doszło do opisywanych wydarzeń, przebywali poza miejscem zamieszkania w związku z różnorakimi sprawami zawodowymi.

Z rozkazu porucznika Cáceresa Salazara żołnierze przystąpili do przeszukania mieszkania celem odnalezienia materiałów wybuchowych tudzież propagandy Świetlistego Szlaku. Po sprawdzeniu wnętrza domostwa i usunięciu mebli bez żadnych rezultatów, przesłuchano obu podejrzanym, którzy wypierali się jakiegokolwiek wiedzy z zakresu działań terrorystycznych. Porucznik Cáceres utrzymuje jednak, że terroryści, którzy nie wyglądają na terrorystów, stanowią największe zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, toteż kontynuowano rekwirowanie dóbr należących do rodziny i zatrzymano podejrzanego Edwina Maytę Carazo, pozostawiając na wolności jego brata, któremu w trakcie przesłuchań złamano piszczel lewej nogi.

Jednocześnie matka obydwu, Nélide Carazo, wdowa po Maycie, próbowała wdrzeć się z powrotem do domu, gdzie przybywali jej potomkowie, wobec czego żołnierze Armii Peruwiańskiej zmuszeni byli do jej zatrzymania, aby nie utrudniać działań śledczych. W efekcie, co poświadcza stosowny raport lekarski, Nélide Carazo doznała złamania dolnej szczęki i pęknięcia

kości ciemieniowej.

Po zakończeniu działań podejrzany Edwin Mayta Carazo został zawieszony pojazdem wojskowym do bazy w Vischongo, miasta oddalonego o kilka godzin od jego miejsca zamieszkania, gdzie poddano go procedurze przesłuchania.

Zatrzymany stanowczo zaprzeczał jakimkolwiek związkom ze Świetlistym Szlakiem, co jeszcze bardziej przekonało porucznika Cáceresa Salazara o uwikłaniu podejrzanego w liczne zamachy, bowiem, jak podkreślił, terroryści charakteryzują się negowaniem swojego uczestnictwa w zajściach. W rezultacie celem skłonienia zatrzymanego do podjęcia współpracy zastosowano wobec niego technikę polegającą na związaniu rąk za plecami i powieszeniu u sufitu za nadgarstki, tak żeby ból zachęcił go do przyznania się do dokonanych przestępstw.

Następnie, jako że zatrzymany wciąż przeczył swojej winie, członkowie armii przystąpili do zastosowania innej techniki przesłuchiwania, określanej mianem „nurek”, polegającej na wielokrotnym zanurzeniu głowy aresztowanego w wiadrze z wodą, tak by bliski był utopienia, przez co skłonność do udzielania odpowiedzi na pytania władzy znacząco wzrasta. Jak utrzymują władze, zatrzymany wciąż przeczył przynależności do Świetlistego Szlaku. Mimo starań przesłuchujących nie udało się znaleźć potwierdzenia zbrodniczej działalności podejrzanego.

W końcu wobec powtarzających się zaprzeczeń Edwina Mayty Carazo, porucznik Cáceres Salazar postanowił wypuścić go z więzienia, co uczynił następnego dnia, jak to zapisano w aktach ze stosowną datą w bazie wojskowej Vischongo.

Edwin Mayta Carazo znajduje się od tego czasu w miejscu nieustalonym. Jego rodzina utrzymuje, że nigdy więcej go nie zobaczyła, tak jak przyjaciele i znajomi, co potwierdza tezę, iż przeszedł do podziemia w charakterze członka jakiejś grupy terrorystycznej, zapewne Świetlistego Szlaku, i pozostaje tam po zakończeniu walki z terroryzmem aż do dnia dzisiejszego w miesiącu kwietniu 2000 roku.

W obecności niżej podpisanego Justino przyznał, że jego brat dopuszczał się działań o charakterze niebezpiecznym, których jednak nie określił precyzyjnie. W efekcie prokuratura zaleca dokonanie zatrzymania Edwina Mayty Carazo, Justina Mayty Carazo i porucznika Armii Peruwiańskiej Alfreda Cáceresa Salazara, celem złożenia zeznań w stosownym terminie.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar dziesiąty już raz przeczytał raport. Tym razem nie wyrzucił go do kosza. Ale zawahał się.



Był zmartwiony. Składnia w porządku, choć może zbyt prosta i daleka od tradycyjnych form. Brakowało na przykład informacji o wieku osób uwikłanych w sprawę, bo nie zdołał tego ustalić we wszystkich przypadkach. Ale pomocnik prokuratora martwił się przede wszystkim reakcją dowódcztwa, zarówno Pacheco, jak i Carrióna. Napisał to wszystko możliwie najszybciej. Starał się zrozumieć pełną poświęcenie i często niełatwą pracę sił zbrojnych. Mimo to prawda jakoś mu się wślizgnęła między formalne zwroty i nie potrafił się od niej uwolnić.

Znów przypomniały mu się słowa Justina: „To mój brat był. To mój brat robi to wszystko”. Może pomocnik prokuratora powinien puścić je mimo uszu i nie zawracać sobie głowy tą sprawą, może powinien zamknąć oczy, zapomnieć. Zawsze dobrze jest zapomnieć. Tyle że te wszystkie zajścia wokół Yawarmayo trzymały się go uporczywie jak jakieś dzwonięcie w uszach, ciężkie uczucie na karku i w żołądku.

Poza tym całymi dniami nie robił nic. Od powrotu z Yawarmayo zmienił się w ducha z prokuratury. Nikt nie zlecił mu żadnej pracy, nie otrzymał żadnego doniesienia, nawet zwykłej notatki. Bieżące sprawy przekazano pod jego nieobecność innym osobom. Prokurator okręgowy nie podał mu żadnego wytłumaczenia. Jego koledzy twierdzili, że o niczym nie wiedzą. Ze swojej strony sędzia Briceño zadzwonił do niego, żeby pogratulować zażyłości z komendantem Carriónem. Powiedział mu, że to najlepszy sposób, żeby sobie kupić datsuna. Pomocnik prokuratora podziękował za gratulacje, choć do końca ich nie rozumiał, a kilka godzin później usłyszał w toalecie, jak tenże sędzia opowiada komuś, że Carrión kazał izolować pomocnika prokuratora, bo już mu nie ufa. „No i ma pajac przesrane”, podsumował sędzia. Bardziej niż te typowe w końcu intrygi w organach wymiaru sprawiedliwości irytowało Chacaltanę poczucie pustki. Od dwudziestu lat stawał się w biurze każdego ranka, a teraz nagle poczuł się bezużyteczny, jakby jego gabinet zmienił się w bańkę wody oddzielającą go od świata. Nudził się.

Resztę poniedziałku spędził na rzucaniu papierowej kulki do kosza na śmieci. Od czasu do czasu przez jego głowę przewijały się nagle wspomnienia z Yawarmayo i postać Justina. „To mój brat był. On robi to wszystko”. Jaki brat? Co robi?

Nie chciał jeść u Edith, w każdym razie póki nie będzie miał żadnych sygnałów wsparcia czy wieści o awansie ze strony przełożonych. Pożegnał się z nią, obiecując, że zabierze ją na przyjęcia w wyższych sferach. Nie wróci przecież teraz, mówiąc, że może ją zaprosić co najwyżej do pustego biura. Poczul, że ją zawiedzie, że będzie nim rozczarowana. Zjadł w gabinecie przyniesiony z domu w menażce ryż z kurczakiem i resztę popołudnia poświęcił papierowej kulce. W nocy kiepsko spał.

Wtorek przebiegał dokładnie tak samo. Oprócz koszmarów pojawiły się jeszcze poty i mdłości.

W środę dwunastego o 9.35, czując silną potrzebę zrobienia czegoś, zdecydował się odszukać nazwisko Justina w archiwum prokuratury. Miał nadzieję, że znajdzie coś użytecznego, a w każdym razie będzie sprawiał wrażenie, że wykonuje jakąś sensowną czynność. Nauczył się, że ważne jest nie to, by rzeczywiście pracować, a raczej to, by sprawiać takie wrażenie. W Limie, gdzie rywalizacja była ostrzejsza, Chacaltana siedział w biurze aż do dziesiątej wieczorem, choćby nie miał niczego do roboty, żeby nie wyglądało na to, że zbyt wcześnie wychodzi do domu. W Ayacucho urzędnicy wychodzili z pracy wcześniej, ale w małych miastach złośliwe języki działają jeszcze szybciej.

Archiwum mieściło się w wielkiej sali pozbawionej okien, pełnej papierów i szuflad, i pomocnik prokuratora spędził tam cały rano, grzebiąc we wspomnieniach z lat osiemdziesiątych, w zakurzonych i starych dokumentach, szukając nazwiska May ty Carazo. Nie figurowało w aktach skatalogowanych według nazwisk. Nie było go także wśród zatrzymanych czy przesłuchiwanym w związku z działalnością terrorystyczną czy zwykłymi przestępstwami. Kiedy już miał porzucić tę pracę, zdecydował się poszukać w aktach spraw nierozwiązanych bądź zarzuconych. Znalazł doniesienie złożone przez matkę Edwina po jego zaginięciu. Musiała to być ta sama kobieta, która otworzyła mu drzwi w Quinoa tego dnia, kiedy został uderzony. Sprawa została umorzona następnego dnia po przyjęciu doniesienia, i to bez podpisu osoby, która je złożyła.

Dzięki informacjom zawartym w tym dokumencie odszukał wcześniejsze akta związane z Edwinem Maytą Carazo, które wylądowały w przegródce „Sprawy odrzucone”. Wreszcie trafił na trop: brat Justina został raz wskazany jako członek komórki działającej nieopodal Huanty, choć nigdy niczego mu nie dowiedziono. Po tym, jak wysadzono kilka słupów energetycznych, jakiś sąsiad doniósł na dwóch innych członków tej komórki. Wówczas armia postanowiła odnaleźć Edwina i przesłuchać go.

W notce na temat Edwina znalazły się także nazwiska pozostałych podejrzanych. Dwoje z nich, mężczyzna i kobieta, przebywało „w nieustalonym miejscu”. Trzeci, Hernán Durango González, alias towarzysz Alonso, odsiadywał dożywocie w więzieniu o zaostrowym rygorze w Huamandze.

Pomocnik prokuratora uzmysłowił sobie, że nigdy w życiu nie rozmawiał z terrorystą. Zastanawiał się, czy można taką rozmowę uznać za dowód w sprawie i czy wolno opierać się na zeznaniach przestępcy winnego zdrady ojczyzny. Potem uświadomił sobie, że to wszystko jedno. Nie ma dowodów, bo nie było procesu ani wyroku. Temat zwłok z Quinoa został zamknięty.

Tego popołudnia, po posiłku zjedzonym przy jakimś ulicznym kramie, udał się do więzienia. Pomyślał, że nawet jeśli zamknie sprawę tylko na własny użytek, to przynajmniej skończą się jego nocne koszmary.

Więzienie o zaostrzonym rygorze w Huamandze, planowane na trzystu więźniów, mieściło dziewięćset siedemdziesięciu czterech skazanych, w tym dwustu pięćdziesięciu dwóch oskarżonych o terroryzm i zdradę kraju. Podchodząc pod zabudowania, pomocnik prokuratora przyjrzał się dziesięciometrowym murom z wieżyczkami obserwacyjnymi na rogach. W promieniu trzech kilometrów nie było nikogo i niczego, tak że najmniejszy ruch w okolicy można było wykryć nawet w znacznej odległości od ogrodzenia obiektu. By wejść, należało okazać w bramie dowód osobisty, a każdego zapisywano w książce odwiedzających. Po pierwszej kontroli zaczynał się długi korytarz prowadzący do kolejnej stróżówki.

– Dziś nie ma wizyt – oznajmił sucho drugi wartownik.

Pomocnik prokuratora pokazał swoją legitymację. Strażnik nawet nie spojrział.

– Dziś nie ma wizyt – powtórzył.

Pomocnik prokuratora wolał unikać zbędnych dyskusji. Podziękował za poświęcenie czasu, wziął swój dokument i ruszył z powrotem. Był już na zewnątrz, kiedy uzmysłowił sobie mu się, że w biurze nie ma niczego do roboty. Przypomniała mu się papierowa kulka. I koszmary. Obrócił się i ponownie wyjął swoje papiery, a pierwszy strażnik bez słowa kolejny raz zapisał je w zeszycie. Chacaltana znowu znalazł się w korytarzu i wrócił do drugiego stanowiska kontrolnego.

– Proszę wezwać urzędnika Państwowej Służby Więziennej. Przychodzę tu z misją służbową – oświadczył stanowczo.

Strażnik wydał z siebie jakieś warknięcie, jakby denerwowało go, że ktoś zakłóca jego środowowy spokój. Potem powiedział:

– Nie ma żadnego urzędnika.

– Przepraszam bardzo, ale to jest zakład karny. Musi tu być jakiś urzędnik Pań...

– Tutaj rządzi pułkownik Olazábal. Jeśli chce pan z nim rozmawiać, musi pan przesłać faks do Generalnej Administracji Policji z prośbą o wyznaczenie terminu.

Policjant. Chacaltana wiedział, że wieloma więzieniami zarządzają policjanci zamiast urzędników, bo służba więzienna nie była w stanie zapanować nad wszystkimi obiektami i nie dysponowała odpowiednią kadrami.

Wychodząc, ponownie czuł ogarniającą go frustrację i myślał, że może rzeczywiście trzeba by wysłać formalną prośbę o spotkanie do Państwowej Służby Więziennej. Potem przemyślał to wszystko jeszcze raz: ta sprawa została zamknięta, a system komunikacji międzyinstytucjonalnej okazał się niezbyt wydajny. Mimo wielkiego zaufania do instytucji państwowych zdawał sobie sprawę, że otrzyma odpowiedź odmowną. Ale nagle przyszło mu do głowy, że on także jest osobą instytucjonalną. Wyszedł już poza zakład karny, ale, zdecydowany i pewny, zawrócił, kolejny raz pokazał dowód milczącemu strażnikowi przy wejściu i stawił się ponownie przed drugim ze strażników, który wyglądał na sennego i mamrotał coś pod nosem, może ze zdziwienia na widok tej samej osoby powracającej tyle razy w ciągu jednego dnia.

– Proszę zadzwonić do pułkownika Olazábala – zażądał pomocnik prokuratora. – Porozmawiam z nim.

– Jest zajęty. Mówiłem już, że musi pan wysłać faks do...

– W takim razie proszę mi podać pańskie nazwisko i numer służbowy, bo zamierzam wspomnieć o panu w tym fakcie.

Nagle policjant jakby się przebudził. Nie wyglądał już na tak sennego.

– Przepraszam? – zapytał bardzo przytomnie.

– Proszę o pańskie dane. Zapiszę je sobie i przekażę pułkownikowi Olazábalowi, że ociaga się pan z pomocą przy śledztwach prowadzonych przez władze.

Strażnik już nie mamrotał. Raczej pobladł i przechylił się na bok, żeby zasłonić plakietkę z nazwiskiem.

– Ależ nie, szanowny panie – powiedział. Pomocnik prokuratora zauważył, że został nazwany „szanownym”, a głos strażnika złagodniał. To nie tak, ja mam rozkazy i je wypełniam. Nie chciałem utrudniać...

– Nie interesują mnie pańskie opowieści, kapralu. Proszę, żeby mi pan podał swoje dane albo połączył z pułkownikiem Olazábalem. Pan wybiera.

Pomocnik prokuratora zastanawiał się, czy można by go oskarżyć o brak szacunku dla instytucji władzy, niesubordynację albo zdradę kraju. Odpowiedział sobie, że tak. Ale jednocześnie czuł, że robi coś innego, może nawet coś ważnego, w każdym razie dla siebie, dla swoich marzeń. Strażnik spojrzał na niego nienawistnie, wstał i wyszedł z kabiny. Wrócił po piętnastu minutach. Gestem nakazał pomocnikowi prokuratora, by ten siedział za nim.

Między zabudowaniami wejściowymi i pawilonami z celami stał kolejny dziesięciometrowy mur, zwieńczony drutem kolczastym i oddzielony od murów zewnętrznych pasem ziemi niczyjej, szarą i jałową strefą szerokości ośmiu

metrów, na której obowiązywał rozkaz strzelania do wszystkiego, co się rusza.

Pomocnikowi prokuratora rejonowego Feliksowi Chacaltanie ziemia niczyja wydała się pierwszą oznaką piekła. Więźniowie siedzieli wczepieni w okienne kraty z pustymi oczami, które od dziesięciu lat nie oglądały niczego prócz tych murów. Policjanci grający w karty i wycierający pot z karku swoimi galonami wiedzieli, że to nie jest dobre miejsce na awans, więc rozładowywali swoją frustrację, strzykając śliną na kraty. Dla szesnastu więźniów pawilonu E, skazanych na dożywocie, ten pusty skrawek gruntu będzie ostatnim kawałkiem stosunkowo wolnej ziemi, jaki będą mogli oglądać, ale tylko po to, żeby nie zapomnieć, że nigdy nie dotkną go stopą.

Weszli na drugie piętro budynku opodal bramy. Na końcu schodów czekał na nich wysoki oficer, biały i prawie pozbawiony włosów, choć wciąż jeszcze młody. Miał koszulę z krótkim rękawem i nie nosił kepi. Strażnik przy wejściu przywitał ich po wojskowemu. Chacaltana został wezwany przez pułkownika Olazábala. Ten poprosił, by zostawiono ich samych.

– Nie poinformowano nas o żadnej inspekcji – oświadczył, wyraźnie w kiepskim humorze.

Pomocnik prokuratury próbował się wytłumaczyć:

– Nie przychodzę tu z żadną oficjalną inspekcją. To wizyta o charakterze osobistym.

– Będę odpowiadał tylko przed moimi przełożonymi.

– Nie chodzi mi o pana, tylko o więźnia Hernána Durango Gonzáleza.

– Nie mogę się zgodzić na żadne nieregularne widzenia.

Pomocnik prokuratora wiedział, że stoi przed ostatnim już murem dzielącym go od podejrzanego. Przyjrzał się pistoletowi w kaburze policjanta. Pomyślał, że przecież on też posiada broń. Obosieczną. Powiedział:

– Proszę zadzwonić do komendanta Carrióna. On panu powie to, co chce pan wiedzieć. Ale nie spodoba mu się negowanie jego władzy.

Wtedy pułkownik jakby stracił rezon. Oczy otwarły mu się szeroko, ciało stężało, całe, oprócz twarzy, na której próbował wymusić uśmiech. Pomocnik prokuratora kontynuował:

– Prowadzę śledztwo wyższego rzędu w sprawie...

– Nie musi mi pan mówić – przerwał mu pułkownik. – Nasze bramy są dla komendanta zawsze otwarte.

Nagle wszystko potoczyło się szybciej. Policjant powierzył Chacaltanę jakiemuś kapralowi, żeby zaprowadził go do więźnia. Z taką eskortą pomocnik

prokuratora przeszedł pas ziemi niczyjej i wszedł do pierwszego z pawilonów. Skręcili w prawo. W długim korytarzu pawilonu E natykali się na twarze, w których odbijała się milcząca i kamienna ciekawość. Dotarli na centralny dziedziniec. Między okratowanymi oknami stały warsztaty rzemieślnicze i stanowiska do prac ręcznych. Kilku więźniów składało wędki albo montowało ciężarki do ćwiczeń.

– Przyszedł pan skrócić nam wyroki? – zapytał jeden ze skazańców.

– Cisza, do cholery! – przerwał mu kapral. A potem krzyknął głośno: – Hernán Durango González!

Pomocnik prokuratora czuł na sobie spojrzenia więźniów, wszystkie skupione na nim, na mężczyźnie w garniturze i krawacie, który mógł być kimkolwiek, może adwokatem. Chacaltana postanowił zareagować. Ogarnęło go współczucie. Odezwał się do skazanego:

– Postaram się doprowadzić do rewizji pańskiej sprawy. Proszę mi zapisać dane, a ja...

Policjant się zaśmiał. Odezwał się do pomocnika prokuratora:

– Temu bydlakowi będzie pan sprawę rewidował? Już mu rewidowali. Ten typ zabił dwadzieścia sześć osób, w tym sześcioro dzieci. Wszystkich z zimną krwią. Proszę sobie robić rewizję, droga wolna.

Przestępca nie odpowiedział. Wyglądał na poirytowanego. Z drugiej strony podszedł inny więzień, szczupły, ciemny, o lodowatym spojrzeniu. Przedstawił się jako Hernán Durango González. Wolał, żeby mówić na niego towarzysz Alonso. Kapral skulił ręce terrorysty kajdankami i zaprowadził obydwu do wieżyczki przy wejściu, gdzie mogli porozmawiać na osobności. Podczas gdy pomocnik prokuratora zastanawiał się, jak zacząć, skazaniec powiedział:

– Jeśli będzie pan chciał informacji w zamian za korzyści, proszę zapamiętać. Nie zdradzę moich towarzyszy.

Pomocnik prokuratora spodziewał się takiego bezpośredniego postawienia sprawy, pierwszej próby zahukania rozmówcy. Czytał o tym w wielu podręcznikach dotyczących wojny partyzanckiej. I wyczytał też, jak należy odpowiadać. Pogarda:

– Twoich towarzyszy? Ty nie masz już żadnych towarzyszy. Wszyscy pozamykani. Wojna się skończyła. Nie oglądasz telewizji?

Hernán Durango González popatrzył prosto w oczy pomocnika prokuratora. Zdawał się mierzyć z nim spojrzeniem, aż w końcu Chacaltana spuścił wzrok. Trudno było wytrzymać kontakt ze źrenicami terrorysty. Nie.

Nie może ustąpić. Starał się ukryć dreszcz, który przebiegł przez jego plecy. Powiedzieli mu, że zdeklarowani terroryści starają się zdominować przesłuchania, że potrzeba silnego charakteru albo kilku ciosów kolbą, żeby ich okiełznać. Próbował unieść wzrok i nie zbaczać z tematu:

– Przeszedłem zapytać cię o kogoś, kogo znałeś: o Edwina Maytę Carazo.

Terrorysta wyglądał na zaskoczonego.

– Edwina?

– Pamiętasz go dobrze?

Durango opanował się i próbował odzyskać przewagę.

– Nie będę mówił.

– Zatrzymano go dziesięć lat temu. Po uwolnieniu zaszył się w podziemiu.

– Uwolnieniu? – Mimo uśmiechu malującego się na jego twarzy, terrorysta wciąż miał spojrzenie jak stal, jak kula. – Zapuszkował go Pies Cáceres. Cáceres nie wypuszczał podejrzanych. Pozbywał się ich.

Pomocnik prokuratora pamiętał, że nie należy dyskutować, nie można połknąć haczyka i bawić się w argumentowanie. Mówiono mu, że terroryści dyskutują tylko po to, żeby skołować rozmówcę, że kłamią, żeby zamieszać, że chronią się za najgorszymi łgarstwami. Pomocnik prokuratora odetchnął ciężko.

– Tak jest zapisane w archiwum.

– A zabójstwa Cáceresa też są tam opisane? I to, jak mówił, że lepiej ubić stu kolorowych, niż puścić jednego terrorystę?

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o...

– Wie pan, jak Cáceres trenował swoich ludzi? Kazał zabijać im psy i zjadać ich jelita. Żołnierza, który odmówił, traktowano jak takiego psa. Dlatego tak nazywano Cácaresa. Ma to pan w archiwum?

Pomocnik prokuratora przypomniał sobie psy w Yawarmayo. Starał się przegnać to wspomnienie z głowy jak komara.

– Panie Durango, na razie ja będę zadawał pytania.

– A, prawda. Zapomniałem, dla kogo pan pracuje. Pomocnik prokuratora zateśknił za szklanką wody. Zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu nie ma niczego, ani wody, ani łazienki, ani ozdób, tylko dwa krzesła i puste biurko, na którym stała flaga Peru. Postanowił mówić dalej:

– Zgodnie z informacjami, którymi dysponuję, nie jest pewne, czy Edwin należał do Świetlistego Szlaku, czy był niewinny...

– A pan? Pan jest niewinny? A pańscy przełożeni? Są niewinni?

– Chodzi mi o to, czy dopuścił się aktów terrorystycznych...

– Oczywiście. Kiedy człowiek zabija bombami domowej roboty, nazywa się to terroryzmem, a kiedy zabija się karabinami maszynowymi i głodem, nazywa się to obroną. Taka gra słów, prawda? Wie pan, jaka jest różnica? Taka, że nam jest wszystko jedno. Natomiast ci z pańskiej strony, jeśli nie mają karabinu w dłoni, leją ze strachu po nogach.

Prawie dwadzieścia lat wcześniej, podczas ostatniej wizyty w Ayacucho, pomocnik prokuratora przeleciał nad okolicami Huanty wojskowym helikopterem na zaproszenie zaprzyjaźnionego kapitana. W połowie drogi, w górach, z krzaków wynurzył się człowiek z czerwoną flagą. Był sam. I biegł przed helikopterem, pokazując flagę. Żołnierz siedzący z brzegu miał karabin maszynowy Star. Wystrzelił. Pilot zmodyfikował trasę, żeby lecieć za sztandarem. Człowiek na dole biegł tak szybko, jak mógł, ścigany przez serie z karabinu, którymi próbowali go dosięgnąć, zanim przepadnie w krzakach. Ale kiedy mężczyzna z flagą znalazł się blisko krzewów, które mogłyby go ochronić, biegł dalej odsłoniętym terenem z łopoczącym sztandarem niczym czerwone splunięcie w twarz wojskowych. Nie chował się i pędził przez setki metrów, gardząc naturalnymi kryjówkami pojawiającymi się po drodze, a za nim pył wzbijany przez pociski trafiające coraz bliżej jego stóp. Po pięciu minutach pościgu został trafiony, najpierw w nogi, a potem, kiedy padł, w plecy i pierś. Resztki siły zużył na trzymanie prosto flagi. Żołnierz był zadowolony, jakby trafił ptaka, i dalej strzelał, wykrzykując obelgi, których ten na dole i tak nie mógł usłyszeć.

– Dlaczego to zrobił? – zapytał wtedy pomocnik prokuratora. – Dlaczego dał się tak zabić?

– Żeby pokazać, że śmierć go nie obchodzi – odpowiedział pilot.

Potem helikopter zawrócił w stronę miejsca, z którego wyłonił się osobnik z flagą. Żołnierze zaczęli ostrzeliwać krzaki, drzewa, zakole rzeki, chaszczce. Pomocnik prokuratora znów zapytał:

– A teraz po co strzelają tak bez celu?

– Bo może trafimy w któregoś z gówniarzy, którzy go oglądali. To była część szkolenia. W Szlaku pełno jest trzynastolatków, których podniecają takie wyczyny. Każdy trup z flagą, taki jak ten, owocuje dziesiątką albo dwunastką zabójców gotowych na to samo.

Przypomniał mu się ten epizod, zanim odpowiedział Hernánowi Durango Gonzálezowi:

– Nie pozwalam na porównywanie członków Sił Zbrojnych z...



- Bo tu nie ma porównania. Jesteście jak psy gończe swoich panów.
- Zostaliście pokonani. Was już nie ma.
- Często pan rozmawia z ludźmi, których nie ma? Pomocnik prokuratora pomyślał o swojej matce. Zawahał się.
- Je... jesteście pokonani. Przypominam, że siedzi pan w więzieniu.
- Wciąż tam jesteśmy, panie prokuratorze. Przyczailiśmy się. Ten step będzie płonął, tak jak palił się przez wieki, wystarczy jedna iskra.

Będzie płonął. Ten czasownik wyjątkowo działał Chacaltanie na nerwy. Powtórzył sobie, że nie powinien wdawać się w dyskusje ani usprawiedliwiać. Odpowiedział:

- Przyszedłem tylko po to, żeby zapytać o Edwina Maytę Carazo. A nie, żeby wysłuchiwać pańskich tyrad.

Spojrzenie terrorysty na chwilę złagodniało. Popatrzył przez okno. Okna pomieszczeń biurowych miały mniej krat niż te w celach. Odezwał się:

- Powinien pan od czasu do czasu zaglądać do więzień o zaostrowym rygorze, panie prokuratorze. Pierwszy raz jest pan w takim miejscu?

- No... tak. Wcześniej nie prowadziłem podobnych spraw...

- Powinien się pan przespacerować w pobliżu cel. Ciekawe rzeczy by pan zobaczył. Może przeszłaby panu ta mania rozdzielana ludzi na terrorystów i niewinnych, jakby to były orzeł i reszka.

Pomocnik prokuratora nie chciał powiedzieć tego, co powiedział. Ale nie mógł się powstrzymać.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Jest tu jeden skazany za roznoszenie terrorystycznej propagandy, ale jest analfabeta. Winny czy niewinny?

Pomocnik prokuratora zanurzył się mentalnie w przepisach prawnych w poszukiwaniu odpowiedzi, mamrocząc jednocześnie:

- No cóż, z praktycznego punktu widzenia chyba...

- Drugiego zamknięto za to, że podłożył bombę w szkole. Ale on jest niedorozwinięty umysłowo. Winny czy niewinny? A ci, którzy zabili, bo grożono im śmiercią w razie odmowy? W myśl prawa są niewinni. Ale w takim razie, panie prokuratorze, my tu wszyscy jesteśmy niewinni. Wszyscy zabijaliśmy pod groźbą śmierci. Na tym polega wojna partyzancka.

Za dużo pytań naraz. Pomocnik prokuratora nie był w stanie nadażyć z analizowaniem przepisów.

– Ja się ograniczam wyłącznie do pytania, co pan wie o pewnym podejrzanym.

– A ja się ograniczyłem do udzielenia panu odpowiedzi, panie prokuratorze.

Zapadła między nimi cisza ciężka jak nagrobna płyta. Pomocnik prokuratora nie miał więcej pomysłów na pytania. Był zmieszany. Może nie trzeba było iść do więzienia. Nie zdobył żadnej przydatnej informacji. Uprzedzono go, że aby przesłuchiwać członka Szlaku, trzeba mieć upór, jaja i pałkę. Pomocnikowi prokuratora chciało się pić. Kiedy już miał zakończyć rozmowę, terrorysta zapytał:

– A teraz niech pan mi odpowie. Jak się miewa pańska mamusia?

Félix Chacaltana poczuł, jak każdy pojedynczy mięsień jego ciała napręża się w ciężkim, szarym skurczu. Oczy Durango pozbawione były wyrazu, pełne pogardy, takie spojrzenie pomocnik prokuratora napotykał u każdego aresztowanego terrorysty.

– Proszę?

– Wiem, że jej wspomnienie jest panu bardzo bliskie. Ona umarła, prawda? – ciągnął Durango. – Ja...

– Był pan bardzo mały, co?

– Skąd pan to wie? – zapytał pomocnik prokuratora być może tylko po to, żeby odwrócić wreszcie rolę. Nagle wydało mu się, że to on jest przesłuchiwany.

– Partia ma tysiąc oczu i tysiąc uszu – powiedział Durango z uśmiechem i wciąż pustym spojrzeniem utkwionym w rozmówcy. – To oczy i uszy ludu. Nie da się zamknąć i wybić całego ludu, on zawsze jest. Jak Bóg. Niech pan pamięta.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar opuścił biuro zalewany falą mdłości i z gulą w gardle. Nagle poczuł, jak nigdy wcześniej, że sprawa nieboszczyka z Quinua dotyczy go osobiście w sposób znacznie wyraźniejszy, niż to się na pierwszy rzut oka wydawało. Wszedł do łazienki i przepłukał sobie twarz. Ponieważ nie było papieru toaletowego, wytarł się własną chusteczką i zaczesał dłonią swoje niepokorne włosy do tyłu. Westchnął. Próbował się rozluźnić. Otworzył drzwi i znalazł się twarzą w twarz z pułkownikiem Olazábalem. Przestraszył się. Jednak Olazábal zachowywał się uprzejmie.

– I jak poszło? Udało się panu wydobyć potrzebne informacje?

– No, mniej więcej...

- Proszę do nas wracać, kiedy tylko będzie panu pasowało.
- Nie... nie sędzę, żeby to było konieczne. Miał nadzieję, że nie będzie.
- Mogę pana zaprosić na kieliszeczek czegoś mocniejszego? A może kawki? Mate?
- Nie, dziękuję. Muszę już iść.
- Proszę przekazać komendantowi Carriónowi pozdrowienia ode mnie.
- Oczywiście.

Pomocnik prokuratora zaczął schodzić w dół. Policjant kroczył tuż za nim.

- I zapewnienia, że jesteśmy gotowi wesprzeć wszystkie jego działania.
- Tak uczynię, oczywiście.
- Panie prokuratorze... – Tak?

Chacaltana uznał, że musi się zatrzymać i spojrzeć mu w twarz. Nie przyszło mu to łatwo. Chciał już wyjść. Żałował trochę, że uparł się przy tym śledztwie. Pewne sprawy lepiej zostawić na boku, zapomnieć. Niektóre rzeczy można wywołać przez samo ich wspomnianie, są słowa, których się nie wypowiada. Ani nie myśli.

– Czy sądzi pan... panie prokuratorze... że mógłby pan... porozmawiać z komendantem Carriónem o jednej sprawie?

– Proszę mówić. Przekażę.

– Już dziesięć lat siedzę w zakładzie o zaostrzonym rygorze. Zgodnie z zasadami awansu powinienem mieć już jakieś lepsze stanowisko w rejonowej komendzie policji. Chciałbym przynajmniej miejsce zmienić. Dałby pan radę załatwić u komendanta zgodę na przeniesienie?

Teraz pomocnik prokuratora miał wrażenie, jakby spojrzenie pułkownika pochodziło z jakiegoś miejsca oddalonego o tysiące lat świetlnych od jego problemów. Obiecał, że zrobi, co może, i wyszedł z budynku, idąc tak szybko, jak tylko potrafił. Prawie biegł, choć zachowywał godność stosowną dla urzędnika tej rangi. Maszerując przez pustkowie oddzielające więzienie od miasta, czuł, że jest obserwowany. Obrócił się. Nie było nikogo w promieniu trzech kilometrów.

Wróciwszy do prokuratury, zasiadł do raportu.

Potem, w promieniach słońca, uważnie przejrzał sporządzony właśnie dokument, zastanawiając się, czy warto podnosić alarm, czy może nie ma powodu i czy przypadkiem robienie zamieszania nie będzie go kosztować

funkcji i stanowiska. Rozumiał racje porucznika Armii Peruwiańskiej Alfreda Cáceresa Salazara i jego metodologię prowadzenia śledztwa, ale nie miał wcale pewności, czy Edwin Mayta rzeczywiście był terrorystą. A może po prostu za dużo o tym wszystkim rozmyślał? Może po prostu Justino oszalał, kiedy aresztowano mu brata, i wymyślił sobie, że pomocnik prokuratora ma z tym coś wspólnego. Tak czy inaczej, zrekapitulował Chacaltana, cały problem ogranicza się do jednego trupa i sprawa jest już rozwiązana, zwłok w Ayachuco jest aż nadto i nie ma po co pchać nosa w takie rzeczy, bo można go w krwi umoczyć. Nie ma groźby terroryzmu. Terroryzm się skończył. Reszta to tylko bzdury rozprowadane dla zmyłki przez terrorystów. Schował raport w szufladzie, pod ołówkami i formularzami zamówień na sprzęt biurowy. Spojrzał na zegarek. Czas się zbierać. Poskładał swoje rzeczy i wyszedł punktualnie. Był bardzo podenerwowany. Na ulicach pojawiali się turyści przybywający tu na Wielki Tydzień, przez co miasto ożywało. Większość pochodziła z Limy, ale przewijali się tu Jankesi, Hiszpanie, a nawet jakiś Francuz, z tych, co to łążą po Andach z plecakiem. Pomocnik prokuratora Chacaltana postanowił zajrzeć do Edith, żeby się trochę zrelaksować. Pewnie trzeba się też będzie wreszcie wytłumaczyć z tak długiej nieobecności. Zaczął z nią bardzo ognić, a potem zniknął. To nie po dżentelmeńsku.

W restauracji, co za niespodzianka, była tylko ona. Pomocnik prokuratora usiadł tam, gdzie zawsze, ale Edith wyraźnie nie była w humorze.

– A gdzież pan to teraz jada? – odezwała się. – Tutaj się pan nie zjawiał.

– No, bo pracy mam strasznie dużo. Acz chęci nie brak.

– Jasne, teraz to pan jest zbyt ważny, żeby tu zachodzić. Mamy dziś zupe z flaków. Chce pan? – zapytała niechętnie, jakby był jednym z wielu klientów w pełnym lokalu. Uznał, że lepiej będzie przyjąć danie, żeby poprawić gospodyni humor. Piętnaście minut później postawiła mu talerz na stole, po czym zabrała się do mycia naczyń, odwrócona do niego tyłem. W telewizji leciała amerykańska komedia. Dwie blondynki walczyły bezsensownie o wysokiego i przystojnego chłopaka niezdecydowanego, którą wybrać.

– Nawet sobie sukienkę kupiłam na te uroczystości, na które mnie pan zaprosił – powiedziała Edith.

Gestem wskazała jedno z krzeseł, na którym wisiała różowa sukienka w kwiatki, z koronkami i haftowanymi ozdobami. Trzymała ją tu przez wiele dni, żeby pokazać pomocnikowi prokuratora, kiedy się zjawi. Już nawet przesiąkła zapachem kuchni. Chacaltanie bardzo się spodobała. I poczuł się winny, że przez niego wydała pieniądze. Nie czuł głodu. Patrzył to na talerz, to na dziewczynę, nie wiedząc, na czym się skupić. Chciał powiedzieć, że ma bardzo dużo pracy, że nie jest w stanie przychodzić tu na posiłki ze względu na te

wszystkie zebrania, bankiety, wyjazdy służbowe. Wreszcie odezwał się:

– Nie jestem ważny.

– Proszę? – Znieruchomiała i odwróciła się. Gładkie, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, szyję i czoło.

– Nie jestem... nikim ważnym, Edith. Nie mam samochodu. I nie będę miał. Nie będą mnie zapraszać na przyjęcia dla wyższych sfer. Prawdę mówiąc, myślę, że nie nadaję się na takie uroczystości. Kiedy próbuję coś powiedzieć, nikt nie słucha. Może dlatego że nigdy nie mogę się połapać, co się właściwie dzieje na takich przyjęciach... Wydaje mi się, że ja nawet nie wiem, co się dzieje w tym mieście i w tym kraju. Ostatnio wydaje mi się, że zupełnie niczego nie rozumiem. I to niezrozumienie budzi we mnie strach.

Wstydział się wyznać kobiecie, że się boi. Ale te słowa wypłynęły z jego ust automatycznie, jak seria z karabinu maszynowego zamocowanego w lecącym helikopterze. Nie potrafił nad nimi zapanować. Może właśnie tego bał się najbardziej. Świadomość, że jest coś, co pozostaje poza jego kontrolą, coś w jego wnętrzu, przerażała go bardziej niż niemożliwe do opanowania rzeczy z zewnętrznego świata, niż plotki powtarzane w łazience, na koktajlach, w gabinetach z flagami i na defiladach. Opuścił wzrok na talerz z nietkniętą potrawą i dopiero zapach taniego szamponu Edith uzmysłowił mu, że podeszła do niego tak blisko, że niemal się z nim zetknęła.

– Tutaj nikt niczego nie rozumie – powiedziała. – Ale też nikt się do tego nie przyznaje. Trzeba mieć odwagę, żeby to powiedzieć.

– Ja jestem tchórzem, Edith. Zawsze byłem.

Nagle pomocnik prokuratora poczuł w dłoni jakieś ciepło, przyjemne i dające poczucie bezpieczeństwa wrażenie, jakiego dawno nie zaznał. Kilka sekund zajęło mu podniesienie wzroku znad flaczków i odkrycie, że to Edith splotła swoje palce z jego. Siedzieli w milczeniu przez chwilę, podczas gdy turyści szukający na wieczór jakiegoś baru, robili się coraz głośniejsi. Dwóch przyjezdnych z Limy weszło do restauracji.

– Masz tu piwo?

– Zamykamy – odpowiedziała.

Pomocnik prokuratora chciał powiedzieć, żeby nie kończyła pracy ze względu na niego. Zyski z turystów bardzo by się restauracji przydały, a w końcu jego problemy nie były takie pilne. Tak naprawdę nawet nie bardzo wiedział, co to są te „jego problemy”, nie było powodu, żeby tak się nim przejmowała. Ale nacisk tych szczupłych palców na jego palce i woń flaczków roztaczana przez tę drobną kobietę jakby zasznurowały mu usta. Kiedy turyści sobie poszli, Edith zamknęła drzwi, schowała talerz pomocnika prokuratora

do lodówki i wyszli razem na ulicę. W milczeniu szli do domu Chacaltany. Pomocnikowi prokuratora przypomniało się, jak to jest iść ulicą u boku kobiety, kiedy cztery nogi idą w jednym rytmie, ale nie jak jakaś eskorta, tylko normalnym, powolnym, spokojnym krokiem. Od czasu do czasu uśmiechali się bez powodu.

– Przez cały Wielki Tydzień będę pracować w restauracji także rankami – mówiła. – Będzie dużo turystów. Może pan wpadać na śniadania. Bo rano to pan je, prawda?

– Mów mi Félix.

– Mam z moim kuzynostwem gospodarstwo w Huancie. Teraz pracuję tutaj, bo już po żniwach. W przyszłym roku też przyjadę.

– Co roku.

– Co roku. Tutaj tak się wszystko toczy. Wszystko się powtarza raz i drugi. Siew, żniwa...

– Może życie da się zmienić. Kiedy ktoś znika, nic nie jest tak samo. Kiedy ktoś się zakocha, też. Niektóre rzeczy są na zawsze.

– Oby.

W domu pomocnik prokuratora zaoferował jej mate. Usiedli w salonie, żeby pogadać. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, czy te odwiedziny u niego to sygnał, że mogą wylądować w łóżku. Potem zdał sobie sprawę, że on sam nie chce jeszcze przespać się z Edith, w każdym razie nie tego wieczoru. Dzisiaj chciał z nią porozmawiać, żeby jej słowa i cierpliwość go ukołysały, ewentualnie ją przytulić. Nic więcej. W każdym razie tak mu się zdawało.

– Jak zginęli twoi rodzice?

– Przez terrorizm – odpowiedziała.

– To były straszne czasy, nie?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Nikt nie chciał o tym rozmawiać. Ani wojskowi, ani policjanci, ani cywile. Pochowali wspomnienia wojenne razem ze zmarłymi. Pomocnik prokuratora pomyślał, że pamięć o latach osiemdziesiątych jest jak cicha ziemia cmentarzy. Jedyne rzecz łącząca wszystkich, jedyna rzecz, o której nikt nie mówi.

– Często odwiedzasz rodziców?

– Cały czas. Czuję się bez nich samotna. Zawsze czułam się samotna.

– Ja wciąż widuję moją matkę.

Uśmiechnęła się, nie rozumiejąc. Postanowił pokazać jej to, czego nikomu wcześniej nie pokazywał. Może ona zrozumie. Wziął ją za rękę i zaprowadził do pokoju w głębi korytarza. Kiedy otworzył drzwi, jej oczy rozbliły. Wnętrze wyglądało jak pomieszczenie sprzed dwudziestu lat, pokój starszej pani z lustrem i drewnianymi meblami. Były tam nawet stare kremy i babcine perfumy. Przechadzała się po pomieszczeniu, delikatnie wszystkiego dotykając, jakby palcami odgadywała obecność matki.

– To był jej pokój?

– Mój dom spłonął, kiedy byłem dzieckiem. Gdy wróciłem, zrekonstruowałem jej sypialnię tak, jak ją pamiętałem. Ładna była, co?

Nie odpowiedziała. Zastanawiał się, czy zrozumie. Nigdy nikomu nie pokazał tego pokoju. Może błędem było przyprowadzenie jej tutaj. To jakby się publicznie rozebrać.

– Ona... jest moim najmocniejszym wspomnieniem z Ayacucho – powiedział.

– Zupełnie jakby wciąż żyła.

– Na swój sposób... żyje.

Edith spojrzała na zdjęcia.

– A twój ojciec?

Pomocnik prokuratora pokręcił głową. Uśmiechał się, kiedy ona podziwiała płócienne prześcieradła i wdychała zapach wilgotnego drewna.

– To ważne, żeby pamiętać – powiedziała. – Oni o nas pamiętają.

Z wnętrza sypialni zawiąło ciepłym powietrzem. Chacaltana zrozumiał, że matce dziewczyna przypadła do gustu i że przyjmuje ją na swe łono jak córkę. Podszedł do łóżka i pocałował ją. To był krótki pocałunek, ledwie muśnięcie wargami. Nie stawiała oporu. Powoli powtórzył tę czynność, próbując się oswoić z dotykiem tej nowej skóry. Wziął ją za rękę i zaprowadził do salonu. Uznał, że nie wypada jej całować w pokoju matki. Położyli się na sofie w salonie i zaczęli powolutku całować, poznając się wzajemnie. Po kilku minutach wsunął dłoń pod bluzkę Edith. Pozwoliła mu na to, przytulając się mocno. Podniósł bluzkę i pochylił głowę. Pocałował ją w pępek, w brzuch i wspinał się wyżej, aż w końcu zaczął lizać jej piersi. Były małe jak ona sama, ledwie wybrzuszone na gładkim ciele. Poczuł odległe ciepło, które niemal wyparł z pamięci. Wspinał się dalej do szyi. Pozwalała mu na to biernie. Pomocnik prokuratora zauważył, że ma erekcję. Próbował sięgnąć ręką poniżej bioder. Zatrzymała go stanowczo. Poszukał jej spojrzenia. Edith miała współprzymknięte powieki, ale patrzyła czujnie. Kropelki potu perlily się między

jej górną wargą i nosem, jak wodnisty wąsik. Drżała.

– Przepraszam – wycofał się Chacaltana.

– Nie chcę, żebyś miał o mnie złe zdanie – powiedziała.

Wstał. Zdał sobie sprawę, że powinien okazywać jej szacunek, i nie wiedział, co teraz zrobić. Samotność jest niebezpieczna. Gromadzi się, aż w końcu nie da się nad nią zapanować i wybucha. Obawiał się, że wszystko zepsuł. Chciał jej zaproponować mate. Może bardziej pasowałby jakiś napój alkoholowy, ale niczego nie miał w domu. Przez kilka minut próbował coś powiedzieć, zanim będzie za późno. Udało mu się wyartykułować:

– Bo ja z tobą nie czuję się tak absurdalnie jak zwykle. Jesteś jedną z tych spraw, których nie rozumiem, ale jedyną, którą chciałbym zrozumieć.

Uśmiechnęła się i pocałowała go. Przyjął jej pocałunek i odpowiedział wieloma, starając się za bardzo jej nie dotykać.

Następnego ranka pomocnik prokuratora czuł się, jakby odmłodził, wesoło – pierwszy raz od bardzo dawna nie śniły mu się koszmary. Podczas przemarszu licznych bractw religijnych kierujących się do kościoła Świętej Magdaleny, żeby przygotować stroje dla figur świętych na piątek, poczuł, że miasto powraca do życia. Przyszedł do pracy wcześniej niż zwykle z portretem matki i małym zdjęciem Edith, które otrzymał od niej poprzedniego wieczora, na samym końcu, kiedy odprowadził ją do domu. Umieścił obie fotografie w ramce na biurku i otworzył okno, żeby trochę przewietrzyć. Pozdrowił wesoło zgorzkniałą sekretarkę prokuratora okręgowego i siadł, żeby zabrać się do pracy.

Tyle że nie miał niczego do roboty.

Nie chcąc tracić czasu, wydobyl raport na temat Edwina May ty Carazo, schowany wcześniej do szuflady, I znów uważnie mu się przyjrzał. Ostatecznie nie ma w nim niczego strasznego. Dziesięć lat temu oddział wojskowy wykonał swoje standardowe i rutynowe czynności, po czym uwolnił podejrzanego. I to wszystko. Jednak być może przyda się kiedyś do jakiegoś innego śledztwa: wszystko wskazywało na to, że ten Edwin wchodził w skład grupy zadreńczającej posterunek policji w Yawarmayo. Uważał, że należy to wszystko opisać, nawet jeśli nie prowadzi się żadnego dochodzenia w tej sprawie. W każdym razie sporządzenie raportu miało pozytywne efekty. Tak jak oczekiwał, uspokoiło jego sny. Pomyślał o swojej byłej żonie. Uświadomił sobie, że jej wspomnienie zaczynało mu się zamazywać, gasło w zapomnieniu. Człowiek potrzebuje jakiejś terażniejszości, żeby nie musieć myśleć o przeszłości. I pomocnik prokuratora terażniejszość już miał. Tego dnia wydawało mu się, że całe Ayacucho ją ma, że miastu potrzeba tylko trochę więcej powietrza, trochę więcej światła.



Nucąc jakieś stare *huayño*, które, jak pamiętał, śpiewała jego matka, ponownie schował raport do szuflady. Zamknął ją i przekręcił klucz dwa razy. Resztę czwartku spędził, bawiąc się papierową kulką, ale czuł się, jakby z serca spadł mu wielki kamień. Kiedy wychodził z biura, orkiestry na ulicach zaczynały grać. W kościołach palono gałązki janowca, a mężczyźni prowadzili ulicami byki, odpalając fajerwerki przymocowane do ich grzbietu. Ogniste byki. Chacaltana uśmiechnął się. Po raz pierwszy od wielu dni ogień wydał mu się zwiastunem zabawy i radości.

W piątek czternastego, o 5.30 rano, pomocnik prokuratora rejonowego otworzył oczy, słysząc bardzo głośne łomotanie do drzwi. Umiał rozróżnić stukanie pięścią od walenia kolbą. To był ten drugi przypadek. Nie otwierając, powiedział, że zaraz się przebierze i wyjdzie, ale żołnierze upierali się, że chcą wejść. Nie obawiając się niczego, pomocnik prokuratora otworzył. Było ich trzech. Dwaj trzymali karabiny. Trzeci, pułkownik armii, miał u pasa pistolet. Nie mierzyli w niego, ale dali do zrozumienia, że im się śpieszy. Z rozkazu komendanta Carrióna.

Pomocnik prokuratora ledwo zdążył przemyć twarz i natychmiast z nimi wyszedł. Wsadzili go do jeepa, dwaj żołnierze siedli po jego bokach. Zauważył, że ich karabiny były odbezpieczone. Wolał się nie odzywać. Jeep ruszył drogą prowadzącą w kierunku Huanty i wspinał się na wzgórze Acuchimay. Wschód słońca Chacaltana zobaczył w pobliżu figury Chrystusa na Acuchimay. Za jego plecami rozciągało się miasto pełne domów krytych dachówką i otoczone suchymi pagórkami, choć wciąż jeszcze zdarzały się ostatnie o tej porze roku deszcze. Chrystus chronił leżące u jego stóp Ayacucho. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, czy i jego ochroni. Chciał się dowiedzieć, gdzie go zabierają.

– Jedziemy do Huanty?

– Nie został pan upoważniony do odzywiania się, panie prokuratorze.

Nie został upoważniony do odzywiania się. Jak skazaniec z więzienia w Huamanga.

– To w związku z tym więzieniem, tak? Posłużyłem się nazwiskiem komendanta Carrióna, żeby wejść, ale... Wiem, że dopuściłem się wykroczenia, ale sądzę, że on zrozumie. To było oficjalne śledztwo...

– Panie prokuratorze.

– Słucham?

– Niech pan się zamknie.

Posłuchał. Może rzeczywiście nie należało się odzywać. Błąd początkującego. Komendant z pewnością będzie potrafił to zrozumieć. Może po prostu przeczytał raport i wezwał go, żeby złożyć gratulacje. Tak. To jest

najbardziej prawdopodobne. Nazwał go kiedyś swoim „zaufanym człowiekiem”.

Skreśli w lewo w nieasfaltowaną drogę i przecięli skalisty płaskowyż, na którym jeep ciągle podskakiwał. Jechali jeszcze pół godziny, aż zatrzymali się przed posterunkiem wojskowym. Zameldowali się, a następnie jechali tak długo, jak tylko pozwalał im nierówny grunt. Wysiedli. Żołnierze wzięli pomocnika prokuratora pod ramiona. Szli, niemal czołgali się po stromym zboczu, na którym Chacaltana kilka razy się potknął, a żołnierze podnosili go niezbyt delikatnie. Pomocnik prokuratora wiedział, że nie ma tu w okolicy żadnej bazy wojskowej. Nie rozumiał, dokąd go prowadzą. Kiedy już znaleźli się na szczycie wzniesienia, zobaczył, co widać po drugiej stronie. Między dwoma wzgórzami kryła się potężna, szeroka na dziesięć metrów dziura w ziemi. Otaczał ją wojskowy kordon. Nie musiał pytać, żeby wiedzieć, co tam jest w środku. Z jednej strony, na czele grupy mundurowych, stał komendant Carrión. Ktoś go uprzedził, że pomocnik prokuratora już jest. Komendant był bardzo poważny. Chacaltana próbował się uśmiechnąć najmilej, jak umiał.

– Dzień dobry, komendancie. Zaskoczyło mnie pańskie wezwanie...

– Proszę podejść, panie prokuratorze – uciał krótko komendant. – Niech pan patrzy.

Pomocnik prokuratora spojrział w stronę wykopu. Jego nogi odmawiały posłuszeństwa. Usłyszał za sobą szcęk karabinu. Zrobił kilka bardzo powolnych kroków, a potem ktoś pchnął go w stronę krawędzi. Brzmiały za nim kroki wojskowych butów. Podszedł do wielkiej dziury i zatrzymał się metr od niej. Znow go pchnięto. Pocił się. Wyjął chusteczkę i przetarł czoło. Odważył się odwrócić. Komendant stał jakieś dwadzieścia metrów od niego. Gestem nakazał mu pochylić się nad dołem. Dookoła żołnierze rozstawili się na wzgórzach tak, jakby nie chcieli patrzeć. Pomocnik prokuratora poczuł kolejne pchnięcie. Zastanawiał się, czy szturcha go czyjaś ręka, czy lufa karabinu. Odwrócił się, żeby spojrzeć w twarz idącemu za nim żołnierzowi. Ten był błądy. Wymamrotał:

– Proszę się, kurwa, odwrócić.

Pomocnik prokuratora spojrział w niebo. Było czyste, ledwie kilka ciemnych chmur w oddali, pewnie zmierzały w stronę Ceja de Selva. Spuścił wzrok. Powoli podszedł do przodu i wyciągnął szyję, pochylił się nad okrągłą czernią wykopu.

Widok tam w środku wstrząsnął nim. Na początku wydawało mu się, że widzi tylko skrzynie, stare i zniszczone skrzynie, owinięte płótnem przetrawionym przez czas i ziemię. Ale potem to, co brał za skały i piach, zaczęło w jego oczach nabierać wyraźniejszych kształtów. To były części ciała, ręce, nogi, niektóre rozsypywały się od długiego przebywania pod ziemią, inne

odślaniały wyraźnie zarysowane kości wśród strzępów materiału i kartonu, czarne i ziemiste głowy leżały jedna na drugiej, tworząc stos ludzkich resztek głęboki na kilka metrów. Nawet nie było widać końca tych zwałów suchych kości i ciał. Pomocnik prokuratora osunął się na kolana i zwymiotował. Oddając marne resztki zalegające mu jeszcze w żołądku, zdał sobie sprawę, że znalazł się w idealnej pozycji, by dołączyć do tych ciał w dole, odsłonięty kark do dyspozycji karabinów, ciało pochylone nad stosami trupów z umysłem zagubionym gdzieś w jakimś odległym czasie, gdy wszystko było jeszcze bardziej niebezpieczne, zastanawiał się, jak długo to potrwa, kiedy się wyczerpie, ile jeszcze czasu potrzebują wspomnienia, by zniknąć, ból, by zgasnąć, rany, by się zabiżnić, oczy, by się zamknąć.

Opuścił powieki. Wydało mu się, że ciała tam, w dole, są lustrami powielającymi jego ciało w nieskończoność. A on nie chciał się powielać.

Nagle poczuł, że ktoś nim szarpie. To był żołnierz, który go tu przyprowadził. Teraz pomagał mu wstać, chciał go ustawić w lepszej pozycji do strzału. Chacaltana pomyślał o Edith. Pomyślał o ogniu. Ale żołnierz kazał mu się obrócić i wracać. Musiał go ciągnąć za rękę, albo raczej pod ramię, bo nogi wahały się, czy podtrzymywać ciężar. Zaprowadził Chacaltanę do jeepa, gdzie czekał już komendant, i ustawił go przed nim jak dziecko pod szkolną tablicą.

– Znalezione to wczoraj w nocy – powiedział komendant. – Wiadomość dotarła do mnie dokładnie w chwili, kiedy przeczytałem pański raport. To drugi dół odkopany w ciągu trzech dni.

Pomocnik prokuratora rejonowego nie wiedział, co odpowiedzieć. Ponownie spojrzął na wykop, jakby wszystko zaczynał rozumieć. Jakaś wieśniaczka schodziła zboczem jednego ze wzgórz. Potykała się i staczała w dół, ale potem wstawiała i szła dalej. Trzech żołnierzy zagrodziło jej drogę. Kobieta krzyczała coś w keczua. Pomocnik prokuratora rozpoznał ją. To była ta sama kobieta, która otwarła mu drzwi w Quinua, matka Justina i Edwina, pani Carazo de Mayta.

– Udało nam się zachować to w tajemnicy przed mediami – ciągnął komendant, jakby niczego nie widział. Pomocnik prokuratora spojrzął na wojskowego. Owszem, Carrión widział ją, ciemne szkła odbijały postać kobiety podchodzącej do krawędzi dołu. Żołnierze złapali ją za rękę, ale ona wyszarpnęła się z krzykiem. Biegła tak, jakby chciała się rzucić do środka. Jeden z mundurowych wczepił się w jej spódnicę. Drugi szamotał się z nią, próbując odciągnąć na bok. Kobieta nie zamierzała ustępować. Wydawała się silniejsza, niż tamci dwaj razem wzięci. Trzeci żołnierz wyciągnął pistolet. Ona tego nie widziała. Stała plecami do niego, skupiona na wykopie i swoich krzykach. Żołnierz wymierzył w jej plecy.

– Chodźmy stąd, panie prokuratorze – powiedział komendant.

Pomocnik prokuratora nie mógł oderwać wzroku od kobiety i żołnierzy. Carrión położył mu dłoń na ramieniu. Chacaltana odezwał się:

– Niech pan ich powstrzyma, komendancie.

Ale komendant niczego nie powiedział, nie wydał żadnego rozkazu, nie podniósł głosu na swoich ludzi. Trzydzieści metrów od nich żołnierz wciąż wahał się z pistoletem w ręku, a kobieta wrywała się w stronę ciał. Wycelował jej w plecy, potem w kark, potem w nogę. Pozostali dwaj próbowali ją uspokoić. Krzyczeli do niej. Pomocnik prokuratora usłyszał: „Niech się pani stąd zabiera, babciu, tu nie ma niczego do oglądania”. Żołnierz z pistoletem uniósł broń. Odwrócił się w stronę swoich kolegów. Potem w stronę komendanta. Ten patrzył na niego bez słowa. Pomocnikowi prokuratora chciało się krzyczeć. Potem zdał sobie sprawę, że to niczego nie zmieni, że nadmiar krzyków może tylko zagłuszyć wystrzały. Powstrzymał łyż i nie odezwał się. Po drugiej stronie dołu żołnierz schował broń i pomógł dwóm pozostałym odwlec kobietę poza kordon bezpieczeństwa.

– Nigdy nie zabijają czyjejs matki, panie prokuratorze – powiedział komendant. – Czasami strach sprawi, że przesadzą. Czasami jakaś pobija. Ale nigdy ich nie zabijają. Nie zrobiliby tego nawet na rozkaz dowódcy. To silniejsze od nich. Prawo natury. Nie mogą.

Dwóch następnych żołnierzy ruszyło na pomoc tamtym. Dźwignęli kobietę i wynieśli za wzgórze. Kiedy pomocnik prokuratora wsiadał do jeepa, żeby wrócić do Ayacucho, jej krzyki wciąż rozbrzmiewały między wzgórzami. Choć może nie, pomyślał Chacaltana, może słyhać je tylko w środku mojej głowy, wplecione we wspomnienia.

zahowałeś się bardzo źle, Justino, zahowałeś się bardzo, bardzo źle. ja na to nie zasługuje, ja ci dałem światło, ja ci otwożyłem czarnom othłań śmierci, a ty mi tak otplacasz. nieładnie, rozumiesz? popacz na swoje odbicie, popacz na siebie, jesteś zdrajcom.

nie pacz tak na mnie. to nie moja wina. to nawet nie moja decyzja, krew daje nam siłę, nie robi nam kszwydy. nawet taki kretyn jak ty może pojone siłę tego, co robimy, tworzymy nowy świat.

ale jesteś słaby, to normalne, nikt nie może zaczonć walki, wieżonc, że szybko wygra, rozumiesz? to zajmie wieki, to jusz trwa wieki, tszeba pamientać. każde życie, każdy poległy gromadzi się w historii i rospuszcza w niej jak łyż w deszczu, i zmienia się w sok, ktury pijemy my, ktuży mamy umżeć. ze mnom tesz tak bendzie, nie myśl, że to niesprawiedliwe.

słyszysz to, Justino? ten głos. tak, to twój brat. woła do ciebie, słyszysz? chcesz się z nim zobaczyć? tutaj jest, obok nas. tu na dole, popacz, nie płacz, Justino, menszczyźni nie płaczom, a zwłaszcza menszczyźni, ktuży zrobili to, co ty, to, co my. my pszelewamy krew zamiast łez, Justino, ty skurwisynu. prawie nie zasługujesz, żeby żyć, bo twoje życie jest jak powolna i bolesna śmierć, ale oszczędzę ci cierpień, po to się ma towarzyszy, prawda? po to jesteśmy.

podejść tu, tak jest, bliżej... połuszyć głowę na moim ramieniu, będę ci towarzyszyć na każdym kroku, nie zostawię ci samego, nie zostawimy ci samego, zaprowadzimy cię aż do końca drogi, zaprowadzimy cię aż do końca drogi wszystkich, ktuży do nas dołonczom, ktuży som z nami od poczontku czasuw. buża jest coraz bliżej, Justino, coraz bliżej jest zwycienstwo. widzisz płamy na ziemi? widzisz czerwone kałuże nocom? to twoje nasienie, Justino, to ty podlewasz ziemię, żeby z jej wnenczności wyruszył świat, o który tak długo walczyliśmy, ciesz się z tego, bo to ostatnia żecz, jakom bendziesz się cieszył.

– Pan nas uważa za bandę morderców, prawda, Chacaltana?

Pytanie komendanta padło po dłuższym milczeniu, kiedy jechali już z powrotem szosą do Ayacucho, między górami i rzeką. Komendant osobiście prowadził samochód. Siedzieli w nim tylko oni dwaj.

– Nie wiem... nie wiem, co pan ma na myśli, komendancie.

– Niech pan nie rżnie głupa, Chacaltana. Umieję czytać raporty między wierszami. I umieję też czytać z ludzkich twarzy. A co pan sobie wyobrażał? Że tylko pan tu umie czytać?

Pomocnik prokuratora uznał, że musi się wytłumaczyć.

– Rozpętaliśmy sprawiedliwą wojnę, panie komendancie – powiedział to właśnie tak, w pierwszej osobie. – To niewątpliwe. Tylko że czasem trudno mi rozróżnić naszych od tamtych. I kiedy tak się dzieje, zaczynam się zastanawiać, o co my właściwie walczymy.

Komendant odpowiedział dopiero po kilku minutach:

– Był pan kiedyś na wojnie, Chacaltana?

– Proszę?

– Czy był pan na wojnie. Takiej z wystrzałami i bombami.

Pomocnikowi prokuratora przypomniały się zajścia z Yawarmayo. Potem pomyślał o bombach, o przerwach w dostawie prądu w Limie, przypomniały mu się nocne dyżury, ambulanse, budynki rozwalone po wybuchach, oczy policjantów wpatrzone w poranione i okrwawione ciała wychodzące z ruin. Nie.

Nigdy nie był na wojnie. Komendant ciągnął:

– Czuł się pan kiedyś osaczony przez ogień, ze świadomością, że pańskie życie warte jest mniej niż kawałek gówna? A może wylądował pan kiedyś w jakiejś wiosce pełnej ludzi, którzy nie wiadomo, czy chcą panu pomóc, czy pana zabić? Widział pan swoich kolegów ginących w trakcie bitwy? Jadł pan kiedyś obiad z ludźmi, wiedząc, że to ostatni raz, że następnym razem zobaczy ich pan najpewniej w trumnie? He? Kiedy tak się dzieje, człowiek przestaje mieć przyjaciół, bo wie, że zaraz ich straci. Człowiek oswaja się z bólem straty i ogranicza się do starań, żeby nie stać się kolejnym pustym miejscem, których coraz więcej wokół stołu. Wie pan, jak to jest? Nie. Pan nie ma o tym najmniejszego pojęcia. Bo pan sobie siedział w Limie, kiedy tu ludzie ginęli. Pewnie pan czytał wiersze Chocano, co? Literatura, prawda? Literatura mówi o zbyt wielu pięknych rzeczach, panie prokuratorze. Zbyt wielu. Wy, intelektualiści, pogardzacie wojskowymi, bo my nie czytamy. Tak, niech pan nie robi takiej miny, nasłuchałem się dowcipów, napatrzyłem na twarze starych polityków słuchających nas, kiedy przemawiamy. I rozumiem to. Nasz problem polega na tym, że mamy rzeczywistości potąd i nigdy nie widzieliśmy tych pięknych rzeczy, o których piszą w książkach.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar zdał sobie sprawę, że zaliczono go do intelektualistów. Na swój sposób brał udział w wojnie, jako niewygodny świadek, jako ten, kto pozostaje w stołecznej twierdzy, czekając, aż płomienie zaczną obalać mury, a woń trupów zanieczyści świeże powietrze. Nagle komendant zatrzymał jeepa na poboczu i odwrócił się twarzą do Chacaltany:

– Tutaj nie mieliśmy jednej czy dwóch grup terrorystycznych. Tutaj mieliśmy wojnę, panie prokuratorze. A na wojnie ludzie umierają.

Komendant wyraźnie się uniósł. Jego głos, zawsze taki władczy, załamywał się na niektórych sylabach, gdy przemawiał Chacaltanie prosto w twarz. Może dlatego poprzestał na tych słowach. Pomocnik prokuratora starał się go udobruchać.

– Ja jestem po pańskiej stronie, komendancie. Rozumiem, co tu się działo. Ja też to widziałem, tyle że z większej odległości.

Komendant odsunął się. Odetchnął głęboko. Nie wyglądał już na rozjuszonego. Raczej na zdezorientowanego.

– Z większej odległości. Prędzej czy później przyjdą tu stamtąd. Prędzej czy później przyjadą tu z Limy, Chacaltana. Przyjdą po nasze głowy. Poświęcą nas, nas, którzy walczyliśmy.

Komendant się pocił. Pomocnik prokuratora zaoferował mu swoją chusteczkę. Komendant patrzył przed siebie. Wyglądał na bardzo skupionego.

Pomocnik prokuratora nie śmiał przysunąć mu chusteczki bliżej twarzy.

– Wybór był prosty: oni albo my.

Komendant nie powiedział już nic więcej. Oni albo my, pomyślał Chacaltana, aż w końcu staniemy się równi, aż w końcu nie będzie się nas dało odróżnić.

– Rozumiem – powiedział.

Komendant ponownie uruchomił silnik. Kiedy wrócili na szosę, wyglądał już na uspokojonego.

– To ważne, żeby pan zrozumiał – powtarzał – bo jeszcze niczego pan nie widział.

Jechali dalej do Ayacucho, a w mieście skierowali się do szpitala wojskowego, przed którym zaparkowali. Weszli po schodach i razem przeszli przez poczekalnię. Nikt ich nie zapytał, gdzie idą, ani nie zatrzymywał. Nikt nigdzie nie sprawdzał, czy wolno im wchodzić. Szli korytarzykiem, który Chacaltana dobrze pamiętał z poprzedniej wizyty, pomiędzy licznymi rannymi, tym razem nieproszącymi o pomoc. Dość szybko pomocnik prokuratora zrozumiał, że kierują się na oddział położniczy, do zamkniętego gabinetu, przed którym siedziały ciężarne pacjentki. Pomyślał o swojej matce, a w zimnym świetle pojawił się przed nimi lekarz sądowy.

– Proszę szybko zamknąć drzwi.

Z tej odległości łupież na jego ramionach pozostawał niewidoczny. Dopiero gdy znaleźli się przy stole do autopsji, pomocnik prokuratora stwierdził, że medyk wygląda na jeszcze bardziej zapuszczonego niż poprzednio. Również zapach unosił się tu teraz inny. Dziś ewidentnie była to trupia woń. Zapach zwłok jeszcze nie bardzo przegniłych, ale już dość przenikliwy. Pod stołem leżała kupka niedopałków i kilka zapalek. Tym razem nie było papierków po czekoladzie.

– Panie prokuratorze, widzę, że dziś przyszedł pan w towarzystwie.

– Dzień dobry, Posadas.

Tym razem nie było mowy o żadnym dokumencie. Komendant przywitał się gestem. Lekarz podał im po maseczce chirurgicznej nasączonej maścią z olejkami eterycznymi.

– Przydadzą się panom – powiedział.

Potem wstał i podszedł do stołu zasłoniętego prześcieradłem. Pomocnik prokuratora zasłonił sobie usta chusteczką, przewidując, co kryje się pod materiałem. Światło zamigotało. Nadal nikt go nie naprawił. Nikt nigdy go nie naprawi. Lekarz zsunął prześcieradło. Te zwłoki nie były tak bardzo rozłożone

jak poprzednie. Był to świeży i niespalony nieboszczyk, ciało miało sine i zeszywniałe.

– Kompletnie pozbawiony krwi – oświadczył Posadas. – Proszę spojrzeć na ramię.

Pierś wyglądała jak wielka czerwona rana z wystającymi z niej metalicznymi, ostrymi przedmiotami mierzącymi w sufit. Z lewej strony widać było chaos kości, mięśni i żył. Natomiast ani śladu po ramieniu.

– Pierwszym razem obcięli prawą rękę, teraz lewą. Wygląda na to, że ktoś sobie kukłę kompletuje.

Komendant podszedł do głowy. Trup miał otwarte oczy, które zdawały się uciekać gdzieś daleko. Zamknął mu powieki. Dopiero wtedy, już bezpieczny od tego groźnego spojrzenia, pomocnik prokuratora zdołał rozpoznać Justina Maytę Carazo.

– Właśnie go przynieśli – powiedział wojskowy. – Znalezione go rano, zaraz po tym, jak się rozeszła wiadomość o zbiorowym grobie.

Pomocnikowi prokuratora nie przypominał się tym razem ogień, tylko uderzenia, ciosy w pierś, jeden za drugim, jak kapanie ze stołu, uderzenia w drzwi o świcie w domu bez prądu.

– Nie ulega wątpliwości, że sprawców jest kilku – powiedział pomocnik prokuratora. – A przynajmniej dwóch wprawnych mężczyzn. To, czego dokonano w obu przypadkach, jest w pojedynkę niewykonalne.

– Odkopanie grobu też – dodał oficer.

Pomocnik prokuratora poprosił o szklanekę wody. Lekarz wyjął buteleczkę z lodówki z próbkami. Chacaltanie odechciało się pić. Lekarz podał mu ją, mówiąc:

– To muszą być wyszkoleni ludzie. W każdym razie w używaniu noża. To chirurgiczna robota. Został siedem razy pchnięty nożem w serce, z idealną precyzją. Różnymi narzędziami: maczetą, szpikulcami, nawet nożem do krajania mięsa. Ewidentnie mieli niezłą kolekcję. Okaleczyli go, nie naruszając głównych tętnic, i celowo ułożyli ciało na brzuchu. Z piersi wypłynęła mu cała krew, zmasakrowane serce musiało bić jeszcze kilka minut po śmierci. Po prostu się wykrwawił. To musiało trwać długo, ale żeby przyspieszyć krwawienie, odrąbali mu ramię. Taka sama metoda jak poprzednio. Wyrwana z korzeniami.

– Prawdopodobnie użyto piły – stwierdził komendant. – Dwie osoby, kość tnie się jak kawałek drewna. Trzeba tylko trochę cierpliwości. Skąd się wzięły te zadziory na całym ciele?



– To ślady dziobania – wyjaśnił lekarz. – Ciało zostało porzucone na wzgórzu Acuchimay, żeby sępy je zjadły. Tam je znaleźliśmy.

Pomocnik prokuratora miał wrażenie, że powinien jakoś włączyć się do rozmowy. Obawiał się, że jeśli otworzy usta, wyrwie mu się coś niestosownego, łyzy, mdłości, jakieś nieodpowiednie słowo. Kukła. Kukła z kawałków różnych ludzi, Frankenstein po ayacuczańsku. Starał się zachować zawodowy ton.

– Czy... znaleziono jakieś znamiona... sugerujące działanie Świetlistego Szlaku?

Lekarz wydawał się zaskoczony pytaniem. Jego twarz zdradzała zarazem ulgę i lęk. Odwrócił się w stronę oficera, który wyjął z kieszeni karteczkę i rozłożył ją. Pomocnik prokuratora zamierzał zwrócić uwagę na konieczność staranniejszego badania dowodów, ale uznał, że lepiej skupić się na treści. Przeczytał:

## ZABITY PRZEZ SPRAWIEDLIWOŚĆ LUDOWĄ

z rozkazu Świetlistego Szlaku

Wrócili, pomyślał pomocnik prokuratora.

Komendant odezwał się:

– A zatem... trafił pan w sedno, sugerując działalność terrorystyczną, panie prokuratorze.

Nie brzmiało to teraz zbyt krzepiąco. Pomocnik prokuratora próbował skupić się na jakimś możliwie mało ciekącym kawałku ciała nieboszczyka. Przyjrzał się jego stopom stwardniałym od chodzenia po ziemi, grubym, z zielonymi paznokciami.

Doktor Posadas zapalił papierosa.

Tym razem, wchodząc do koszarów, Chacaltana nie musiał pokazywać żadnego dokumentu. Wraz z komendantem Carriónem przeszedł przez centralny dziedziniec starego budynku i wszedł po drewnianych schodach na drugie piętro. Tam, na końcu korytarza ze skrzypiącą podłogą z desek, znajdował się gabinet komendanta. Powietrze w środku wydawało się gęstsze niż poprzednio. Przypominało atmosferę Limy, w centrum, przy alei Tacna, o szóstej wieczorem. Komendant nalał pisco do dwóch szklanek. Pomocnik prokuratora wolał nie odmawiać. Usiedli twarzą w twarz, tym razem za biurkiem. Siedząc tak, pozostawali na tym samym poziomie. Komendant napił się pierwszy.

– Nie przepadam za pracą z cywilami, panie prokuratorze. I bądźmy szczerzy: nie przypadliśmy sobie za bardzo do gustu. Ale to, co się dzieje, bardzo mnie martwi.

– No cóż, panie komendancie, sądzą, że jesteśmy w stanie przerzucić międzyinstytucjonalne mosty, żeby...

– Chacaltana, przejdźmy do rzeczy. – Tak jest.

– Będziemy razem pracować, ale pod moimi rozkazami.

– Oczywiście, komendancie.

Obaj zamilkli na chwilę ciągnącą się w nieskończoność. Wreszcie komendant się odezwał:

– No, to niech pan, cholera, coś powie!

Pomocnik prokuratora próbował się uspokoić. Zastanawiał się, czy to on ma palpacje, czy to może wszystko wokół niego pulsuje. Próbował przejść do rzeczy:

– Sporządziłem raport, który panu prześlę. Od razu uprzedzam, że wniosłbym o przesłuchanie osób zamieszanych w sprawę, to znaczy pułkownika Armii Peruwiańskiej Alfreda Cáceresa Salazara i obywatela Edwina Mayty Carazo, którzy mogliby rzucić istotne światło na sprawę związaną z nieboszczykiem...

– Rozmawiać z nimi? Z Maytą i Cáceresem? Pan chce z nimi rozmawiać?

– Tak... zobaczyć się z nimi i porozmawiać, panie komendancie.

– Porozmawiać z nimi będzie trudno. A co do zobaczenia, to już ich pan widział. Poznał pan Edwina Maytę Carazo, a w każdym razie jego kawałek, dzisiaj rano, kiedy się pan pochylał nad wykopem. A porucznika Cáceresa Salazara widział pan trzydzieści osiem dni temu, kiedy pan oglądał zwęglone ciało w Quinua.

Pomocnik prokuratora miał wrażenie, że nadmiar informacji go przytłacza.

– Przepraszam? – wybełkotał.

– To był ten pieprzony Cáceres, tak. Zgłoszono jego zaginięcie w Jaén miesiąc przed znalezieniem ciała.

– Pies Cáceres?

Komendant lekko się uśmiechnął, jakby wspomniawszy starego towarzysza broni.

– Tak, Pies na niego wołali. To był kawał bydlaka. Ostry gość. Trzymali

ich w jakichś bazach w środku dżungli. Potem przeniesiono ich tutaj, żeby się wykazali. Cáceres przeginał przy każdym przesłuchaniu. Cały ten dół, który pan widział, wypełnił on jeden. Edwin Mayta Carazo wpadł podczas jednej z jego akcji. Zaczęli zadawać mu pytania, ale on się trzymał twardo. Potem zaczął zeznawać. Zeznał wszystko, czego od niego chcieli, ale później w drugiej rundzie pytań zaczął sobie przeczyć. Jego zeznania nie trzymały się kupy, jego dane były niewiarygodne...

– Może dlatego, że nic nie wiedział.

– A może chciał ich zmylić. Panu też się wydaje, że nie umiemy rozpoznać terrorysty, kiedy go widzimy?

Pomocnik prokuratora odchylił się na krześle. Komendant poczerwieniał ze złości, ale szybko się opanował. – Przepraszam – powiedział. – Cokolwiek by gadać, Cáceres się zagalopował. Jak zawsze. Maytę chyba udusili, nie pamiętam dokładnie. Podejrzewam, że pułkownik wymyślił ten nakaz zwolnienia, a kilka dni później ogłosił, że ofiara zaszła się w podziemiu. Ciało zakopali na pobliskim wysypisku. Ale to nie starczyło. Matka codziennie tam chodziła szukać syna. Żołnierze próbowali ją odganiać, ale przy najmniejszej nieuwadze ta stara krowa od razu się przedzierała. Kiedy zaczęło się robić gorąco, ciała zabrano i wrzucono do tego rowu, który pan widział. Od tego czasu, kiedy tylko odkrywa się gdzieś jakiś zbiorowy grób, zawsze pojawia się matka Edwina May ty Carazo, żeby szukać ciała. Nawet jeśli prasa o tym nie wspomni. Nie wiem, jakim, cholera, cudem ona się dowiaduje, ale zawsze jest na miejscu, próbuje się przedrzeć, choć żołnierze ją odciągają, bo nie potrafią do niej strzelić, a ona tylko chce grzebać wśród ciał. Zwłokom często odcinano... głowy, żeby utrudnić identyfikację... ale ta kobieta umie poznać, że to nie jej syn, choćby ciało gniło w ziemi od miesięcy.

– Co się stało z porucznikiem Cáceresem... kiedy zrobiło się gorąco?

– Sąd wojskowy w Limie skazał go na dwadzieścia lat. Odsiedział dwa i wysłano go do garnizonu w Jaén, żeby nikt go nie zobaczył. Zamieniono mu dokumenty. Dostał rozkaz, żeby nie istnieć.

Pomocnik prokuratora domyślał się, że rozkaz wypełniono skrupulatnie. Porucznik Cáceres Salazar już nie istniał. Chacaltana uzupełnił:

– Aż w końcu zniknął. Uciekł z Jaén, żeby przyjechać właśnie tutaj. Po co?

– Tego nie wiem, Chacaltana – komendant dolał sobie pisco. – Ale mogę sobie wyobrazić. Widziałem to już wcześniej. Na ludzi, którzy zabili zbyt wielu, nie ma rady. Czasami przeżywają kilka normalnych lat. Ale to tylko kwestia czasu zanim wybuchną. Wywiad powiadomił nas o obecności porucznika w Vilcashuamán trzy dni przed jego śmiercią. Twierdzili, że nawiązał kontakt z

wiejskimi oddziałami walczącymi z „rebelią”. Niech pan sobie wyobrazi. Nikt się tym nie przejął. Po prostu facet zwariował.

– Może oddział terrorystyczny z Yawarmayo trafił na jego ślad i zemścili się na nim.

– Tych mamy pod kontrolą. Nie działają poza swoją okolicą. Ale wygląda na to, że są jeszcze inni. Trafił pan w sedno, mówiąc o tych datach. Ale oprócz tego, o czym pan wspomniał, w 2000 roku mamy dziesiątą rocznicę śmierci Edwina Mayty i końca pierwszych „żniw”: „krwawych żniw w tysiącletniej walce”, jak to oni mówią.

– Skoro to byli terroryści, to dlaczego zabili też Justina Maytę?

Komendant podniósł wzrok na jedną z flag wiszących nad stołem. Potem spojrzał na pomocnika prokuratora.

– Sądzę, że powodem tego jest pan, prokuratorze.

– Proszę?

– Z raportu wynika, że pan z nim rozmawiał, prawda? Terroryści ze Szlaku mieli zwyczaj zabijania swoich własnych ludzi podejrzanych o zdradę.

– Ale on nie powiedział mi niczego istotnego!

– A skąd oni to mają wiedzieć? To akurat zrozumiałe, sam bym tak postąpił, szczerze mówiąc.

Pomocnik prokuratora poczuł nagle, że jest odpowiedzialny za czyjaś śmierć. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że taka odpowiedzialność może na niego spaść ot tak, przez przypadek, choć nie zrobił niczego, co by się do niej przyczyniło. Być może nie był jedynym winnym. Być może winnych jest więcej, może żyje na świecie, w którym wszyscy są czemuś winni.

– Dlaczego z nimi nie skończyliście, komendancie? Dlaczego oni są wciąż w Yawarmayo? Armia mogłaby...

– Armia ma rozkaz, żeby tu niczego nie robić. A policja nie ma środków. Pułkownik Aramayo od dziesięciu lat prosi o broń i sprzęt. Lima się nie zgadza.

– Powinni się dowiedzieć, co tu się dzieje...

– Lima wszystko wie, panie prokuratorze. Oni wiedzą wszystko i są wszędzie. Jeśli z jakiegoś powodu będzie im to przydatne, wkroczą do Yawarmayo i zrobią masakrę. Akcję pokażą w telewizji. Opiszą w prasie.

Pomocnik prokuratora miał wrażenie, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Myślenie go wyczerpywało. Człowiek nie może wybierać, czy chce widzieć, czy nie, słyszeć czy nie, bo człowiek po prostu widzi, słyszy i pamięta, myśli nie

chcą wychodzić z głowy, kotłują się, wracają, kręcą w kółko.

– Dlaczego... dlaczego opowiada mi pan o tym wszystkim, komendancie?

Na twarzy oficera znów pojawił się ten niewyraźny uśmiezek, mieszanka ironii i rozczarowania. Wyglądał, jakby myślami był gdzie indziej, owiany mgiełką wspomnień.

– Wie pan, co robił Cáceres, kiedy znajdował terrorystę w jakiejś wiosce? – zapytał. – Wzywał wszystkich mieszkańców osady, w której ten terrorysta się ukrył, kładł podejrzanego na placu i piłą odcinał mu nogę albo rękę. Często kazał ciąć swoim żołnierzom, ale niejednokrotnie brał piłę osobiście, z kimś do pomocy. Robili to, kiedy terrorysta wciąż jeszcze żył, żeby każdy w osadzie słyszał jego wrzaski. Potem zakopywali części ciała, każdą osobno. Jeśli głowa wciąż jęczała, dobijali ją z pistoletu tuż przed wrzuceniem do dołu, a potem zmuszali wieśniaków do zasypywania go. Cáceres twierdził, że dzięki temu systemowi dana miejscowość nigdy więcej się nie zbuntuje.

– Umarł zgodnie ze swoimi zasadami.

– Umarł zgodnie z jedyną możliwą zasadą, panie prokuratorze, o ile o zasadach w ogóle można tu mówić.

– A dlaczego tak to pana obchodzi?

Komendant najwyraźniej się zawahał. Spojrzał na butelkę pisco, ale nie podniósł się. Potem powiedział:

– W tamtych czasach miałem stopień kapitana. Byłem bezpośrednim przełożonym Cáceresa. I wszystkie znaki wskazują na to, że następną ofiarą będę... ja.

Próbował wypowiedzieć to ostatnie zdanie ze swobodą. Lekkie załamane głosu zdradziło prawdziwy stan jego ducha. Prokuratora poruszył widok tego człowieka, który wyznaje, że się boi. Poczuli ulgę, bo sam też się bał. Odezwał się:

– Dlaczego nie porozmawia pan ze służbami wywiadowczymi?

– Żadnej Limy, Chacaltana. Lima nie może o tym wiedzieć. W Wielkim Tygodniu do tego miasta przyjedzie dwadzieścia tysięcy turystów. To miasto jest symbolem pacyfikacji. Jeśli wyjdzie na jaw, że terroryzm się odradza, utną nam jaja. Nie wolno panu z nikim o tym rozmawiać. Pamięta pan Cariosa Martina Eléspuru?

Pomocnik prokuratora przypomniał sobie urzędnika Eléspuru. Jego nieobecny sposób bycia, niemal niesłyszalny głos, błękitny krawat. Jego spokój i wyższość.

– Nic z tego, o czym rozmawiamy, nie może dotrzeć do jego uszu – ciągnął

komendant. – A jeśli gdzieś się napatoczy, będzie pan powtarzał wszystko to, co powiem: że terroryzm się skończył, że Peru wygrało tę zaszczytną walkę, takie tam pierdoły, jakie tylko panu przyjdą do głowy.

– Nie rozumiem, komendancie. Co właściwie nie ma dotrzeć do jego uszu?

Komendant wyjął z jednej z szuflad skórzany pas z nabojami i kaburę z pistoletem. Położył to przed pomocnikiem prokuratora na stole. Znów mówił władcym tonem:

– Od tej chwili tym śledztwem będzie się zajmował wyłącznie pan, Chacaltana. I to szybko. Będzie pan składał raporty bezpośrednio mnie i może pan liczyć na moje całkowite poparcie, ale oczekuję, że raz na zawsze wyjaśni pan, co tu się, cholera, dzieje i skąd się biorą ci wszyscy terroryści. Proszę to wziąć, będzie potrzebne.

– To nie będzie konieczne, pa...

– Psia krew, niech pan bierze!

Pomocnik prokuratora chwycił kaburę z przodu, żeby pistolet nie wystrzelił. Pierwszy raz w życiu brał broń do ręki. Jak na swój rozmiar dużo ważyła.

– Bierz pan broń do ręki jak mężczyzna, Chacaltana. A teraz proszę już iść. Mam dużo pracy.

Pomocnik prokuratora podniósł się z krzesła. Nie wiedział, czy to mianowanie oznaczało zaszczyt, czy kłopotliwy ciężar. Wielu rzeczy nie wiedział. To była spóźniona zemsta Mayty. Nadeszła dopiero po dziesięciu latach. Już w drzwiach odwrócił się w stronę komendanta i zadał mu ostatnie pytanie:

– Komendancie, muszę wiedzieć jedno. Edwin Mayta Carazo... był niewinny?

– Nie wiem, Chacaltana. Myślę, że nawet on sam nie wiedział.

Wyszedł z biura komendanta już po południu, tłumy turystów na ulicach czekały na pierwsze procesje tego dnia. Zdał sobie sprawę, że jest piątek przed Niedzielą Palmową. W prokuratorze nie było żywej duszy. Pobiegnął do swojego gabinetu i zamknął się na klucz.

Położył kaburę na biurku. Przyjrzał się jej. Nie chciał brać tego do domu, tam gdzie jest matka. Pomyślał o matce Maytów. Straciła dwóch synów w odstępie dziesięciu lat. Kule, które dosięgły członków jej rodziny, pochodziły z dwóch przeciwnych stron w tej walce. Kobieta z pewnością nigdy tego do końca nie pojęła, tak samo jak pomocnik prokuratora. Rozpiął kaburę i

dwoma palcami wyjął broń, ale zaraz odłożył ją z powrotem na biurko. Był to czarny pistolet 9 mm, zaopatrzony w pudełko z amunicją. Rodzaj broni używany przez poruczników takich jak Cáceres, którzy zatruwają się cudzą śmiercią i ostatecznie porzucają stanowiska, by rzucić się prosto w objęcia swojej. Po co?

Trochę się namęczył, zanim udało mu się wyjąć magazynek i upewnić się, że jest pełen naboí. Jeszcze bardziej zmęczyło go rozmyślanie, co będzie, jeśli Świetlisty Szlak rzeczywiście znów się zbroi. Żeby opanować sytuację, nie starczy ani on, ani komendant Carrión, ani wszyscy urzędnicy z Limy. Ostrożnie wsunął pistolet do kabury, a wcześniej go zabezpieczył, w każdym razie taki miał zamiar. Jeśli Szlak się przegrupowywał, to najlepsze, co można zrobić z tym pistoletem, to strzelić sobie w łeb.

Ostatnim zgonom towarzyszyły jednak zastanawiające szczegóły. Detale, które należało zbadać, które nie pasowały do typowych metod bojowników Szlaku. Jego zadanie polegało teraz na tym, by prowadzić śledztwo w pojedynkę, miał wsadzać nos tam, gdzie nikt pchać się nie chciał, a już on sam na pewno. Może to jednak jest jakiś awans. Tak się kończą te osławione ambicje.

Schował pistolet do kabury i przypiął ją sobie pod marynarką, między pachą i biodrem. Upewnił się, że niczego nie widać. Czuł się dziwnie i jakoś tak ciężiej. Potem znów wszystko zdjął, schował do szuflady i przekręcił klucz dwa razy. Wcześniej wyjął swój raport i wsadził go do koperty, żeby zanieść osobiście Carriónowi. Idąc bez broni, poczuł się nagle spokojnie i normalnie. Wyszedł z biura już nocą, kiedy słychać było pierwsze dźwięki procesji Matki Boskiej Bolesnej.

Dzielnica Magdalena pełna była turystów z Limy w sportowych ubraniach, trzymających puszki z piwem i aparaty fotograficzne. Młodsze mieszkanki Ayacucho podchodziły do przyjezdnych i uśmiechając się, wołały „kolego, kolego”. Starsze, które dorastały zamknięte w swoich domach podczas wojny, patrzyły na te tupeciary z dezaprobatą, choć wiele matek miało nadzieję, że jakiś limianin, a może nawet Amerykanin, zakocha się w jednej z ich córek i wywiezie ją z Ayacucho. Pomocnik prokuratora przedzierał się z trudem. Utknął wśród tych wszystkich ludzi, między kramikami z napojami, owiany zapachem ponczu i gwarem. Jego myśli kołysały się w rytm ruchu ciał. Każda osoba, z którą się zderzał, wydawała mu się uderzeniem z przeszłości.

Kiedy już myślał się, że znalazł drogę w tym tłumie, jeszcze większe masy ludzkie zatarasowały przejście. Obok niego z kościoła wyszedł pochód Świętego Jana. Poddał się i pozwolił ponieść tłumowi. Światła miasta i sztuczne ognie sprawiały wrażenie, że niebo jest przeładowane, pełne dusz podążających wspólnie do jakiegoś miejsca. Czasami wybuch jakiejś rakiety

wprawiał go w drżenie, ale hałasy były zagłuszane przez tłum. Pomocnik prokuratora maszerował z procesją aż do momentu, który najbardziej go interesował: spotkanie Chrystusa Cierpiącego z Matką Boską Bolesną, symbolizujące cierpienia Jezusa i Jego matki. Kiedy pochód zbliżał się do kolejnej stacji, pomocnik prokuratora rejonowego odczuł coś. Spięty, starał się podejść bliżej, przebić między ludźmi niosącymi figury, aż nagle poczuł szarpnięcie za koszulę. Ktoś przyszył jego rękaw do koszuli innej osoby. To jeden z obyczajów tego święta. Pomocnik prokuratora szarpnął mocno, co zadziwiło tę drugą osobę, traktującą zajście z humorem. Kręciło mu się w głowie, może od zapachu roztaczanego przez figury świętych i uczestników procesji. Poczul ukłucie. Obok niego kilka kobiet dźgało się wzajemnie szpilkami, zaśmiewając się głośno, żeby „wesprzeć Pana w bólu”. Udało mu się przedostać bliżej figury Matki Boskiej, która teraz kołysała się tuż nad jego głową niczym prawdziwe, świetliste objawienie, jak matka materializująca się przed swoim synem, Chrystusem Cierpiącym, który zaraz ma umrzeć i właśnie żegna się z życiem. Przepchał się pod samą figurę i mógł się jej uważnie przyjrzeć. Czarny strój Maryi, świece kołyszące się na postumencie, jej nieskazitelne oblicze i siedem sztyletów przebijających serce, tak jak Justinowi Maycie Carazo, synowi matki, która pielgrzymuje do wszystkich masowych mogił.

Pomocnik prokuratora chciał przed tym świętym obrazem paść na kolana, ale wokół było zbyt tłoczno. Próbował się oddalić, unikając szturchnięć, jakby to były ciosy nożem. Siedem sztyletów dziurawiło mu mózg, próbował odejść od centrum procesji. Uniósł wzrok i stwierdził, że musi być gdzieś w pobliżu restauracji Edith. Przepychając się przez tłum, dotarł pod drzwi. Edith spojrzała na niego znad lady. Uśmiechnęła się, odsłaniając błyszczące zęby. Chacaltana wyminął ostatnie ludzkie przeszkody, żeby do niej podejść, wszedł do lokalu, rzucił się ku niej i objął ją bardzo mocno, nie bacząc na ludzi tłoczących się w restauracji. Niektórzy turyści bili brawo, inni się uśmiechali, tak jak sama Edith, zaskoczona, a on nie wypuszczał jej z objęć. Wtulał się w to drobne ciało, w ten kuchenny zapach, zamykając oczy, jakby to miał być ostatni raz.



## Sobota 15 kwietnia / środa 19 kwietnia

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar powitał sobotę tanecznie. Od dawna nie zdarzyło mu się tańczyć. Ponieważ uważał, że jest to rzecz niestosowna ze względu na stan jego ducha, próbował stawiać opór. Ale kiedy wyszli z restauracji, Edith uparła się i zaprowadziła go na koncert kilku lokalnych zespołów odbywający się na placu targowym.

Na środku placu płonęło wielkie ognisko, wokół którego tańczyło mnóstwo osób. Niektóre się przytulały, inne tańczyły samotnie, wszyscy poruszali się w rytm ludowej muzyki, popijali poncz i piwo. Na początku pomocnik prokuratora wzbraniał się przed tańcem. Edith ciągnęła go na plac, ale on czuł się sztywno, niezdolny do wprawienia w ruch ciała, które służyło mu wyłącznie do zaspokajania podstawowych potrzeb.

W pewnym momencie, udręczony tym tłumem i gwarem, podszedł do kramu z jedzeniem. Poprosił o kielbasę ayacuczańską i szklanę ponczu. Kobieta podała mu kawałek przyprawionej wieprzowiny smażonej w ostrej papryce i occie. Była smaczna. Jedząc, patrzył na Edith, która tańczyła w grupie pośrodku placu. Zaczął się zastanawiać, czy to, co on robi, ma sens. Edith miała nie więcej niż dwadzieścia lat, urodziła się w czasie wojny. A on był stary. Napił się ponczu. Mleko i cynamon połączone z pisco rozgrzały jego ciało. Teraz Edith tańczyła przy ognisku, jej uśmiech zniknął czasami za włosami. Pomocnik prokuratora poprosił o jeszcze jeden poncz, podczas gdy bracia Gaitán Castro wchodzili na scenę, a ludzie witali ich gromkimi oklaskami. Nawet w ich najweselszych piosenkach dawał się słyszeć ten andyjski lament, tak lubiany przez publiczność. Pomocnik prokuratora zdał sobie sprawę, że stopą wybija rytm. Podszedł kilka kroków do przodu.

Edith zauważyła, że się zbliża, i powitała go uśmiechem. Czasami tłum ją zasłaniał, bo była niziutka. Rozpychając się łokciami i w świetnym humorze po dwóch ponczach, Chacaltana przedostał się do niej. Zaczął poruszać nogami, wzorując się na otaczających go ludziach. Dobrze jest upodobnić się do innych, zniknąć w tłumie, rozpuścić się w masie. Edith posłała mu uśmiech, którego nie umiał zinterpretować: czy to czułość, czy kpina z tego, jak fatalnie tańczy? Ale on nie przestawał. Teraz zaczął ruszać rękami, jakby zbierał zboże, dalej biodra, i znów stopy. Trudno mu było robić to wszystko jednocześnie. Starał się jednak, a Edith wirowała wokół niego na tle ognia, kręcąc głową i ramionami, śmiejąc się śmiechem, który pomocnikowi prokuratora wydawał się tak przytulny jak ciepły pokój zimą.

Następny dzień zaczął się szarym porankiem, ale im bliżej było południa,

tym niebo robiło się czystsze. Chacaltana wstał później niż zwykle i od razu popędził do pokoju matki, żeby się przywitać i otworzyć okna. Opowiedział jej, że tańczył. Wiedział, że ona uśmiecha się do niego stamtąd, gdzie teraz jest. Potem wyszedł.

Pod prefekturą i na rynku rozdawano żółte i zielone palmy sprowadzone z prowincji La Mar, z Ceja de Selva. Wierni przemierzali miasto, niosąc gałęzie janowca na Niedzielę Palmową. W kościele Pampa Świętego Augusta przygotowywano procesję Chrystusa od Latorośli, który miał wyruszyć ze swoim winogronem w ręku mającym zapewnić obfite plony. Miasto oddało się świętowaniu.

Pomocnik prokuratora rejonowego stawił się w kościele Serca Jezusowego mniej więcej o 11.35. W zakrystii kierownicy ośmiu procesji kłócili się z ojcem Quirozem, chcieli zmienić trasę marszu. Quiroz odpowiadał, nie kryjąc oburzenia:

– Od prawie pięciuset lat idziemy tą samą trasą i nie będziemy jej zmieniać po to, żeby zatrzymywała się przed hotelami!

– Ale tam są turyści, proszę księdza. Hotelarze będą hojnie łożyć na procesję, jeśli przejdą pod ich budynkami...

Kierownicy rekrutowali się spośród odnoszących sukcesy handlowców i działaczy z Ayacucho. W minionych latach zachowywali się jak bardzo pobożni i wierni wyznawcy, ale od końca wojny wykazywali większe zainteresowanie przemysłem hotelarskim niż zachowaniem tradycji. Słuchając dyskusji, pomocnik prokuratora przypomniał sobie pewnego biznesmena z Huanty, który w zeszłym roku zaproponował przedłużenie święta tak, żeby zrobił się Wielki Miesiąc pełen różnych procesji każdego dnia. Szacował, że to zwiększy ilość turystów. I zyski.

Kierownicy wyszli wyraźnie nie w humorze. Pomocnik prokuratora wolał chwilę odczekać przed wejściem do pomieszczenia. Kiedy wreszcie wkroczył, ojciec Quiroz szykował się do wyjścia.

– Tylko proszę krótko, panie prokuratorze – powiedział duchowny, nie zapraszając go, by usiadł. – To najtrudniejszy tydzień w roku.

– Rozumiem, proszę księdza.

– I jak tam idą sprawy? Ma pan kolejnego skremowanego nieboszczyka? – Nie. Skremowanego nie. Mam Justina Maytę Carazo. Pamięta pan?

Ksiądz zdawał się przez chwilę wyteżać pamięć, przeglądając jednocześnie zawartość swojej aktówki. Odpowiedział, zamykając ją:

– A, tak. Co się stało z tym złodziejaskiem? Znaleźliście go?

– Tak, ale martwego. – Ksiądz skamieniał. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, czy nie wyraził się za ostro. – To znaczy... Znalaziono go na wzgórzu Acuchimay, nadjeźdzonego przez sępy. To się stało w piątek rano.

Duchowny się przeżegnał. Wyszeptał szybko kilka słów, może jakąś formułę za zmarłych, żeby spoczywali w pokoju. Albo nie, pomocnik prokuratora nie był pewien, jak postępuje się z nieboszczykami.

– Wypadek? – zapytał ksiądz. – Nie.

– To ten sam sprawca... co poprzednim razem?

– Tak sądzimy.

– Proszę za mną.

Ruszyli w stronę stołówki dla biednych przy kościele Serca Chrystusowego, oddalonej o kilkaset kroków. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, czy uda mu się kiedyś porozmawiać z księdzem Quirozem na siedząco. Gdy dotarli na miejsce, natknęli się na długą kolejkę żebraków czekających na ulicy przed zamkniętymi drzwiami jadłodajni. Nędzarze natychmiast otoczyli proboszcza, który odsuwał ich od siebie uprzejmie, widać było, że ma w tym wprawę. Pomocnik prokuratora i duchowny weszli do pomieszczenia, w którym drobniutka, czarnowłosa zakonnica oczekiwała niecierpliwie przyjścia ojca Quiroza.

– Jak się mamy, siostrze?

– Dostaliśmy znów mleko w darze, ojcze, ale nie starczy. Za dużo ich – dodała, wskazując na zewnątrz.

– Zrobimy, co możemy. Podziel porcje na pół, a jak to nie wystarczy, to trudno.

– Tak, ojcze.

Zakonnica oddaliła się do kuchni, żeby przekazać instrukcje, po czym wróciła do drzwi. Otworzyła je. Dziesiątki nędzarzy zaczęły się wdzierać, przepychając łokciami. Część z nich została okaleczona w czasie wojny z terrorystami, inni byli zwykłymi wieśniakami, którzy przybyli do miasta na Wielki Tydzień i nie mieli za co kupić żywności. Wszyscy rozsiedli się za czterema szerokimi stołami. Zakonnica i jej dwie towarzyszki rozdawały chleb i nalewały mleko do szklanek, a do talerzy gęstą zupę.

– Ten zabójca wygląda na kogoś bardzo wierzącego – stwierdził duchowny, wracając do tematu.

– Co ma ksiądz na myśli?

– Kremacja... Sępy. Sprawia wrażenie, jakby chciał zniszczyć ciało i

uniemożliwić mu zmartwychwstanie... jeśli spojrzeć na to z perspektywy mistycznej.

– Nie... nie przyszło mi to do głowy...

– Hmm... To dziwne. My, ludzie, panie prokuratorze – ksiądz zaczął perorować – jesteśmy jedynymi zwierzętami świadomymi swojej śmierci. Inne Boże istoty nie znają zbiorowego doświadczenia śmierci albo postrzegają ją w sposób ulotny. Możliwe, że każdy pies i każdy kot uważa się za nieśmiertelnego, bo nigdy nie umarł. Rozumie mnie pan? Ale my wiemy, że przyjdzie nam umrzeć, i żyjemy z obsesją walki ze śmiercią, przez co jej obecność w naszym życiu staje się nadmierna, często przytłaczająca. Ludzka istota ma duszę o tyle, o ile jest świadoma swojej śmierci.

Kilku stołowników podeszło do duchownego, prosząc o błogosławieństwo. Ksiądz przerwał i zaczął kreślić znaki krzyża w powietrzu, jakby rozrzucał je na boki, niedbale. Pomocnik prokuratora próbował poskładać to, co właśnie usłyszał. Niektóre słowa wydawały mu się znane, ale całość jakoś mu się wymykała. Może to tego motywu śmierci jego rozum nie pojmował. Jak mógł myśleć o śmierci albo wiedzieć, czym jest? On nie umarł, w każdym razie tak mu się wydawało. Ksiądz kontynuował:

– Doświadczamy śmierci innych, ale nie odnosimy tego do nas samych. Chcemy żyć wiecznie. Dlatego zachowujemy nasze ciała do zmartwychwstania. Zakopywanie ich to forma zabezpieczania. Etymologicznie „cmentarz” nie jest słowem odnoszącym się do śmierci, tylko do odpoczynku, snu w oczekiwaniu na ponowne spotkanie ciała z duszą. Piękne, co?

Teraz pomocnik prokuratora zrozumiał te słowa, ale nie rozumiał, co w tym ma być pięknego.

– Tak, bardzo ładne.

Ksiądz przystanął na sekundę, żeby pobłogosławić jednego ze stołowników, mężczyznę bez nóg, który zbliżał się do niego, odpychając pięściami od ziemi. Odcisnął mu błogosławieństwo na czole i tamten wrócił do stołu zadowolony. Quiroz mówił dalej:

– W niektórych kulturach prekolumbijskich chowano zmarłych ze wszystkimi przydatnymi przedmiotami, żeby mogli z nich korzystać w życiu pozagrobowym. Tutaj niedaleko, trzydzieści kilometrów od dzisiejszego Ayacucho, Indianie Wari grzebali ważnych członków wspólnoty z ich niewolnikami. Tyle że niewolników zakopywano żywcem. To była militarna kultura.

Przyniesiono im dwie szklanki ciepłego mleka. Dodano do niego cynamonu, taka wersja ponczu bez alkoholu. Pomocnik prokuratora wolał nie

pytać, czy mają mate.

Czując, jak pierwszy łyk przywraca ciału siły, Chacaltana przypomniał sobie znaczenie słowa „ayacucho”: zakątek zmarłych. Przez chwilę wyobraził sobie swoje miasto jako wielką mogiłę żywcem pochowanych niewolników. Mogiłę, którą on sam wybrał i udekorował starymi pamiątkami po matce. Chciał zmienić temat:

– A krew? Ciało Justina zostało całkowicie pozbawione krwi. Ma to jakiś sens?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Jak się człowiek uprze, we wszystkim można znaleźć głębszy sens. Wszystko jest wyrazem tajemniczej woli Pana. Ten motyw krwi może mieć bardziej pogański charakter. Może to krew ofiarna. W wielu religiach sensem ofiar ze zwierząt jest dostarczenie zmarłym krwi potrzebnej do przedłużenia ich rzekomego życia. Spuścić komuś krew to tyle, co pozbawić go życia, żeby ofiarować je innej duszy.

Pomocnik prokuratora chciał napić się mleka przed udzieleniem odpowiedzi, ale drobinka cynamonu wydała mu się podobna do kropli krwi. Nie wiedzieć czemu, przypomniały mu się słowa: „Jeżeli kto będzie spożywał jakąkolwiek krew, zwrócę oblicze moje przeciwko temu człowiekowi spożywającemu krew i wyłączę go spośród jego ludu. Bo życie ciała jest we krwi”<sup>2</sup>. Wypowiedział to na głos. Duchowny uzupełnił:

– Księga Kapłańska, 17, 10-14. Widzę, że odrobił pan pracę domową z Biblii.

– Sam nie wiem, gdzie to słyszałem. Pewnie pamiętam to z jakiejś mszy z dzieciństwa. Chodziłem zawsze z matką. A siedem sztyletów w piersi Matki Boskiej Bolesnej? Co one symbolizują?

– Siedem srebrnych sztyletów za siedem cierpień, jakich doznała Matka Chrystusa w czasie jego męki. Pan prowadzi śledztwo, prokuratorze, czy przygotowuje się do komunii świętej?

– To dlatego że te dwie śmierci wydają się mieć jakiś związek z Wielkim Tygodniem: Środa Popielcowa, Matki Boskiej Bolesnej... to... za duży zbieg okoliczności, prawda?

– Nie. Dawne święta nakładają się na nowe. Karnawał był oryginalnie pogańską uroczystością, świętem żniw. A w tradycjach Wielkiego Tygodnia pobrzmiewają echa kultury andyjskiej starszej od Hiszpanów. To dlatego, że

---

<sup>2</sup> Wszystkie biblijne cytaty pochodzą z IV wydania Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.).

nie ma tu stałej daty, jak w przypadku Bożego Narodzenia, tylko zależy od cyklu księżyca. Tak jak panu powiedziałem poprzednio, Indian nie sposób poznać od środka. Na zewnątrz dostosowują się do obyczajów narzucanych przez religię. Ale chyba tylko Bóg wie, co oni tam sobie naprawdę myślą.

Pomocnik prokuratora przyglądał się żebrakom tłoczącym się na ławkach w jadalni, nad którymi wisiał obraz okrwawionego Chrystusa w koronie cierniowej. Jeszcze jeden nędzarz podszedł do księdza, prosząc o błogosławieństwo, i otrzymał je. Chacaltana skomentował:

– Mnie wydają się bardzo pobożni, ojciec Quiroz.

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby wszyscy wieśniacy, którzy przyjechali do Ayacucho na Wielki Tydzień, wiedzieli tak do końca, co właściwie robią. A to w końcu Wielki Tydzień o najstarszych tradycjach na świecie. Wiedział pan o tym? U nas i w Sewilli. W Ayacucho zachowały się najstarsze tradycje chrześcijańskie. Na przykład święto Matki Boskiej Bolesnej, w piątek przed Niedzielą Palmową, prawie nigdzie nie jest obchodzone.

Pomocnik prokuratora zaczął się zastanawiać, w której z peruwiańskich prowincji leży Sewilla. Obiecał sobie, że sprawdzi to na mapie kraju, kiedy tylko będzie miał chwilkę. Pytał dalej:

– W takim razie jak wieśniacy rozumieją Wielki Tydzień?

– Podejrzewam, że to po prostu część ich cyklu. Mit wiecznych powrotów. Czas jest cykliczny. Ziemia umiera po żniwach, a potem znów się rodzi po zasiewach. Tyle że dają Pachamamie twarz Chrystusa.

Pomocnikowi prokuratora brakowało jeszcze jednej informacji. Przełamał zawstydzenie i zapytał:

– A jakie znaczenie my przypisujemy temu świętu? Duchowny wyglądał za zaskoczonego. Wbił w Chacaltanę pełne dezaprobaty spojrzenie, jakby patrzył na krnąbrnego ucznia.

– Tak dobrze panu szło z cytatami z Biblii... – Uśmiechnął się w końcu lekko. – Śmierć, panie prokuratorze. Świętujemy śmierć Chrystusa i odgrywamy ją, żeby umrzeć razem z nim.

– Ach, rozumiem, ale... znaczy... Dlaczego świętuje się śmierć? Nie jest to trochę dziwne?

– Obchodzimy to święto, bo tak naprawdę w nią nie wierzymy, bo uważamy ją za formę przejścia do życia wiecznego, bardziej rzeczywistego. Jeśli nie umrzemy, panie prokuratorze, nie będziemy mogli zmartwychwstać.

Tego samego popołudnia Chacaltana próbował wytłumaczyć Carriónowi to, co zrozumiał z rozmowy z duchownym, choć zrozumiał niewiele. Jednak

komendant przyjął te słowa z grymasem rozczarowania.

– Teryści katoliccy, Chacaltana? Przecież to pieprzeni komuniści!

W biurze Carrióna piętrzyło się sporo papierów, wśród nich raporty pomocnika prokuratora i talerze z resztkami jedzenia. Chacaltana domyślał się, że komendant nie rusza się ze swojego gabinetu nawet po to, żeby zjeść czy iść spać do domu, nie załatwia swoich spraw osobiście i nie spotyka się z nikim, tylko żąda raportów na każdy temat. Ale jego słuchał. Faktycznie Chacaltana przeszedł bez żadnych kontroli czy pytań przez wejście i centralny dziedziniec komendantury, trafiając prosto na drugie piętro. Na korytarzu przed biurem komendanta czekał kapitan Pacheco. Sekretarka tłumaczyła mu, że Carrión jest w trakcie ważnego zebrania, ale pomocnikowi prokuratora pozwoliła wejść bez zmruczenia oka. Pacheco rzucił mu nienawistne spojrzenie. Chacaltana wiedział, że może spodziewać się kłopotów. Ale teraz jego jedyny problem sprowadzał się do tego, jak przekonać komendanta do swojej teorii, do której sam nie był zbyt przekonany.

– Oba zabójstwa pełne są religijnych odniesień, panie komendancie. To jakby... celebracja śmierci.

– Oglądał pan pewnie sporo filmów, Chacaltana, co? Pomocnik prokuratora pomyślał o telewizorze w restauracji Edith. Nie. Nie oglądał zbyt wielu filmów.

– Ale... takie są moje ustalenia... panie komendancie.

Chacaltana czuł się głupim, niezdarnym i fatalnym śledczym. Pomyślał, że lepiej byłoby nigdy nie awansować i dalej zajmować się wierszami i sprawozdaniami. Nie lubił być ważny, a zwłaszcza w takim dochodzeniu. Gdyby był nikim, siedziałby sobie teraz z Edith i myślał o czymś innym. O swoich sprawach. O swoim życiu, a nie o wielkim stosie zabitych ludzi. Komendant znów spojrzał na niego nieufnie.

– I co panu powiedział ten ksiądz? Że to seryjny morderca?

– Nie zdradziłem mu zbyt wielu detali, panie komendancie. Tylko to, co niezbędne. Obiecał mi dyskrecję.

– Dyskrecja! U księdza! Na pewno poleciał już do arcybiskupstwa i wszystko wypaplał. Klechy są jak plotkarskie baby. Dlatego noszą kiecki.

– Sądzę, że możemy mu zaufać, komendancie.

– Zaufać! – Carrión parsknął śmiechem. – Zaufać. Wie pan, po co w kościele Serca Chrystusowego jest krematorium?

– Nie, panie komendancie.

– Żeby pozbywać się niewygodnych ciał, Chacaltana. To była dobra

alternatywa logistyczna. Zamiast rowów, ogień. Sami zaoferowali, że to zorganizują. Ale rozwiązanie okazało się niepraktyczne. To było zbyt widoczne, centrum miasta i ten dym. Poza tym oznaczało dopuszczenie kleru do naszych najtajniejszych działań. Ostatecznie prawie nie używaliśmy pieca, a kiedy już do tego doszło, okazało się, że o sprawie wie nawet sam papież. Im nie można zaufać. Zaoferowali nam to wyłącznie po to, żeby móc szpiegować.

– Oni... zaoferowali?

– Brzmiało to rozsądnie. Wszyscy tak samo chcieliśmy się pozbyć tych terrorystów, nie?

Pomocnikowi prokuratora wydało się to logiczne. Ale tak czy inaczej wierzył w ojca Quiroza. Ksiądz wykazywał chęć do współpracy. A poza tym Chacaltana musiał komuś zaufać. Jeśli wszystko jest kłamstwem, myślał, to nic nim nie jest. Jeśli ktoś żyje w świecie fałszu, to ten fałsz staje się prawdą. Quiroz mówił o życiu wiecznym jako o czymś prawdziwszym. Przez chwilę pomocnikowi prokuratora wydawało się, że rozumie, o co chodzi księdzu. Komendant rozsiadł się na krześle. Wyglądał na poirytowanego.

– A panu, Chacaltana? – zapytał. – Panu możemy zaufać? Chacaltana miał ochotę powiedzieć, że nie, żeby niczego mu nie powierzano.

– Oczywiście, komendancie.

Komendant miał na sobie mundurowe spodnie i koszulę, ale prezentował się nieporządnie. Butów i galonów nikt mu nie wypolerował. Na jego zmęczonej twarzy pojawiały się pierwsze siady zarostu, bardziej przypominające plamy brudu niż owłosienie.

– Przyjdą po mnie, Chacaltana. Wiem to. Wyczuwam to. Każda sekunda naszego pobytu tutaj to szansa dla zabójców.

– Nie przyjdą po pana, komendancie. Jesteśmy tu po to, żeby temu zapobiec.

Komendant odwzajemnił się krótkim uśmiechem wdzięczności. Potem jego twarz spoważniała.

– Przyjdą tak czy inaczej – powiedział ponuro. – Śmierć przeciera sobie drogę. Wiem o tym.

Czasami do Chacaltany docierało nagle, że przecież prowadzi śledztwo pod rozkazami zabójcy. Zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe, żeby mieć przełożonego bez krwi na rękach. Jednak zawsze podobne myśli ulatniały się z jego głowy same z siebie, żeby nie utrudniać mu wykonywania zadań.

– Może ma pan rację – zakończył komendant. – Może ma to jakiś związek z Wielkim Tygodniem. Ale nie taki, jak się panu wydaje. Ciekawy z pana



przypadek, Chacaltana. Wciąż jest pan o krok od celu, ale zawsze pan chybia.

– Dziękuję, panie komendancie – powiedział pomocnik prokuratora. Choć zastanawiał się, czy to była właściwa odpowiedź.

– Próbują zepsuć nam zabawę. Symbol Ayacucho, miasta spacyfikowanego. Turystyczny rekord Wielkiego Tygodnia. Chcą pokazać, że wrócili i że są wszędzie w górach. I to jeszcze równo na początek nowego milenium. Taki efekciarski chwyt. Na szczęście udało nam się ukryć to przed prasą. Gdyby to zostało upublicznione, byłiby jeszcze bardziej podekscytowani. Mają jeszcze ograniczone możliwości, ale zrobili się sprytniejsi. Wcześniej takie rzeczy nie przychodziły im do głowy.

– W takim razie jest możliwe, że ich następne uderzenie będzie mieć miejsce jutro, w Niedzielę Palmową. Oficjalny początek Wielkiego Tygodnia.

– Triumfalny wjazd Chrystusa do Ayacucho.

– Właśnie tak, panie komendancie.

Carrión zamyślił się na kilka sekund. Potem wezwał sekretarkę przez interkom i obrócił się twarzą do pomocnika prokuratora.

– Uznają mnie za wariata, ale mam to w dupie. Cofnę urlopy policjantom i poproszę armię o posiłki. Każę im patrolować całe miasto, będą uzbrojeni, ale w cywilu, żeby nie siać paniki. Wymyślę coś, żeby to dyskretnie usprawiedliwić. Może pan odejść, Chacaltana. I bardzo dziękuję.

Pomocnik prokuratora podniósł się. Komendantowi jeszcze coś się przypomniało:

– Ma pan broń przy sobie?

– Przepraszam?

– Pytam, gdzie jest ten pistolet, który panu dałem? Nie nosi go pan? Proszę się z nim nie rozstawać, nie ma co strugać chojraka! Pan też jest możliwą ofiarą. Bardzo możliwą.

– Tak, panie komendancie.

Pomocnik prokuratora wyszedł z gabinetu, rozmyślając nad ostatnimi słowami komendanta. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że stanowi potencjalny cel ataku. Trudno mu było przyzwyczaić się do myśli, że jest na tyle ważnym urzędnikiem, by ktoś chciał go zlikwidować. Zlikwidować, powtarzał sobie. Zmienić w nicość. Słowo wydało mu się okropne.

Poszedł do swojego biura i wysunął szufladę. Ostrożnie wyjął pistolet, upewniając się kolejny raz, że jest zabezpieczony. Położył go na blacie biurka i przyglądał mu się, a potem podniósł go i stanął przed lustrem w łazience.

Próbował sobie wyobrazić, że strzela. Nie udało mu się. Schował broń do kabury, a potem wsadził wszystko do dużej koperty. Pistolet był za duży i wystawał. Wobec tego wsadził kopertę do pokrowca na maszynę do pisania. Wychodząc, trzymał go jak małe dziecko. Szedł do domu szybko, zderzając się nerwowo z grupkami turystów i handlarzy, pełen obaw, że broń wypali mimo zabezpieczenia, bo to przecież diabelska sprawa. Kiedy dotarł do domu, zaniósł paczkę do pokoju matki i zostawił na komodzie.

– Spokojnie, mamusku, nie będę tego otwierał, nie bój się. To tylko po to, żebyś wiedziała, że coś takiego jest w domu. Myślę... myślę, że lepiej trzymać to w szafce nocnej, na wszelki wypadek, choć nic na pewno się nie stanie. Bo nic się nie stanie, prawda? Nic.

Powtarzał te słowa, nie spuszczać wzroku z broni, przynajmniej przez kilka godzin, dopóki ktoś nie zapukał do drzwi. Schował paczkę w szufladzie i poszedł otworzyć. Zawahał się. Wrócił i schował pistolet pod łóżko. Też nie. Do drzwi wciąż się dobijano. Nerwowo wetknął paczkę za pojemnik z wodą, z którego korzystał w razie awarii kanalizacji. Tak. Tam nikt nie będzie szukał. Przed otwarciem drzwi wyjął jednak stamtąd pistolet i odłożył do szuflady w szafce nocnej. Okazało się, że pukała Edith.

– Dziś dali mi wolne, bo jutro pracuję cały dzień – powiedziała.

Wieczór minął im na spacerowaniu po mieście, które trudno było rozpoznać, tak pełne było jasnowłosych ludzi ze stołecznym akcentem. Kilku pijanych limian zagwizdało na Edith. Pomocnik prokuratora naskoczył na nich:

– Mordy w kubeł, bydlaki!

Edith zaśmiała się, ale kiedy siedli, żeby zjeść pieczonego kurczaka, zapytała:

– Jesteś zdenerwowany. Co się dzieje?

– Takie tam sprawy w pracy. Nic ważnego.

– Byłeś dziś w kościele Serca Jezusowego, prawda? Ktoś cię widział z ojcem Quirozem.

– A kto? – Pomocnik prokuratora nie umiał zamaskować nutki niepokoju w głosie.

– Nie wiem. Ludzie. Ayacucho to małe miasteczko, tu wiadomo o wszystkim. A co? – Zaśmiała się szelmowsko. – To jakaś tajemnica?

– Nie, nie. Tyle że... pracuję teraz nad trudną sprawą. – Tak to jest, jak się awansuje, nie? Masz więcej odpowiedzialności.

– Tak, prawda. Widziano mnie jeszcze gdzieś?

– Nie wiem. Do mnie tylko to dotarło. Możesz mi opowiedzieć o tej twojej sprawie?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. Sam wolałbym nie wiedzieć.

– Ten ksiądz to bardzo porządny człowiek. Jest miły. Często chodzę do tego kościoła.

– Tak. Miły.

– Kiedy zabierzesz mnie do Limy?

Dla pomocnika prokuratora Lima była już tylko mglistym i smutnym wspomnieniem. Jego praca, jego była żona, wszystko zanikało w jego pamięci, żeby nigdy więcej nie wrócić. Tak czy inaczej odpowiedział:

– Niedługo. Jak tylko skończę to dochodzenie. Zachód słońca oglądali z punktu widokowego na Acuchimay, nieopodal figury Chrystusa. Edith uparła się, żeby tam wejść, mimo niechęci Chacaltany. Piła inca colę i trzymała go za rękę, a on zaczął odzyskiwać spokój. Pomyślał, że Chrystus jakoś za bardzo go nie chroni, za to Edith owszem.

– Tydzień temu rozmawiałem z jednym terrorystą – zdecydował się powiedzieć. – I wygląda na to, że teraz znów będę musiał. Trochę się boję.

Wystarczyło, że to wypowiedział, i od razu zdał sobie sprawę, że musi o tym porozmawiać. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. I żeby ktoś mu odpowiadał. Przypomniało mu się ciało Justina. Sępy na niebie czekały na nowy posiłek. Edith odczekała kilka sekund i odpowiedziała:

– Nie bój się. To się już skończyło. Wojna się skończyła. Zauważył, że mówi „wojna”. Nikt, oprócz wojskowych, nie nazywał tego, co tu się działo, wojną. To był terrorizm. Mocno zacisnął jej dłoń.

– W każdej chwili pożar może znów wybuchnąć, Edith. Wystarczy jedna precyzyjna iskra.

– Słońce zaczyna zachodzić – zauważyła. Nie chciała o tym rozmawiać.

Na dole procesja Chrystusa od Latorośli zaczynała się przemieszczać. Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar przypomniał sobie, że jest sobota przed Niedzielą Palmową, i zawahał się, czy ewentualne pójście do łóżka z Edith nie byłoby brakiem szacunku wobec niej i Jezusa Chrystusa. Żeby odpędzić te myśli, starał się powiedzieć jej coś ładnego.

– Bardzo byś przypadła do gustu mojej matce. Edith nie odpowiedziała.

I puściła jego dłoń.

W Niedzielę Palmową, po mszy i święceniu liści palmowych, Chrystus wkroczył do Ayacucho po kwiatnych dywanach, którymi udekorowano ulice.

Najpierw pojawiły się setki osłów i lam przyozdobionych gałązkami janowca, z uzdami, w które wpleciono kolorowe wstążki i dzwoneczki.

Prowadzący je wieśniacy detonowali fajerwerki i petardy, wywołując wielkie zamieszanie. Przed pochodem na wspaniałym rumaku jechał główny przewodnik procesji z białą-czerwoną szarfą na piersi. W święcie uczestniczył oddział mężczyzn i kobiet dosiadających koni ozdobionych zgodnie z tradycjami prowincji, a wśród nich znajdował się prefekt, podprefekt oraz poganiacze mułów i wieśniacy grający na rogach, by uczcić przybycie Chrystusa.

Pomocnik prokuratora rejonowego znajdował się wśród widzów, obok dywanu z czerwonych i żółtych kwiatów ułożonych w kształt serca Jezusowego, czujnie obserwując wszystko dookoła, nerwowo z powodu eksplodujących rakiet. Bez trudu rozpoznawał ubranych po cywilnemu agentów, bo tylko oni mieli na sobie garnitury, krawaty i białe, sportowe skarpetki, a poza tym zachowywali się tak specyficznie, że brakowało im tylko kartki z napisem „tajny agent” przyklejonej do czoła. Byli jednak dobrze rozstawieni. Co najmniej dwóch stało na każdym rogu przy drodze pokonywanej przez osły, a wokół tłumy i przy trasie wyjazdowych z miasta utworzono całą sieć tajniaków. Kiedy procesja zbliżała się już do centrum, pomocnik prokuratora natknął się na kapitana Pacheco, ubranego w galowy mundur Policji Państwowej, który jednak szedł między ludźmi, a nie stał na trybunie honorowej. Chacaltana chciał się schować, ale kapitan podszedł do niego.

– Może mi pan wyjaśnić, co się dzieje, panie prokuratorze?

– Mamy Niedzielę Palmową, kapitanie. Tuż za nimi zdetonowano fajerwerk.

– Niech pan sobie nie robi ze mnie jaj, Chacaltana! Komendant Carrión odwołuje wszystkie spotkania prócz widzeń z panem. Wychodzi pan z biura i nagle cała policja ma podwójną zmianę. Wie pan, w jakim stanie są moi ludzie? Jak mam im tłumaczyć, dlaczego cofnięto im urlopy?

– Nie wiem, o czym pan mówi, kapitanie. Spotkałem się z komendantem tylko po to, żeby przekazać mu raport.

Jeden z koni jadący przez plac o mało nie poniósł przestraszony hałasem i tłumami. Jeździec zdołał go opanować.

– Pan mnie ma za naiwniaka, Chacaltana? Ja powinienem jechać tam z nimi na takim koniu. Nawet sobie wynająłem pięknego, ale musiałem go oddać temu kretynowi, mojemu szwagrowi, bo mam służbę i muszę iść pieszo. Dlaczego nas zmobilizowano, panie prokuratorze? Dlaczego pan tak lubi nam przysrać?

– W żadnym wypadku nie było moją intencją zakłócanie pańskich relacji ze szwagrem, kapitanie. Komendant bardzo przejmuję się kwestiami bezpieczeństwa w okresie wielkanocnym. To wszystko.

Rozdzieliła ich grupa turystów. Kapitan przepychał się między ludźmi, mówiąc:

– Niech pan sobie nie wyobraża, że ja o niczym nie wiem. Mam o panu dostatecznie dużo informacji. I powinien pan bardziej uważać na to, z kim się pan zadaje. Pańscy znajomi mogą wpakować pana w kłopoty.

Potem dał się ponieść tłumowi. Zniknął, zanim pomocnik prokuratora zdążył zareagować. Co on chciał przez to powiedzieć? Czy wie, jaki naprawdę charakter ma jego współpraca z komendantem? A może chodziło mu o tego terrorystę? Policjanci wymieniają się informacjami, pewnie pułkownik Olazábal opowiedział mu o wizycie w więzieniu. Przestraszył się, że to mogło zostać źle zinterpretowane. Uznał, że należy poinformować komendanta Carrióna, że udał się do zakładu karnego o zaostrzonym rygorze i że wszystko odbyło się w ramach wypełniania właściwych obowiązków służbowych.

Osiolki zbliżały się do głównego placu, gdzie miały zawrócić. Pomocnik prokuratora pomyślał, że dla lam owa trasa w Niedzielę Palmową jest tak naprawdę długą drogą do rzeźni, bo na końcu wieśniacy wszystkie zjadają. Szły jednak z tymi głupawymi minami typowymi także dla krów i nierozumiejącymi spojrzeniami. Szczęściarzy.

Jedna z delegacji zatrzymała się obok katedry, przed dziedzińcem ratusza, żeby złożyć gałęzie jan owca, które miały tam czekać do następnej niedzieli, kiedy to zostaną spalone. Podczas gdy w blasku fleszy i przy akompaniamencie oklasków uroczyście składano palmowe liście, dała się słyszeć kolejna eksplozja. I krzyki. Nie były to krzyki radości, tylko przerażenia.

Pomocnik prokuratora i dwaj agenci z rogu pobiegli w stronę wybuchu. Musieli przedzierać się pod prąd procesji zmierzającej do centrum. Kawałek dalej dwóch turystów leżało na ziemi. Ludzie utworzyli wokół nich krąg. W tej samej chwili pojawiło się jeszcze czterech policjantów w cywilu. Dwóm kazano zaopiekować się rannymi. Pozostali pobiegli w kierunku wskazanym przez ludzi. Pomocnik prokuratora widział plecy kilku młodych ludzi przedzierających się przez tłum. Policjanci pędzili za nimi. Im bardziej oddalali się od placu, tym rzadszy robił się tłum i biec można było coraz szybciej, ale to dawało przewagę tym z przodu. Po drodze paru umundurowanych policjantów przyłączyło się do pościgu. Ciekawscy, którzy na początku przeszkadzali, zaczęli ustępować ścigającym z drogi, ale podpowiedzi okazywały się mylące: „Tamtędy, nie, tamtędy”. Już za ścisłym centrum młodzi uciekinierzy

rozdzielili się i zapuścili w węższe uliczki. Nie byli to amatorzy. Wiedzieli, co robić. Pomocnik prokuratora wybrał tych, którzy biegli najbliżej, i pędził za nimi razem z dwoma agentami. Uciekinierzy zapuścili się w nowe osiedle zabudowane identycznymi budynkami, próbując ukryć się w tutejszych zaułkach. Agenci rozdzielili się, żeby zablokować wyjścia i zacząć się przy nich. Ktoś wezwał posiłki przez radio. Dostrzegli jednego chłopaka biegnącego brzegiem osiedla. Ruszyli za nim we trójkę. Osiedle kończyło się w miejscu, gdzie pojawiały się domki z kartonu i blachy i nieasfaltowane ulice. Idealna kryjówka. Trzech policjantów próbowało biec śladem uciekiniera, do którego dołączył drugi, przez uliczki i zaułki osady. Ścigający rozdzielili się. Pomocnik prokuratora zdał sobie sprawę, że biegnie sam. Zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeśli dogoni któregoś zbiega, jak go zatrzyma, czy nie ryzykuje życiem i kto tu właściwie kogo ściga. Nie zatrzymał się jednak. Nie miał też czasu na podziwianie własnej odwagi. Skręcając za róg, niemal na końcu osiedla, gdzie zaczynał się stok, spotkał się twarzą w twarz z jednym z agentów. I tyle z pościgu.

– Cholera! – zaklął pomocnik prokuratora, łapiąc z trudem dech. Musiał się oprzeć o ścianę. Drugi agent dotarł tam kilka sekund później.

– Muszą być w jednym z tych domów – powiedział agent. – Dalej nie mogli odbiec.

Stali, nie wiedząc, co robić, oddychając ciężko. Jeden z agentów podszedł do sklepiku i poprosił o coś do picia. Pomocnik prokuratora czuł frustrację i złość. Podszedł do lady, gdzie obsługiwała czternastoletnia dziewczynka. Drugi z agentów został na zewnątrz. Dziewczyna postawiła na ladzie dwie inca cole. W sklepiku było tylko to oraz paczki ze słonymi krakersami Field. Gdy otwierali butelki, agent zaczął się uważnie przyglądać dziewczynie. Wyglądał, jakby się wahał. Podniósł wzrok i spojrzał na zaplecze zasłonięte firaną. Potem pokiwał głową, jakby przyznając się do pomyłki. Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Dasz mi też te krakersy, kotku?

Dziewczyna obróciła się, żeby wziąć paczkę. Krakersy leżały na wysokiej półce. Kiedy wyciągnęła rękę, agent wyjął swój pistolet, 9 mm, taki sam, jaki Chacaltana miał w domu, i przeskoczył przez ladę. Złapał dziewczynę za gardło i przyłożył lufę do jej głowy. Potem zasłaniając się nią jak tarczą, pchnął ją na zaplecze, podnosząc broń i krzycząc:

– Nie ruszać się, kurwa mać, bo ją zabiję! Nie ruszać się, kurwa!

Wszedł na zaplecze, a pomocnik prokuratora nie wiedział, co ma robić. Zwabiony krzykami drugi agent wbiegł do środka z bronią w ręku. Z zaplecza dobiegały głosy pierwszego agenta i jeszcze dwa inne:

– Ale nie, psze pana, my nie zrobiliśmy niczego! My niewinni!

Agent wycelował w drzwi. Nagle dały się słyszeć uderzenia, brzęk szkła, jakieś przedmioty spadały na ziemię, kobiecy, a raczej dziewczęcy płacz.

– Ręce na głowę, kurwa! Ale już!

Dwaj chłopcy wyszli z za zalepca, trzymając ręce na karku. Pomocnik prokuratora rozpoznał białą koszulkę jednego z uciekinierów. Agent stojący przedtem na zewnątrz wycelował im w twarze, a widząc je, zaklął:

– To wy? Cholera jasna...

Ustawili ich pod ścianą, wciąż mierząc w głowy, a pomocnik prokuratora przeszukał ich: znalazł dwa noże i mały rewolwer, dwudziestkę ósemkę. Policjanci trochę kopali zatrzymanych. Kazali im się położyć na ziemi z rozłożonymi rękami i tak czekali na wóz patrolowy. Dziewczynce też rozkazali, aby się położyła.

– Niełatwo być przestępcą w Ayacucho – stwierdził agent, który rozpoznał dziewczynę. – Tutaj wszyscy się znają.

Jeden z zatrzymanych jęknął.

– Stul, kurwa, pysk! – odezwał się drugi agent. Kopnął chłopaka w brzuch. Od razu zamilkł.

– Co to za jedni? – zapytał Chacaltana.

– Ci? Takie tam drobne męty. Kiedy Świetlisty Szlak był już blisko końca, obniżył wiek dla swoich poborowych. Przyjmowali jedenasto-, dziesięcio-, czy nawet dziewięcioletnich gówniarzy. Dawali im broń i uczyli posługiwania się materiałami wybuchowymi. Potem Szlak się skończył, ale oni wciąż się tu kręcą, tyle że zrobili się z nich pospolicie przestępcy.

– Dlaczego wciąż działają?

– A co mamy z nimi zrobić? Do niedawna byli jeszcze nieletni. A tu nie ma poprawczaka. Ale weterani tacy jak ten – i tu kopnął w twarz najstarszego – od lat trenują takich smarkaczy jak ten – przydepnął dłoń młodszemu. Pomocnik prokuratora usłyszał jego jęk. Pochlipywał jak dziecko. – Są coraz młodszy i coraz gorsi. A my nie możemy nic zrobić.

Chacaltana zauważył, że dziewczynka ma podbite oko.

– Co z nimi zrobicie? Drugi agent odpowiedział:

– Jakby to ode mnie zależało, pozbyłbym się ich bez cackania. Na tych już nie ma rady. Czym skorupka za młodu...

Starszy spojrział na agenta z nienawiścią. Ten splunął na aresztowanego i

warknął:

– I co się, kurwa, gapisz? Ty już dorosły jesteś, nie? Masz pewnie ze dwadzieścia lat, ale zgrywasz szczyła, że niby dowodu jeszcze nie masz, dupek jeden. Tyle masz za uszami, że można by cię spokojnie wysłać do ostrego pierdła, żeby cię tam zgwałcili. Więc nie gap się tak, bo cię przerobię na kobitkę, uważaj sobie.

Pomocnik prokuratora zrozumiał, dlaczego nic o nich nie wie. Żadne skargi nie trafiały do prokuratury, bo ci chłopcy nie byli zarejestrowani jako pełnoletni. Jak mówił komendant Carrión, nie mieli nawet nazwisk.

Wrócił do centrum zatroskany i ze spuszczoną głową. Przechodząc przez osiedle, miał wrażenie, że ktoś bardzo ostrożnie go śledzi. Kiedy się obrócił, zobaczył tylko kobietę z kwiatami na procesję.

Potem w komisariacie agenci powiedzieli mu, że zaatakowani turyści nie odnieśli nawet lekkich ran. Skończyło się na strachu, mówili. Ten, który spisał zeznania, stwierdził:

– Jankesi, panie prokuratorze, to same pedały. Krzyczą, krzyczą, a nic się nie stało. Nawet im niczego nie ukradziono, bo od razu się wszyscy rozdarli. Powinniśmy eksportować do nich przestępców, żeby się przekonali, co to jest prawdziwy napad, i żeby nam pierdołami głowy nie zawracali.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar resztę wieczora spędził na patrolach przy procesjach. Widział, jak Chrystus od Latorośli wyruszał z klasztoru Świętej Teresy, dosiadając białego osiołka w towarzystwie dwunastu przebranych za apostołów obywateli Ayacucho oraz przedstawicieli lokalnych władz. Za nimi kroczył drugi osioł obładowany koszykami z owocami. Kiedy dotarli pod katedrę, figurę Jezusa zdjęto z grzbietu osła i wniesiono do świątyni wśród wiwatów i aplauzów. Pomocnik prokuratora rozpoznał dywan z Sercem Jezusowym, który widział na początku ceremonii. Po przejściu ludzi i zwierząt kompletnie się zniszczył. Rysunek serca został zdeptany, jego strzępy poprzyklejały się do oślich kopyt.

W poniedziałek wieczorem, po obiedzie z Edith, pomocnik prokuratora rejonowego udał się do więzienia o zaostrozonym rygorze w Huamandze. Tym razem wejść było znacznie łatwiej niż poprzednio. Pułkownik Olazábal przyjął go z otwartymi ramionami i zaproponował mate, wiedząc, że to ulubiony napój Chacaltany. Pomocnik prokuratora nie pytał, skąd o tym wie. Domyślał się odpowiedzi: Ayacucho to małe miasto, tutaj wszystko wiadomo. Zapewnił Olazábala, że interweniował w sprawie jego awansu, a następnie spotkał się z Hernánem Durango Gonzálezem, dawniej znanym jako towarzysz Alonso.

– Chyba pan się zaczyna do mnie przywiązywać, panie prokuratorze – takie były pierwsze słowa terrorysty. – Nie mam zbyt wielu stałych gości.



- Przyszedłem tu w ramach służbowego obowiązku, panie Durango.
- Proszę mi mówić Alonso.
- Ale pan ma na imię Hernán.

Poprzednio terrorysta zachowywał się agresywnie i butnie. Teraz jego oczy emanowały pewną ironią, choć dotąd były surowe i kamienne. Wiedząc, że Durango zawsze ma gotową odpowiedź, zanim jeszcze usłyszy pytanie, pomocnik prokuratora postanowił uprzedzić jego słowa.

- Chcę wiedzieć, co łączy...
- Dlaczego pan myśli, że coś powiem, panie prokuratorze?

To było dobre pytanie. Pomocnik prokuratora rozważył kilka możliwych odpowiedzi: bo nie wiem, z kim innym mógłbym porozmawiać, bo nie mam pojęcia, co tu się dzieje, bo nie jestem policjantem i nie umiem prowadzić śledztwa, bo potrzebuję złożyć raport, którego pierwszy raz w życiu nie umiem sporządzić.

- Bo pan lubi mówić, panie Durango – powiedział w końcu. – Uważa się pan za lepszego od nas wszystkich i lubi pan to demonstrować.
- Od tego do zdrady długa droga. Nie sądzi pan?
- Mówiłem już, że nie ma pan kogo zdradzać. Pańscy towarzysze już się skończyli. Natomiast ja prowadzę bardzo trudną sprawę, przy której mógłby pan być pomocny.
- Dzięki – odpowiedział więzień z sarkazmem. – Mogę zapalić?

Tak jak poprzednim razem terrorysta był skuty kajdankami. Chacaltana uznał, że można pozwolić mu na małe rozluźnienie z papierosem. Otworzył drzwi i poprosił strażnika o jednego. Zapalił, zakaszał i wrócił do celi. Podał papierosa terrorysty. Durango zaciągnął się głęboko i wyjrzał przez okno.

- Niech pan powie, tam na zewnątrz pewnie Wielki Tydzień w toku, co? Domyślam się, bo przed świętami jest więcej wizyt.
- Niech pan nie mówi, że pan nie wie.
- Od dawna już czasu nie liczę.

Chacaltana wyczuł w jego głosie nutę smutku. Pomyślał, że to pewnie jedna ze strategii zmylenia rozmówcy. Wobec tego spróbował samemu zastosować podobną taktykę:

- Nie sądziłem, że jest pan taki pobożny. Terrorysta zapatrzył się w okno. Odwrócił się nagle w stronę pomocnika prokuratora i zaczął recytować:
- A Jezus wszedł do świątyni i wyrzucił wszystkich sprzedających i

kupujących w świątyni; powywracał stoły zmieniających pieniądze oraz ławki tych, którzy sprzedawali gołębie. I rzekł do nich: „Napisane jest: Mój dom ma być domem modlitwy, a wy czynicie z niego jaskinię zbójców”.

Patrzył na pomocnika prokuratora uważnie, z dumą. Chacaltana zapytał:

– To z Biblii?

– Z Ewangelii Świętego Mateusza. Pewne rzeczy są uniwersalne, panie Chacaltana, na przykład oburzenie na jaskinię zbójców.

– Interesujące. Czy... istnieje jakikolwiek związek między pańskim ugrupowaniem i jakimś proroctwem religijnym? W Apokalipsie... czy coś takiego?

Terrorysta się zaśmiał. Jego śmiech rozbrzmiewał wśród gołych ścian pomieszczenia. Potem powiedział:

– Jesteśmy materialistami. Ale pan pewnie nawet nie wie, co to znaczy.

– Co, pana zdaniem, dzieje się po śmierci? Towarzysz Alonso uśmiechnął się melancholijnie. – Jest jak we *Śnie parobka*. Zna to pan? Opowiadanie Arguedasa. Czytuje pan?

– Lubię Chocano.

Tym razem terrorysta zaśmiał się kpiąco. Było w jego zachowaniu coś wyniosłego. Najwyraźniej nie postrzegał pomocnika prokuratora jako intelektualisty.

– Ja tam wolę Arguedasa. Tutaj nie pozwalają nam czytać, ale często wspominam to opowiadanie. Mówi o jednym parobku, takim z najniższej warstwy niewolników na hacjendzie, słudze sług. Pewnego dnia ten parobek opowiada swojemu panu, że przyśnił mu się sen. W tym śnie obaj umarli i poszli do nieba. Już na miejscu Bóg każe aniołom obsypać parobka łąjnem, żeby cały był nim przykryty. Natomiast bogacza polecił wykąpać w miodzie. Pan z zadowoleniem słucha tej opowieści. Wydaje mu się to słuszne, uważa, że właśnie tak zachowałby się Bóg. Zachęca sługę, żeby mówił dalej, pyta go: „I co się dzieje potem?”. Parobek odpowiada: „Wtedy, kiedy obaj są już przykryci, jeden łąjnem, drugi miodem, mówi im: a teraz macie nawzajem zlizać sobie ciała, jeden drugiemu, aż będziecie całkowicie czysti”. Taka musi być Boża sprawiedliwość, wszystko robi się na odwrót, pokonani zostają zwycięzcami.

Pomocnik prokuratora poczuł się niezręcznie. Odchrząknął.

– To tylko opowiadanie – stwierdził. – Ja pytałem, czy pan wierzy w raj i w zmartwychwstanie...

Chacaltana miał wrażenie, że to pytanie dość dziwne jak na przesłuchanie, ale cała ta sprawa i tak była dziwna, więc uznał, że może je

zadać. Terrorysta niespiesznie popatrzył przez okno, zapalił papierosa, a potem zaczął mówić:

– Jakieś cztery lata temu towarzyszka Alina dostała od jednego z odwiedzających aparat radiowy, takie malutkie radyjko na baterie, prawie niewidoczne. Czasami udawało jej się przesłać je do nas, do pawilonu męskiego. Słuchaliśmy go przez kilka nocy, a potem odsyłaliśmy jakoś z powrotem. Często policjanci przenosili je z jednego pawilonu do drugiego w zamian za papierosy albo trochę jedzenia. Dla nas to było wielkie wydarzenie. Od lat nie oglądaliśmy telewizji ani nie słuchaliśmy wiadomości, żadnych gazet, nic do czytania. Mieliśmy to radio przez kilka miesięcy, aż któryś ze strażników pokłócił się o coś z towarzyszką Aliną, pewnie o jakąś głupotę, i doniósł przełożonym o tym aparacie. Pułkownik Olazábal zażądał wydania radia. Towarzyszka Alina i członkowie Samopomocy Ludowej odmówili. Powiedzieli, że mają prawo do posiadania odbiornika zgodnie z wszelkimi prawami i traktatami dotyczącymi praw człowieka. Pułkownik zagroził konfiskatą, ale towarzyszka nie oddała radia. Powiedziała, że po jej trupie...

Terrorysta załamał się głos. Rzucił papierosa na podłogę i przydeptał go. Wyglądał na wstrząśniętego. Pomocnika prokuratora taka wrażliwość z początku zaskoczyła. Ale uznał, że pewnie znowu więzień próbuje go zbić z tropu. Durango mówił dalej:

– Olazábal nie chciał ryzykować buntu i wszyscy zapomnieli o sprawie. Ale dwa dni później skazanych za terroryzm, kobiety i mężczyzn, zebrano na dziedzińcu. Pozostałych więźniów zamknięto w celach. Myśleliśmy, że to będzie rutynowa rewizja. Ale w końcu otworzyły się drzwi i weszli ci z Oddziałów Specjalnych w towarzystwie prokuratora... takiego prokuratora jak pan. Ten prokurator powiedział, że przystępuje do konfiskaty nielegalnych materiałów, i zapytał, czy ktoś ma coś do zgłoszenia. Po długiej ciszy Alina podniosła rękę i powiedziała, że ma radio, ale nie odda. Prokurator prosił o nie dwa razy, bezskutecznie. Potem powiedział, że zrobił to, czego wymaga od niego prawo. Oświadczył, że to jest bunt... i przekazał dowództwo oficerowi Oddziałów Specjalnych. I poszedł sobie. Potem... – Teraz jego oczy zrobiły się wielkie. Kiedy mówił, w jego ustach formowały niteczki śliny. – Potem, kiedy zamknęły drzwi, ci z Oddziałów Specjalnych rzucili się na nas, panie prokuratorze. Było ich ze dwustu, uzbrojeni w pałki, gaz paraliżujący i łańcuchy, jak spuszczone ze smyczy wściekłe psy rzucili się przez dziedziniec prosto na nas. Większość naszych była skuta kajdankami albo w łańcuchach. Kilku z nas mogło się poruszać, więc pobiegliśmy bronić Alinę... – Przerwał na sekundę. Wydawało się, że nie będzie umiał mówić dalej, że się załamał. – Mniej więcej dwudziestu z nich rzuciło się prosto na nią. Napryskali nam gazem w twarz, a kiedy niczego już nie widzieliśmy, obalili nas pałkami na ziemię. I nie przestali bić, póki nie nabrali pewności, że przez dłuższy czas nie będziemy mogli się

podnieść... Mnie uderzyli w głowę, w genitalia, w żołądek... Ale to im nie wystarczyło. – Teraz Durango patrzył na jakiś punkt na białej ścianie, gdzieś w nieskończoność. – Kobietom... – zamknął oczy – ...zdarli ubrania, a potem, przy nas, złapali za pałki. „No, chodź, kotku, spodoba ci się”, mówili... Chce... chce pan wiedzieć, panie prokuratorze, co im zrobili tymi pałkami?

Nie. Pomocnik prokuratora nie chciał wiedzieć. Chciał wstać i wyjść, chciał zamknąć oczy i zacisnąć zęby na zawsze, chciał wyrwać sobie uszy, żeby nie musieć tego słuchać. Terrorysta nie próbował już ukrywać łez ciekących mu po policzkach.

– Powinien pan – ciągnął, patrząc teraz na pomocnika prokuratora z mocą i nienawiścią. – Powinien pan wiedzieć, co oni tymi pałkami zrobili kobietom, bo potem nam, mężczyznom, zrobili to samo...

Próbował się powstrzymać, przetykać łyzy wstydu i gniewu. Pomocnik prokuratora też z trudem zachowywał spokój. Milczał. Terrorysta szlochał przez chwilę, a potem zakończył:

– Pan mnie zapytał, czy wierzę w raj. Ja wierzę w piekło, prokuratorze. Żyję w nim. Piekłem jest to, że nie można umrzeć.

Félix Chacaltana Saldivar, pomocnik prokuratora rejonowego, wrócił do miasta o siódmej wieczorem, kiedy procesja Chrystusa z Ogrodu wychodziła z kościoła Dobrej Śmierci w stronę Placu Głównego. Posąg przyozdobiono szyszkami, owocami i kolbami kukurydzy, świecami i gałązkami drzew oliwnych, na pamiątkę modlitw Jezusa na Górze Oliwnej, kiedy to prosił swego Ojca, żeby nie musiał umierać. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, dlaczego nikt na świecie nie ma możliwości wyboru, czy umrzeć, czy nie, w zależności od potrzeb. I odpowiedział sam sobie, że być może naszych błagań nikt tam na górze nie słucha, może modlitwy to takie prośby, które mówimy sami sobie, bo nikt inny nie zamierza ich wysłuchiwać.

Podczas procesji w Wielki Poniedziałek nie odpalano rakiet, ponieważ upamiętniano akt cierpienia. Ale tej nocy, przemierzając ciało Edith i uważając zarazem, żeby nie pozwolić sobie na zbyt wiele, pomocnik prokuratora znów pomyślał o uderzeniach. O ciosach, które rozbrzmiewały w jego uszach, ciosach, takich jak nienawiść Boga, ciosach, które tylko ogień może powstrzymać, zamienić w popiół, w ciszę, w nieme błagania. Nagle poczuł, że dalej nie może.

– Co się stało? – zapytała.

Chacaltana chciał jej powiedzieć o wszystkim. Ale przypomniał mu się porucznik Aramayo z Yawarmayo. Przypomniała mu się jego niemożność wysłowienia się.

– Kocham cię – powiedział tylko.

A potem dalej ją dotykał, napierając na to pierwsze ciepłe ciało, jakie trafiło mu się od lat, jedyne żywe ciało, jakiego dotykał w ciągu ostatnich dni. Próbował zdjąć jej bieliznę, ale się opierała. Potem położył się na Edith i pocierał swoim kroczeniem o jej, aż w końcu dziewczyna usunęła się niezadowolona.

– Tylko to cię interesuje, tak? – zapytała. Pomocnika prokuratora wcale nie martwiło najbardziej to, że odruchowo chciał powiedzieć, że tak, że w tej chwili tylko to go obchodzi i że nie czuje się na siłach, by dłużej się powstrzymywać. Tak naprawdę bardziej zaniepokoiła go pewność, że tak łatwo może zdobyć, co chce, wystarczy wyciągnąć rękę i przestać być tak dobrym jak zawsze, tak miłym, tak uprzejmym, tak słabym. Prawie nieświadomie ponowił próby. Kasał jej uszy i przesuwiał dłonie po jej plecach. Tym razem, kiedy go zatrzymała, pokazała mu zdjęcie wiszące na ścianie. Jego matka patrzyła na nich z fotografii i nie wyglądała na zadowoloną.

– Tak jakby tu była – powiedziała Edith. Potem nie odważyli się już kontynuować.

Tej nocy, po odprowadzeniu Edith do domu, wrócił do siebie, powiedział matce dobranoc, upewnił się że dobrze zamknął drzwi łazienki i zaczął się onanizować trochę przestraszony, że ona może usłyszeć.

We wtorek pomocnik prokuratora musiał wziąć udział w procesji Chrystusa Skazanego, organizowanej przez pracowników wymiaru sprawiedliwości. Normalnie uczestnictwo w niej poczytywałby sobie za zaszczyt, ale tego dnia akurat nie miał na to ochoty. Był wyczerpany i mógł myśleć tylko o biuście Edith. Posąg Chrystusa pojmanego przez Żydów miał związane ręce i ewidentne ślady po torturach. Chacaltana kątem oka przyglądał się temu posiniaczonemu i wyczerpanemu ciału, jego ranom i bliznom. Czuł, że nie jest w stanie patrzeć na tę postać przez całą drogę.

Podszedł do sędziego Briceño, który był jednym z ośmiu mistrzów procesji.

– Wygląda pan na zmęczonego, prokuratorze – stwierdził sędzia ze szczerzym uśmiechem. – Miał pan długą noc? Słyszałem, że pańskie życie towarzyskie jest ostatnio...

– Ja tylko... kiepsko spałem.

Pulsowały mu skronie. Sędzia Briceño wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Pewnie się panu śnił kapitan Pacheco. Ostatnio, nie mam pojęcia dlaczego, facet nabrał do pana jakiejś strasznej urazy, za pozwoleniem.

– Sam nie wiem dlaczego, panie sędzio.

– Dziwne, co? W każdym razie chciałbym wyrazić zadowolenie, że uczestniczy pan z nami w tej procesji. Dobrze tak wspólnie czasem coś zrobić, prawda? Niedobrze tak wszystko robić w pojedynkę.

Pomocnikowi prokuratora nawet się nie chciało zastanawiać nad głębszym sensem słów sędziego.

– Oczywiście – odpowiedział tylko.

– No to zostawiam pana sam na sam z myślami – pożegnał się sędzia.

Chacaltana maszerował w procesji mechanicznie, jak automat, zatrzymując się przy obowiązkowych czternastu stacjach, żeby odmawiać modlitwy, śpiewać znane na pamięć pieśni po hiszpańsku i w keczua. Nikt tego dnia nie został zabity. Wykorzystał okazję, żeby się pomodlić o to, by morderstwa się skończyły, te dwa to i tak dość jak na jeden tydzień, prosił, żeby więcej się już nie powtarzały, żeby znaki obwieszczające powrót Świetlistego Szlaku skończyły się na tym. Choć i tak przez całą procesję myślał wciąż o tych ciosach, ciosach, ciosach...

słyszysz? jakby coś udeżało.

czas się wyzwolić, czas, żebyś odleciał, za dużo czasu spendziłeś na liczeniu godzin, dni, sekund, musiałeś czekać, ważne rzeczy muszom czekać, ale ty jusz nie.

widziałeś dziś procesje? piękna była. wszyscy wierni szli tacy smutni, tak, przygnębieni, tak, czuli bliskość śmierci. Bo on dziś umar. nazerejczyk. zakonnice od świętej klary dwa dni go ubierały i szykowały, pszycinały włosy i brodę, ktura mu urosła od zeszłego roku. bo on co roku umiera.

podejć burzej, jeszcze troche, bardzo dobrze. wiesz co? słuchałem cie cały ten czas. tak. słyszałem twuj głos. rozmawiałeś z różnymi ludźmi, z towarzyszami, z psami gończymi imperium, twuj głos do mnie docierał, twoje psy gupie som, zasypiaj om, kiedy tylko żucisz im kawał miensa. wienc dziś jest twuj dzień, cały ten czas cie słuchałem. ty mnie też słuchałeś? musiałeś mnie usłyszeć, ja pszemawiam w twoih snah, poza twojom świadomościom, zza bram rajy. tak jak ten dźwienk, słyszysz go?

pozwolili mu się spotkać z matkom, nazerejczykowi. ona była ubrana na czarno, ah, jaki ona czuła bul. ja tesz go czułem, stały tam żendy menszczyzn. śpiewali, tak, śpiewali dla ciebie, weronika tesz była, czyściła krew i pot z czoła nazerejczyka, żeby umarł czysty, spodobałoby ci się. szkoda, żeś nie mógł pżyjść. potem weronika poszła do świętego jana powiedzieć mu, że była

z Jezusem, kurwa jedna, pokazała huste. i wszyscy śpiewali.

podoba ci sie to? pewnie że podoba, masz to we krwi. nie skarż sie. każdy niesie na plecach swuj kszyż. to może boleć.

wszystko co ważne osionga sie pszez bul. historie zmywa sie tylko krwiom. tak. to ty mnie tego nauczyłeś, dobry ze mnie uczeń, co? jesteśmy dobrymi uczniami, bo wielu nas czeka na pżebudzenie. ty nas poprowadzisz, ciebie wybrałem, właśnie ciebie, żebyś pszekroczył żekę krwi.

figura hrystusa ma granatowom i złotom tunikę, muwiom, że te figure zrobiły anioły w jednym noc, a potem uciekły, dwa anioły takie jak my, nie? dwa anioły zrobiły jom na swoje podobieństwo, na nasze podobieństwo, żeby każdego roku pszemieżała drogę menki.

nie. nie opieraj sie. to jest twoje miejsce, zasłużyłeś na nie. długo walczyliśmy, żeby je dla ciebie zdobyć, teraz mnie sobie pszypominasz, co? to nie pierwszy raz sie widzimy, ani ostatni, widzieliśmy sie jusz wcześniej, kiedy jeszcze byliśmy żywi. teraz nie za bardzo widzę różnice. ładnie pahniesz, muwiü ci? pachniesz łonkom i pienknym dniem, dniem hrystusa.

kiedyś muj głos był malutki, jak strumyczek, powoli narastał jak wielki potok, sam tak narastał, coraz więcej miejsca zajmował w mojej pamięci, wyparł inne. nie ma jusz więcej głosuw. teraz tylko ja jestem i jakieś eha. tak. eha dawnyh czasuw. ale ja muwie najgłośniej, tak jak teraz, słyszysz? twojego głosu nie słyhać. słynać tylko muj głos i dźwienk gwoździ pszebijajoncyh drewno, pszebijajoncyh ciało, pszebijajoncyh się pszez czas.

tak. teraz słyszysz.

## **Czwartek 20 kwietnia**

Dnia 19 kwietnia 2000 roku (środa), około północy, podczas dokonywania nocnego obchodu pawilonu E dla terrorystów w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Huamandze, policjant Wilder Orozco Pariona stwierdził nieobecność Hernána Durango Gonzáleza, alias towarzysza Alonsa, w jego celi. Pułkownik Olazábal powiadomił stosownych strażników więziennych, a następnie zebrał wszystkich więźniów i ustawił ich w szeregu na dziedzińcu wzmiankowanego pawilonu, gdzie potwierdziło się spostrzeżenie policjanta Orozco, to znaczy fakt, że osobnik skazany za terroryzm zbiegł z zakładu w godzinach nocnych.

Personel policji więziennej, który twierdzi, iż ucieczka nosi znamiona niewiarygodności, gdyż nie znaleziono żadnych podkopów tudzież innych śladów świadczących o oddaleniu się skazanego, natychmiast przystąpił do przeczesywania okolic zakładu karnego celem odnalezienia jakichś tropów naprowadzających na miejsce ukrywania zbiega, co jednakże żadnych efektów przez kilka pierwszych godzin poszukiwania nie dało.

Około świtu w czwartek 20 kwietnia podczas powrotu do zakładu karnego o zaostrzonym rygorze po zakończonych poszukiwaniach, w wyniku których nie udało się aresztować zbiega, członkowie patrolu policyjnego, jak zeznają, dostrzegli ogień na jednym z pobliskich względem więzienia wzgórz, na zboczu zasłoniętym od strony tegoż zakładu, co dostrzeżenie ognia z niego czyniło niemal niemożliwym. Uznając, że palenie ognia jest zjawiskiem nieczęstym w okolicach więzienia, patrol postanowił udać się na miejsce celem zbadania sprawy oraz zapobieżenia potencjalnym pożarom terenów leśnych.

Dotarłszy do zbocza wzmiankowanego wzniesienia, policjanci z zaskoczeniem dostrzegli coś, co wyglądało na znacznych rozmiarów postać ludzką stojącą nad ogniem. Mimo wielokrotnie ponawianych wezwań członków patrolu rzekoma osoba nie odwróciła się ani nie wykazywała żadnych oznak życia ni reakcji, sprawiając wrażenie, iż stoi w zadumie. Jako że ciemność uniemożliwiała identyfikację rysów twarzy oraz określenie tożsamości wzmiankowanej osoby, członkowie Policji Państwowej, zgodnie ze swoim oświadczeniem, dobyli broni i przystąpili do zbliżania się do owej osoby, niezdradzającej żadnej woli ucieczki czy zaskoczenia pojawieniem się sił mundurowych.

Policjanci dotarli do ogniska i zwrócili się do osoby z żądaniem wstania i założenia rąk na kark zgodnie z procedurą zatrzymania osób podejrzanych i zasadami bezpieczeństwa, w wyniku czego odkryli, że wspomniany obiekt



wzięty omyłkowo za człowieka pozbawiony jest oznak życia, okazując się raczej zwłokami, których znaczne rozmiary wynikały z faktu, iż rozłożono je w kształcie krzyża na drzewie wysokości dwóch i pół metra, do którego bocznych gałęzi przybito nadgarstki nieboszczyka.

Jednocześnie jedna z jego dolnych kończyn przybita była do dolnej części pnia w odróżnieniu od drugiej kończyny, która nie znajdowała się w podobnych warunkach, albowiem w ogóle nie było jej przy ciele, gdyż została wyrwana z pachwiny. Nieboszczyk posiadał także wciśniętą na głowę koronę zrobioną z drutu kolczastego długości mniej więcej półtora metra, owiniętego wokół czaszki i zaciśniętego na niej tak mocno, że rzeczona korona przebijała skórę na całym obwodzie. Rana na lewym boku, na wysokości serca, wciąż krwawiła.

Później, w ciągu dnia, agenci, którzy dokonali odkrycia, uzyskali wsparcie psychologiczne. Jednak wczesnym porankiem inni policjanci, to jest Wilder Orozco Pariona i sam pułkownik Olazábal, rozpoznali w nieboszczyku zbiegłego Hernána Durango Gonzáleza, alias towarzysza Alonsa, który w tak niefortunny sposób zakończył swoją ucieczkę.

Pomocnik prokuratora podniósł głowę znad maszyny do pisania. Tym razem nie przejmował się nawet składnią w swoim raporcie. Uznał, że tak czy inaczej cały ten dokument jest do niczego. Te dane to za mało. Zrelacjonowane wydarzenia nie miały związku z morderstwem tylko z odnalezieniem ciała. To tak, jakby przy opisie wyprawy wędkarskiej skupić się na tym, jaką rybę podano na obiad. To nie miało nic wspólnego z tym, co ważne. Tak naprawdę żaden z jego raportów nie dotyczył niczego istotnego. Pomyślał, że ważne informacje to były właśnie te, których w raporcie zabrakło: kto tego dokonał, dlaczego, co sobie myślał. Prawdziwy i porządny raport można napisać, znając każdy szczegół z życia wplątanych w sprawę osób, ich przeszłość, ich wspomnienia, ich zwyczaje, nawet najzupełniej błahe rozmowy, perwersje przychodzące im do głowy w trakcie wykonywania egzekucji, wszystko to, czego poznać się nie da. Doszedł do wniosku, że prawdziwy raport może napisać tylko Bóg, a w każdym razie ktoś, kto ma tysiąc oczu i tysiąc uszu, kto wszystko wie.

Ale gdyby istnieli tacy ludzie, stwierdził, raporty nie byłyby potrzebne.

Tego ranka po raz pierwszy udał się na miejsce, gdzie znaleziono ukrzyżowane zwłoki. Nad głową trupa przybito do pnia, na podobieństwo tabliczki z „INRI”, napis wykonany krwią nieboszczyka:

Nie sposób stwierdzić, czy napisano to takim samym charakterem pisma jak poprzednio. Nie pisze się tak samo ołówkiem i czubkiem noża. Tak naprawdę, choć wizyta na miejscu zbrodni stanowiła czynność o charakterze zawodowym, nie dowiedział się o tym ciele niczego więcej w porównaniu z tym, co wiedział o wcześniejszych ciałach. W pobliżu znaleziono ślady ciężarówki, ale była to droga prowadząca do więzienia. Niemal wszystkie przejeżdżające tędy pojazdy były ciężarówkami wiozącymi żywność, więźniów albo strażników na zmianę.

Wrócił do miasta o szóstej rano, kiedy kończyły się msze i robotnicy zabierali się do dekorowania kościołów chlebami, winogronami i barankami. Ayacucho pachniało aromatycznymi ziołami, które wierni spalali na piecykach żarowych.

Kiedy raport został ukończony, Chacaltana poszedł do lekarza sądowego.

– Nie mogę powiedzieć, że się cieszę, widując pana coraz częściej – przywitał go doktor Posadas, podając mu maseczkę na twarz. Pomocnik prokuratora zamierzał mu powiedzieć, że trupia woń roznosi się już po całym oddziale położniczym, ale uznał, że lepiej siedzieć cicho. To nie jego problem. Swoich miał aż nadto.

Ciało, zdjęte już z krzyża, spoczywało odsłonięte na tym samym stole co poprzednie. Przez dziury w rękach widać było blat, podobnie przez otwór w jedynej nodze. Korona spoczywała wciąż mocno wbita na czoło nieboszczyka.

– Proszę mi oszczędzić drastycznych szczegółów, doktorze. Wiemy coś nowego?

– Wiemy, ale to same drastyczne szczegóły, panie prokuratorze. Tutaj tylko takie nowości miewamy.

Lekarz powiedział to z lekkim uśmiechem, zapalając papierosa. Nigdy nie wyglądał na zbyt przygnębionego, przeciwnie: sprawiał wrażenie zawsze zadowolonego. Pomocnik prokuratora zastanawiał się, czy medyk lubi swoją pracę, czy kroi te ciała z rzeczywistą przyjemnością.

– To znowu wygląda na akcję jakiejś grupy. Pojedynczy człowiek nie byłby w stanie odstawić takiego przedstawienia w tak krótkim czasie.

– Jasne. Mówimy pewnie o jakichś czterech mężczyznach.

– Może być dwóch. I zwykle jedna kobieta.

– Kobieta?

– Taki dziwny zwyczaj u terrorystów. Zbierali się w grupy mężczyzn dowodzone przez kobiety. Nie wiem, czy dalej to praktykują, z nimi nigdy nic nie wiadomo. Najwyraźniej kobiety są bardziej zaangażowane ideologicznie. I bardziej krwawe. Mężczyźni dają sobą pomiatać, że tak się wyrażę. Nadają się do starć i prac technicznych. Ale kiedy trzeba było wykonać na kimś wyrok, robiła to kobieta dowódca.

– Kobieta nie byłaby zdolna do czegoś takiego...

– Nie. Ale mogłaby to rozkazać.

Pomocnik prokuratora osunął się na krzesło. Był wyczerpany. Powiedział:

– Nawet nie wiem, czy oględziny ciała mają jakikolwiek sens. Poza tym mamy kilka niewytłumaczalnych detali.

Na przykład ucieczka. Jakim cudem Durango zniknął z więzienia o zaostrzonym rygorze i to tak, że nikt go nie zauważył?

Lekarz wyciągnął czekoladę i zaczął jeść. Trzymał ją w jednej ręce, a w drugiej papierosa.

– Tym się pan martwi? Jeśli zagwarantuje mi pan dyskrecję, udzielię panu odpowiedzi: pułkownik Olazábal to kretyn, który myśli o awansie. Pewnie mu coś zaproponowano. Już od dawna jest mu wszystko jedno, dla kogo pracuje.

Tylko tego brakowało. Teraz najlepszymi sojusznikami terrorystów okazują się policjanci. Ale i tak coś się jeszcze nie zgadzało.

– I Durango uciekł, żeby dać się ukatrupić?

– Może oni sami go zabili?

– Gdyby pan widział miny policjantów na widok zwłok, nie sugerowałby pan tego.

– To już inna sprawa. Ja wiem, o czym mówię. I proszę pamiętać, ja niczego nie powiedziałem.

Światło zamigotało. Lekarz miał rację. To naprawdę była inna sprawa. Ale sprawa zasadnicza. Wszystkie ofiary tak jakby same, niemal z własnej woli, poszły po śmierć. Z Maytą i Durango było to zrozumiałe. Ufali swoim towarzyszom, dali się zwabić. Pierwszego, Cáceresa, też można zrozumieć: był kompletnie szalony, oszalał na punkcie krwi. Na ludzi, którzy zabili zbyt wielu, nie ma rady. Nieważne, po której działali stronie.

Lekarz opisał z grubsza rany: siniaki na ramionach i guzy świadczące o ostrej walce zanim ofiarę przybito do krzyża. Rozszarpane mięśnie jako rezultat wbijania długich gwoździ w kończyny. Chacaltana nie słuchał. Ledwie

zwrócił uwagę na substancje ciekące z ran. Czerwień krwi i coś zielonkawego, ciemnego, nie wiedział, co to może być. Zresztą nie pytał. Zapętlił się w swoich myślach.

Wyszedł ze szpitala lekko zamroczony. Wokół biskupa Huamangi zebrał się tłum, który uczestniczył w tradycyjnym obmywaniu stóp dwunastu nędzarzom. Pomocnik prokuratora miał ze sobą raport, który chciał wręczyć Carriónowi. Przechodząc koło komendantury, zaczął się zastanawiać, co, do cholery, ma powiedzieć. Ze kompletnie nie wie, o co chodzi, że terroryści pozostają na wolności, że nie ma już żadnych teorii, zresztą nigdy żadnej nie miał? Zdał sobie sprawę, że oczy napełniają mu się łzami. Zastanawiał się, co zrobiłaby w tej sytuacji jego matka. Postanowił zostawić raport w recepcji, a stamtąd poszedł prosto do kościoła Serca Chrystusowego. Natknął się na ojca Quiroza, kiedy ten właśnie wychodził. Powitał on pomocnika prokuratora uśmiechem, który marnie maskował irytację.

– Naprawdę bardzo mi przykro, panie prokuratorze, ale dziś jest Wielki Czwartek i, sam pan rozumie, nie mogę poświęcić panu czasu. Poza tym te dni są wolne od pracy. Może wróci pan do śledztwa w poniedziałek?

– Nie przyszedłem tu w sprawie śledztwa, proszę księdza.

– Ach nie?

– Przyszedłem... się wypowiedzieć.

– No cóż, to pewnie też może poczekać. Bóg wybaczy. Ksiądz spojrzął w stronę drzwi, gdzie czekały na niego dwie mniszki. Zerknął na zegarek. Pomocnik prokuratora powiedział:

– Mamy nowego trupa.

Duchowny powoli wyciągał rękę w stronę drzwi, słuchając jednocześnie rozmówcy.

– Przykro mi. Jak zginął?

– Wolałby pan nie wiedzieć. Ale ja wiem, kto zabił tamtych dwóch.

– Doprawdy?

Ksiądz słuchał go nieuważnie. Jakby zamyślony.

– Ja to zrobiłem – powiedział Chacaltana. Duchowny poblądł. Wydawało się, że przestał oddychać.

Potem, jakby starając się pozbierać, odetchnął głęboko i odwrócił się w stronę zakonnic. Gestem kazał im iść. Wyglądały na rozczarowane, ale usłuchały pokornie. Następnie Quiroz zaprowadził Chacaltanę do konfesjonału, w którym obaj zajęli właściwe miejsca. Pomocnik prokuratora

uklął, słysząc odsuwanie kratki, i powiedział:

– Nie wiem, jak to się robi, proszę księdza. Dawno się nie spowiadałem.

Duchowny pośpiesznie wypowiedział kilka formułek, których Chacaltana nie dosłyszał. Potem odezwał się:

– Ty masz po prostu mówić. Nie będę ci teraz robił przyśpieszonego kursu z sakramentów.

Pomocnik prokuratora przełknął ślinę. Zatrzymał wzrok na barokowych obrazach w kościele, na czerwonych świecach stojących przy ołtarzach, a potem zaczął mówić:

– Wszystkie osoby, z którymi rozmawiam, giną. Boję się. To... jakbym podpisywał wyrok, gdy tylko się do kogoś zbliżam.

– Synu – odezwał się ksiądz. Nagle Chacaltana przestał być panem prokuratorem. – Może... może niesłusznie się winisz... Nie ty ponosisz winę za te śmierci.

– Boję się. Źle sypiam. To... to wszystko jest takie, jakbym to już wcześniej widział. W tym wszystkim, co się zdarzyło, jest coś, co mnie dotyczy. Rozumie mnie ksiądz? Nie rozumie, prawda?

– Synu, terrorystyczny obłęd nie uznaje racji ani uczuć. Jeśli pozwolisz, by cię moralnie zniszczyli, to znaczy, że ustępujesz im w walce. Tego właśnie chcą. Żebyś się załamał. Wtedy ich praca stanie się łatwiejsza.

Z oczu pomocnika prokuratora znów pociekły łzy.

– Widziałem takie rzeczy... Rzeczy, jakich nie potrafi sobie ksiądz wyobrazić. Oni... – Dopiero teraz zauważył, jak trudno mu to wypowiedzieć. – Oni im wrywali części ciała... Odcinają im ręce i nogi...

– Nie doceniasz mnie, synu. Ja też walczyłem. Wiem, że o tym wiesz. Ja ich znam.

– Dlaczego, proszę księdza? Dlaczego nie mogą ich po prostu zabijać? Dlaczego musi tak być?

– Jest pewien powód poza barbarzyństwem – ojcowską łagodność księdza zmrażał teraz suchy i poważny ton. – W Andach wciąż przetrwał mit Inkari, króla Inki. Najwyraźniej pojawił się w czasach kolonialnych, po indiańskiej rewolcie dowodzonej przez Tupaca Amaru. Po zdławieniu buntu hiszpańskie wojsko torturowało Tupaca Amaru, bili go prawie do śmierci... – Uderzenia, uderzenia, uderzenia, pomyślał pomocnik prokuratora. – Potem zaprzęgnięto konie do jego kończyn i rozerwano go na kawałki.

Obrazy poćwiartowanego Tupaca Amaru pojawiły się w umyśle

Chacaltany tak, jakby oglądał je na własne oczy. Jego matka opowiadała mu kiedyś tę historię w Cuzco, w mieście obleganym przez owego wodza i będącym miejscem jego kazni. Matka pomocnika prokuratora pochodziła stamtąd. Ksiądz mówił dalej:

– Andyjscy wieśniacy wierzą, że kawałki ciała Tupaca Amaru zostały zakopane w różnych częściach imperium, żeby nigdy nie złączyły się w całość. Ich zdaniem te kawałki rosną i kiedyś się połączą. A kiedy znajdą głowę, wróci Inka i cykl się dopełni. Imperium powstanie z ruin i zmiążdży tych, którzy je wykrwawili. Ziemia i słońce połkną Boga sprowadzonego tu przez Hiszpanów. Czasami, kiedy patrzę na tych Indian, tak uległych, tak gotowych na wszystko, zastanawiam się, czy w głębi ducha nie myślą sobie, że ta chwila nadejdzie i że kiedyś nasze role się odwrócą.

– A co Świetlisty Szlak ma z tym wspólnego?

– Wiele. Szlak określał się jako takie właśnie powstanie imperium z upadku. I zawsze zdawał sobie sprawę z wagi symboli. Pewną kobietę zabili i wysadzili jej ciało za pomocą materiałów wybuchowych. Jej zmartwychwstanie będzie niemożliwe.

– Przeciw czemu my walczymy, proszę księdza? Oni są wszędzie, a zarazem nigdzie ich nie ma. Są niewidzialni. To jak walka z duchami.

– To jak walka z bóstwami, których nie widzimy. Może walczymy ze zmarłymi.

Przez chwilę milczeli. Nagle ojcu Quirozowi coś się przypomniało:

– Kiedy zabito ostatniego?

– Wczoraj w nocy, mniej więcej o świcie, po procesji Spotkania. – Pomocnik prokuratora czuł, że rozmowa z duchownym przynosi mu ulgę, ale jednocześnie kompletnie go wyczerpuje, jakby tracił dech. Westchnął. – Nie było już specjalnych patroli. Zintensyfikowaliśmy działania przez całą Niedzielę Palmową, nawet w poniedziałek, ale potem nie dało się już tego uzasadnić.

Ksiądz zamyślił się na chwilę i w końcu powiedział:

– Jest... jest jeszcze jeden andyjski mit, który pewnie powinieneś poznać. Od Wielkiej Środy Indianie oddają się możliwie najbardziej grzesznym zabawom. Alkohol leje się strumieniami, mnóstwo seksu, normą są akty przemocy. Trwa to aż do Niedzieli Wielkanocnej.

– Do Wielkiej Niedzieli. Ksiądz się zirytował.

– Ten dzień nazywa się Niedzielą Wielkanocną. Tylko niedouczeni i ignoranci nazywają ją Wielką Niedzielą.

– Przepraszam. Ale dlaczego tak się zachowują ci Indianie?

– Jeszcze jeden z andyjskich przesądów. Od Wielkiej Środy, dnia, w którym Chrystus został sprzedany, Bóg jakby nie żyje. Już nie patrzy. Już nie karze. Trzy dni na swobodne grzeszenie.

Słyszając to Chacaltana pojał, że nie ma czasu do stracenia. Będzie trzeba przywrócić wzmożone środki bezpieczeństwa. Czuł się, jakby wrócił do siebie po długiej mistycznej przerwie. Duchowny zresztą też miał swoje sprawy do załatwienia. Wychodząc z konfesjonału, Chacaltana uściskał mu rękę ze szczerej wdzięczności.

– Wielkie dzięki, ojcie. Już mi dużo lepiej. I podsunął mi ojciec wiele istotnych tropów. Rozmaw... – Przerwał w pół słowa. Po chwili zdecydował się powiedzieć: – Rozmawiałem z ludźmi, którzy nie darzą księdza zbyt dużym zaufaniem. Ale są i inni, którzy ufają księdzu bezgranicznie.

Quiroz uśmiechnął się i podszedł do drzwi. Pomocnik prokuratora zdał sobie sprawę, że to jedyna osoba, która śmieje się w tej świątyni.

– Nie poproszę, żeby mi pan zdradził, kto mówi o mnie źle, ale chętnie bym się dowiedział, kto mi ufa.

Pomocnik prokuratora uznał, że może sobie pozwolić na taką poufność. Uznał, że nie ma nic złego w tym, żeby to powiedzieć, a wręcz przeciwnie.

– Edith Ayala. Ta z restauracji przy placu. Duchowny uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, znam ją! Często tu przychodziła. Biedna dziewczyna, wiele wycierpiała przez tę sprawę z jej rodzicami.

– Z rodzicami?

– Nie wiedział pan?

– Niewiele o tym mówi.

– To zrozumiałe. Jej rodzice byli terrorystami. Zginęli w trakcie ataku na posterunek policji. Oboje naraz.

Pomocnikowi prokuratora przypomniała się rozmowa z Edith: jak to się stało, że zginęli? Przez terrorizm. Przez. Nie zabici przez terrorystów, tylko sami na służbie terroryzmu. Żegnając się z proboszczem, starał się zapomnieć o tej historii. Miał ważniejsze sprawy do przemyślenia. Popędził do komendantury wojskowej, mijając tłumy ludzi odwiedzających kościoły i cieszących się typowymi przysmakami sprzedawanymi na kramikach przy Placu Głównym. Pomyślał, że każda osoba może tak naprawdę być członkiem grupy terrorystycznej. Dotarł na miejsce i ruszył w stronę gabinetu Carrióna. Jego sekretarka wyglądała na zdenerwowaną.

– Mogę wejść? – zapytał. Spojrzała na niego z niepokojem.

– Nie chce nikogo widzieć. Siedzi tam zamknięty od piątku. Nie wyszedł nawet, żeby coś zjeść. Zanoszę mu jedzenie, ale ledwie rusza.

– Może uda mi się coś poradzić.

– Niech pan spróbuje, proszę. Może pana posłucha. Kiedy próbuję z nim łączyć, nie odbiera telefonu.

Pomocnik prokuratora Chacaltana otworzył drzwi gabinetu. Było tam ciemno i śmierdziało. Zasłony zasunięto, a pod biurkiem gniły dwa talerze z jedzeniem. Komendant siedział za stołem, miał podkrażone oczy i zmęczoną twarz, wyglądał, jakby od miesięcy się nie kąpał. Nie przywitał się.

– Dowiedział się pan czegoś o Durango? – zapytał pomocnik prokuratora.

Komendant jakby wracał z jakiejś dalekiej podróży i dopiero po chwili odpowiedział ochryple:

– To już nie moja sprawa.

Podał mu kartkę, którą cały czas trzymał w dłoni. Pomocnik prokuratora zdołał ją przeczytać mimo panującego w pomieszczeniu półmroku. Był to list z Limy z nagłówkiem dowództwa Sił Zbrojnych. Powiadamiano Cardona o przeniesieniu go w stan spoczynku.

– Przecież jeszcze za wcześnie na pana – zdziwił się pomocnik prokuratora.

– Tutaj jest tak, jak oni sobie zażyczą. Pozmieniali wszystko w wyższym dowództwie, jak im się podobało. I się skończyło.

Obaj zapadli w ponure milczenie, które wojskowy przerwał po kilku minutach:

– Przekazał pan Eléspuru, temu z wywiadu, informację o sprawie? Rozmawiał pan z nim o śledztwie?

– Nie, panie komendancie. Nie wiem, skąd mogą wiedzieć...

– Oni wszystko wiedzą, Chacaltana. Wszystko. Ale to już nie ma znaczenia, jak sądzę. Mój następca przyjedzie tu po świętach. Może w ogóle nie będzie się tym zajmował. Będzie druga tura wyborów, pewnie chcą tu wysłać wojskowego mniej umoczonego niż ja albo takiego, co się łatwiej da manipulować, cholera wie.

Trudno było stwierdzić, czy w jego głosie pobrzmiwała ulga czy frustracja. Pomocnik prokuratora poczuł się samotny, zdradzony. Wydawało mu się, że zostawić go tak po prostu w samym środku zamieszania to dla komendanta najprostsze wyjście. Przyjrzał się uważnie wojskowemu i szybko



zmienił zdanie. Dla tego człowieka nic nie mogło być łatwe.

– I co pan zrobi? – zapytał Chacaltana.

– Pojadę na północ, do Piury albo do Tumbes. Potrzebuję jakiegoś spokojnego miejsca. I żeby było daleko stąd.

Pomocnik prokuratora opadł na krzesło. Mimo że jego stół był niższy, tym razem Chacaltana wcale nie wyglądał na mniejszego od oficera.

– Nie może pan tak po prostu wyjechać – powiedział stanowczo. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Komendant się zaśmiał. Najpierw cichutko, potem bardzo głośno. Kiedy zdołał się opanować, kaszłąc, zapalił papierosa. Pomocnik prokuratora nigdy nie widział go palącego. Carrión odezwał się:

– Skończyliśmy? To dopiero początek, Chacaltana. Nasza praca wykonywana przez dwie dekady zaczyna się sypać. Nawet samym sobie nie potrafimy zapewnić bezpieczeństwa. Nigdy ich nie powstrzymamy. Wrócą raz i jeszcze raz...

– Ale to nasza praca...

– Walka ze złem? Bo przecież tym się zajmujemy. Przez te wszystkie dni, kiedy siedziałem tu zamknięty, dużo czytałem. Ayacucho to dziwne miejsce. Tu się rozwijała kultura Wari, potem zamieszkali tu Indianie Chanca, którzy nigdy nie dali się podbić Inkom. A potem były indiańskie powstania, bo Ayacucho leży w połowie drogi między stolicą Indian Cuzco i stolicą Hiszpanów Limą. I proklamacja niepodległości w Quinoa. I Świetlisty Szlak. To miejsce jest skazane na rzeki krwi i ognia, Chacaltana. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Wszystko jedno. Nic na to nie poradzimy. Radzę panu też się stąd wynieść. Pewnie jest pan już na liście jako następny.

– Musimy przesłuchać Olazábala. Ucieczka Durango jest mocno podejrzana. Nie uważa pan? I może to właśnie on wysłał raport do Limy.

– Głuchy pan jest? Dziś jest święto, a w poniedziałek się wynoszę. Niech pan robi, co chce, mnie to obojętne. I proszę sobie zatrzymać pistolet. Prezent.

Potem wykonał ten sam gest, co zwykle, znaczący „dziękuję, może pan odejść”. Ale niczego nie powiedział. Znów zamilkli.

– Chciałbym pana o coś poprosić – odezwał się wreszcie pomocnik prokuratora. – Mam powody, by podejrzewać, że kolejne zamachy nastąpią w ciągu najbliższych dni. Chciałbym podwoić patrole.

Irytacja w oczach już i tak poirytowanego Carrióna jeszcze przybrała na sile.

– Znowu, Chacaltana? Niedostatecznie się już ośmieszyliśmy?

– Proszę mi uwierzyć. Tym razem się nie mylę. Carrión spojrział na niego jak na syna, jak na spadkobiercę, bardziej z czułością niż z dumą.

– Też kiedyś byłem taki jak pan, Chacaltana. Myślałem, że damy radę to powstrzymać. Ale to jest silniejsze od nas dwóch. To jest historia całego kraju. Niech pan sobie oszczędzi rozczarowań.

Chacaltana nie był już młokosem. Ale może mimo wszystko czuł, że ma moc. Czuł, że jest coraz bliżej, że jego życie będzie mieć jednak jakiś sens, chociaż sensem tym okaże się spotkanie ze śmiercią. Była to myśl, która już nie wydawała mu się sprzeczna. Wytrzymał spojrzenie Carrióna i powiedział:

– Muszę tu zostać. To jest też silniejsze ode mnie. Pan ma jeszcze władzę. Proszę podpisać rozkaz wzmożenia czujności. Ja zajmę się resztą.

Komendant wyjął z biurka kartkę z urzędowym nagłówkiem i podpisał ją in blanco.

– Niech pan podyktuje mojej sekretarce, co pan chce. To moja ostatnia przysługa dla pana, Chacaltana. W rewanżu proszę o jedno: niech pan na siebie uważa.

Chacaltana pożegnał się z komendantem wojskowym salutem. Chciał go uścisnąć, ale się nie odważył. Chociaż miał ochotę. To tak, jakby objął ojca. O komendancie Carriónie można było powiedzieć wszystko prócz tego, że był dobrym człowiekiem, ale przynajmniej te jego ostatnie gesty jakoś go odkupiły, pewnie przez strach. Być może tylko tak można odkupić swoje winy.

Dwadzieścia minut później z podpisanym rozkazem szedł na komisariat. Sierżant, ten sam, co zawsze, stał w drzwiach.

– Dzień dobry, panie prokuratorze. Niestety kapitan Pacheco polecił mi przekazać, że chwilowo go nie ma, ale... Panie prokuratorze. Panie prokuratorze!

Chacaltana wkroczył prosto do gabinetu Pacheco i otworzył drzwi. W środku siedzieli kapitan i sędzia Briceño. Sierżant szarpał Chacaltanę za rękę, mówiąc jednocześnie do swojego przełożonego:

– Przepraszam, kapitanie! Mówiłem prokuratorowi, że jest pan nieobecny, ale...

– Stul pysk, kretynie! – odparował Pacheco. – I spadaj stąd. Proszę wejść, panie prokuratorze. Skoro stracił pan dobre maniery, niech pan już siada.

Wciąż stojąc, pomocnik prokuratora położył kartkę na biurku.

– Mam rozkaz podpisany przez komendanta Carrióna, żeby podwoić siły

patrolujące, ze skutkiem natychmiastowym.

– Przez kogo? – Kapitan miał minę, jakby nie rozpoznawał nazwiska.

– Przez komendanta Carrióna, którego niepokoi kwestia...

– Obawiam się, że nie zna pan najnowszych wiadomości – przerwał mu sędzia Briceño. Kapitan się uśmiechał. – To zrozumiałe. Bardzo się pan zaangażował w swoje sprawy. Komendant już tu nie rządzi.

Wyglądali na zadowolonych z nowiny. Może spotkali się właśnie po to, żeby to uczcić. Pomocnik prokuratora odpowiedział:

– Jego przeniesienie nie ma jeszcze mocy prawnej, panie sędzio.

– Kiedy ktoś umiera – odpowiedział sędzia – nie trzeba czekać, aż jego śmierć nabierze mocy prawnej. Po prostu umiera, prokuratorze.

Chacaltana spojrział najpierw na jednego, potem na drugiego. W końcu powiedział:

– Ten rozkaz wynika z konieczności zapewnienia specjalnych środków bezpieczeństwa...

– Ponieważ nie ma komendanta, to ja podejmuję decyzje dotyczące koniecznych środków bezpieczeństwa – powiedział Pacheco. – I bez solidnego powodu nie będę zabierał moim ludziom należnego wypoczynku. Chyba że dostanę polecenie sądowe. Może pan poprosi sędziego Briceño? Ach, zapomniałem, przecież dziś jest święto, sędzia nie pracuje! – Nagle spoważniał. – My też nie.

– Panowie, nie rozumiecie. Mamy tu mordercę na wolności!

– Mordercę? – zdziwił się sędzia. – Nic nam nie wiadomo o żadnym mordercy. Nie złożono w sądzie żadnego doniesienia w sprawie zabójstwa. Może pan coś tam sobie szeptał ze swoim komendantem, ale my o niczym nie wiemy. Jeśli pan chce, żeby instytucje działały, musi pan wysyłać raporty, panie Chacaltana. No, bo jeśli nie, to czego się pan spodziewa?

Chacaltana zawahał się. Potem zebrał się w sobie:

– Jeśli rozkaz nie zostanie wykonany, staniecie się panowie współnikami mordercy.

– O, przepraszam – zareagował Briceño, udając obrazę. – Pan nas o coś oskarża? Jeśli tak, to proszę to z łaski swojej wyraźnie powiedzieć. To może podpadać pod obrazę urzędu albo niesubordynację. Jak nas pan nazwał?

Udawał, że szykuje się do zapisania ewentualnych słów Chacaltany. Policjant uśmiechał się tak samo, jak prezydent patrzący na nich ze ściany. Pomocnik prokuratora pomyślał, że w tym biurze spotykają się prawo i

porządek. I zdał sobie sprawę, że nie ma po co nalegać.

– Przepraszam, panie sędzio. To... zapewne nieporozumienie.

– Oczywiście, nieporozumienie – potwierdził kapitan Pacheco.

Pomocnik prokuratora widział, że obaj wręcz przewiercają go spojrzeniami, jakby chcieli dowiedzieć się więcej, poznać to, co kryje się we wnętrzu jego czaszki. Briceño odezwał się:

– Teraz, kiedy wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy, powinien pan wreszcie usiąść. Może jeszcze nie jest za późno, by pogawędzić o pańskiej przyszłości. Właśnie zajmowaliśmy się z kapitanem stosownymi przygotowaniem związanymi z odejściem komendanta Carrióna. Może mógłby pan dołączyć do naszej grupy roboczej.

Jeszcze miesiąc temu takie zaproszenie pewnie by mu pochlebiło. Poszedłby do Edith, żeby pochwalić się sukcesami w kręgach lokalnej władzy. Entuzjastycznie uczestniczyłby w zebraniach grupy roboczej, przygotowywałby raporty i proponował reformy usprawniające procedury administracyjne. Ale ta propozycja przyszła zbyt późno, jakby z jego innego życia. Zdał sobie sprawę, że teraz czuje się już starszym człowiekiem, może po raz pierwszy dorosłym mężczyzną, który podejmuje decyzje samodzielnie. Spojrzał na obu urzędników i nie umiał powstrzymać lekkiego uśmiešku ledwie zarysowującego mu się na ustach, uśmiešku wyższości, pewności.

– Widzę, że pomysł się panu podoba – odezwał się Briceño. Siedzący po drugiej stronie biurka kapitan Pacheco ograniczał swój udział w rozmowie do uśmiechów i potaknięć po każdym zwięzłym czy dłuższym zdaniu sędziego. Pomocnik prokuratora najpierw pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać. Potem oznajmił swoją decyzję:

– Nie, nie... Chyba lepiej nie.

Obojętny na zdumienie swoich rozmówców wyszedł i trzasnął za sobą drzwiami. Wyobrażał sobie kapitana i sędziego, jak śmieją się tam w środku, świętują śmierć w trakcie Wielkiego Tygodnia, jak dwa wampiry szykują się na krwawą ucztę w mieście. Kot Carrión wypadł z gry. Myszy harcują, choć jeszcze nie wyjechał z miasta.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Tego dnia nie było procesji, turyści chaotycznie przewalali się przez ulice, nie zmierzając w żadnym konkretnym kierunku. Pijacy gromadzili się na rogach Placu Głównego. Chacaltana nie mógł przecież sam pilnować całego miasta. Nie miał tysiąca oczu i tysiąca uszu, nawet raportu napisać nie potrafił. Przypomniało mu się, że nie jadł obiadu. Chciało mu się spać. Postanowił, że nie będzie nikogo szukał, z nikim się spotykał, tylko pójdzie prosto do domu. Wrócił do siebie, przywitał się z

matką, zrobił sobie rosół z kurczaka i położył się. Był smutny i zmęczony, zmęczony własną niemocą. Pomyślał, że tej nocy pojawi się następny trup i tylko on ma tego świadomość. Potem sobie uzmysłowił, że może być tą następną ofiarą. Ze spokojem, jakby przygotowywał się do kolacji, wstał i zamknął zasuwę w drzwiach i oknach. W oknie matki założył nawet kłódkę, przepaszając panią Saldívar de Chacaltana za zamieszanie i zapewniając ją, że to tylko chwilowa konieczność. Przesunął sofę i fotel pod drzwi wejściowe, a komodę i szafy pod okna. Znow się położył, upewniając się, że ma pod ręką broń. Próbuąc zasnąć, myślał o Edith. Lepiej jej nie szukać. Tylko naraziłby ją na niebezpieczeństwo. Wszyscy, z którymi rozmawiam, umierają, pomyślał. Przyszło mu tylko do głowy, żeby się onanizować, myśląc o jej gładkich piersiach o smaku pstrąga. Ale nie zdążył. Mimo lęku czuł, że zamykają mu się powieki.

O drugiej nad ranem przeraził go kolejny koszmar. We śnie był ogień i jakiś kościół. Ktoś uderzał w okrwawione ciało leżące w świątyni. Widział ubranego na białą mężczyznę z limskim akcentem, który bił kobietę. Widział, jak jej krew spływa na chrzcielnicę, biały obrus na ołtarzu, kielich i ornat. A potem eksplozja, ogień pochłania oboje. Ale mężczyzna nie przestaje bić kobiety, kopać ją leżącą, wrzeszczeć na nią. Chacaltana chciał podejść i bronić jej, więc wkroczył w płomienie. Krzyki wydawały mu się skądś znajome. Przede wszystkim głos mężczyzny wciąż dudnił w jego głowie. Pomocnik prokuratora rozpoznał go. To był ten sam głos, który w innym śnie brzmiał w korytarzu, by wbić mu się prosto w serce. Twarz w krzywym zwierciadle. Głos, który oskarżał go, dobiegając z odległego zakątka trwonionej przez płomienie pamięci. Był coraz bliżej. We śnie Chacaltana nie miał broni, ale był pewien, że da radę pokonać tego dzikusa gołymi rękami. Teraz krew zdawała się nie tyle brudzić kościół, ile go zalewać. Kałuża pod jego stopami rosła, płyn sięgał mu do kostek, do pasa, uniemożliwiał marsz w stronę brutalą, który nie przestawał okładać kobiety, choć sam zaczynał się zapadać w czerwonej cieczy. Kiedy dotarł już do niego, złapał go za ramię i zmusił, by na niego popatrzył. Zupełnie jakby obrócił lustro. Agresor miał jego własną twarz.

Obudził się nagle, zlany potem. Poszedł do łazienki, by przemyć twarz. Spojrzał w lustro. Poczł się staro. Myślał o tym, co mówił w konfesjonale. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiam, umierają. Serce mocniej mu zabiło. Próbował znow zasnąć. Nie udało się. Wstał, ubrał się i odsunął meble od drzwi, zostawiając rysy na podłodze. Wyszedł. Sto metrów dalej obrócił się. Wrócił do domu. Po cichu, żeby matka nie usłyszała, podszedł do nocnego stolika. Przypiął kaburę z pistoletem i ruszył w stronę kościoła Serca Chrystusowego.

## Piątek 21 kwietnia

rozmawiałeś o mnie, ojczulku?

rozmawiałeś o mnie z bogiem?

opowiec o mnie. powiec, żeby mi miejsce zrobił, ja sprawie, że on cie posłuha. tak, posłuha. będziesz mógł położyć swój om łysawom głuwke na jego łonie i lizać jego stopy, pozwoli ci sie dotykać, dotknonć renkom plecuw. spodoba ci się. otwusz usta, ojczulku, tak, pozwul, że popaczę na twuj święty jenzyk. pokasz mi te swoje białe zemby. lubię białe, czyste zeczy. mam dla ciebie cukiereczka. sprubuj ciała hrystusa.

tak jest, teraz dużo lepiej, teraz jesteś spokojniejszy, wiesz? lepiej być spokojnym, wszystko się jusz zbliża do końca, zaraz bendzie po wszystkim, cierpliwości, wszystko wkońcu dochodzi do końca, żeby sie mogło rozpoczonć na nowo. ty, ja, wszyscy bendziemy mieli koniec, tak, ten muj tesz jest bliski, ale twuj jusz nadszedł, ha. diabli synu.

brudny jesteś, wiesz? brudny jak lumpy z tego miasta, dziś czeba cie wyczyść, jusz ja cie wyczyszczę, bendziesz nieskalany, o tak, spodoba ci sie. nic nie muw, ojczulku, nie gadaj z pełnymi ustami, brudne je masz. teraz lepiej, widzisz, jak sie robisz coraz czystszy, ojczulku? cały jesteś unuzany w gżehu. dlatego wszyscy cie pamientamy. ciała, kturę spaliłeś, dlatego właśnie cie pamientajom. zapomniałeś jusz? zapomniałeś jusz o tych ciałah niszczoneh w twoim piecu? o ich prohah?

oni o tobie nie zapomnieli, som tu, z bogiem, tak jak i ty zaraz bendziesz, i wspominajom cie każdego dnia. oni jusz nie wrucom do życia, ich ciał jusz niema, i dobrze. teraz majom życie wieczne, prawda? prawdziwe życie, teraz sie z nimi spotkasz, bo jesteś jusz czysty, możesz sie z nimi zobaczyć, bendziecie sobie rozmawiać, tak. na wieki wiekuw.

rusz sie troche, woda świencona musi obmyć cie całego, to jak hszest, rozumiesz? sakrament, hszest ognia dla ciebie, tegośmy sie od ciebie nauczyli, ogień oczyszcza, no bo jakby inaczej?

słyszysz coś? hyba ktoś przyszedł cie odwiedzić, zaprosiłeś nastempnego żebraka, żeby mu umyć stopy? dobrotliwy jesteś, miłosierny jesteś, kto to? a, jusz wiem. tak. jusz sie spotkaliśmy kiedyś, wcześniej przyszedł, muwiłeś mu o mnie, ojczulku? to dobrze, nie mam do ciebie pretensji, dołonczymy go do naszych, co? bendziemy go pieścić jenzykami ognia, zmyjemy z niego wszystkie nieczystości, ojczulku, mamy wiele wspulnego.

Była 2.30 rano, kiedy pomocnik prokuratora dotarł pod drzwi plebanii. Na ulicy kręciło się jeszcze kilku turystów z tutejszymi kobietami, wszyscy podchmieleni, ale już nie tacy głośni. Niektórzy się kłócili, a może po prostu sprzeciali z ayacuczańskimi partnerami swoich towarzyszek, odstawionymi na czas zabawy na boczny tor. Pobożni poszli spać, żeby mieć siły przed następnymi nocami, najważniejszymi w czasie Wielkanocy. Pomocnik prokuratora Chacaltana nawet nie zwracał na nich uwagi. Szedł zdecydowany, z każdym krokiem coraz bardziej przyzwyczajony do ciężaru pistoletu na boku, coraz pewniejszy siebie im bliżej miał do kościoła. Zastanawiał się, jak uzasadnić odwiedzinę o tak późnej porze. Potem uznał, że ksiądz doskonale zrozumie jego niepokój, może nawet będzie na niego czekał. Bez wahania nacisnął dzwonek.

Odczekał chwilę. Wydawało mu się, że dosłyszał w środku jakiś hałas, może czyjś głos. W odpowiedzi przedstawił się.

– Przyszedłem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku – oznajmił.

Nikt mu nie odpowiedział, nie było też więcej hałasów. Zaintrygowało go jakieś głucho uderzenie. Nie dobiegło z wnętrza domu, tylko z boku. Zastanawiał się, czy powinien stać dalej przed drzwiami, czy sprawdzić co to. Przypomniało mu się, że tuż nad ziemią znajdowało się okienko wychodzące na ulicę. Rozmyślał, czy człowiek mógłby się tamtędy wydostać. Ponownie nacisnął dzwonek, ale znów bez rezultatu. Dźwięk zanikł, ale po chwili powrócił. Pomocnik prokuratora wyszedł na uliczkę oddzielającą plebanie od kościoła. Zza rogu nie było nikogo widać, ale za to zza kościoła dobiegał jakiś zdławiony jęk. Dotknął pistolet i ruszył naprzód. Zatrzymał się przed rogiem i przykleił do ściany. Teraz oprócz jęków słychać było jednostajny szelest i odgłosy kontenerów na śmieci uderzających o mur, jakby je ktoś potraçał. Spostrzegł, że zaciska dłoń na kolbie, ale dotąd nie rozpiął kabury. Zrobił to dwoma palcami, nie ruszając się z miejsca. Wydawało mu się, że słyszy przyspieszony oddech dwóch osób, zapewne z trudem ciągnących zwłoki. Zastanawiał się, czy mogą być uzbrojone. Jako że chodziło zapewne o terrorystów i morderców, odpowiedział sobie, że na pewno tak. Nie wiedział, co robić. Gdyby doszło do strzelaniny, w zasadzie byłby bez szans. Może najlepiej będzie obserwować ich, ale nie zdradzać swojej obecności, a potem dobrać się do nich w świetle dnia. A może najlepiej byłoby porzucić to śledztwo i dołączyć do grupy roboczej sędziego Briceño, a potem któregoś dnia kupić sobie datsunę. Ale stwierdził, że już na to za późno. Ze zabójcą przecież ściga właśnie jego, wręcz wydaje się bawić z nim w kotka i myszkę. Tej sprawy, pomyślał, zostawić nie mogę. Może nawet jak się ją uda rozwiązać, i tak nie będę mógł jej zostawić. Rozwiązać. Jeszcze miesiąc temu jego praca

ograniczała się do sporządzania raportów, a nie rozwiązywania spraw. Odetchnął głęboko, starając się nie robić hałasu. Powstrzymując oddech, wyrzwał za róg. Para cieni szamotała się w cieniu, za kontenerami. Stali plecami do niego. Pomocnik prokuratora pomyślał, że mógłby wykorzystać okazję i zatrzymać ich oficjalnie w imieniu prawa. Ale zdał sobie sprawę, że nie posiada uprawnień, by dokonywać zatrzymań. Zastanawiając się, co robić, ruszył do przodu i niechcący kopnął puszkę po piwie, która hałaśliwie odbiła się od kamiennego muru. Dwa cienie przestały dyszeć i ruszać się. Zaczęły coś szeptać. Pomocnik prokuratora zrozumiał, że tak naprawdę tylko jedno z nich stało do niego plecami, ktoś wysoki i jasnowłosy, mamroczący z obcym akcentem, podczas gdy druga postać, kobieta, obejmowała go nogami. Pomocnik prokuratora zdjął dłoń z broni. Nie opanował westchnienia ulgi i oparł się o ścianę. Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniami tamtych. Mężczyzna stał bez ruchu, nie wiedział, co robić. Odezwała się dziewczyna:

– Jesteś z policji?

Pomocnik prokuratora odpowiedział:

– Co? A, nie. Oczywiście, że nie.

– No to spierdalaj stąd, ale już!

Ona, owszem, akcent miała czysto peruwiański. Chacaltana zastanawiał się, czy ich nie przegonić. Wykazywali przecież brak szacunku dla ojca Quiroza i kościoła. Ale przestraszył się śmieszności. Wrócił pod drzwi plebanii.

Zastanawiał się, czy ktoś je otworzył, podczas gdy on zajmował się czymś innym. Światła we wnętrzu pozostawały zgaszone, ale to niczego nie oznaczało. Kolejny raz zadzwonił. Może księdza nawet nie było w środku. Zajście z parą uświadomiło mu, że daje się ponieść nerwom. Może duchowny wyjechał z Ayacucho i nocował w jakiejś innej miejscowości. Choć to niemożliwe. Nie w Wielkim Tygodniu. Przyszło mu do głowy, żeby wejść przez okno, ale były tam kraty z kutego żelaza. Odrzucił myśl o tym, by wejść przez piwniczne okienko. Uniemożliwiała mu to para kochanków. Poza tym musiałby stłuc szybę. Uznał, że można by poszukać telefonu, ale przecież nie znał numeru na plebanię. Ksiądz miał telefon w swoim biurze. Poza tym jeśli nawet na dzwonek do drzwi nie reagował, tym bardziej nie podniósłby słuchawki. Pchany przecuciem, niepokojem i znużeniem sięgnął dłonią do klamki. Ku jego zaskoczeniu, drzwi ustąpiły. W środku panowała ciemność. Kilka minut stał w progu. Teraz już nie miał innej możliwości, musiał wejść. Chyba tego chciał, ale teraz nie był pewien, czy naprawdę. Chodziło mu tylko o to, żeby spać spokojnie. Zawołał głośno ojca Quiroza. Nie otrzymał odpowiedzi. Rozejrzał się wokoło. Ulica była pusta. Zrobił kilka kroków do przodu, nie zamykając za sobą drzwi, żeby widzieć coś w świetle padającym z



ulicy. Cienie tworzone we wnętrzu przez miejskie latarnie poruszały się lekko pod wpływem nocnej bryzy. Szukając włącznika światła, odezwał się ponownie:

– Ojczye Quiroz?

Teraz usłyszał to wyraźnie. Brzmiało to tak, jakby coś czołgało się po podłodze z cichym syczeniem.

– Proszę księdza? To ja, Félix Chacaltana.

Znalazł włącznik i zapalił światło. Przestraszyła go ludzka postać, ale okazało się, że to krzyż metrowej wysokości.

Pokój był tak samo zabałaganiony jak podczas poprzedniej wizyty. Ciężkie drzwi do podziemia były otwarte. Wszedł do salonu i dotarł do sypialni księdza. Otworzył drzwi, wciąż trzymając się z boku. Ponieważ nic nie usłyszał ze środka, zapalił światło.

Tu z kolei panował absolutny porządek. W pomieszczeniu stały tylko biurko, komoda i skrupulatnie zaścielone łóżko bez żadnych fałd na prześcieradłach. Na ścianie wisiał kolejny krucyfiks, bardzo mały, sprawiający wrażenie, jakby czuwał nad spokojem w sypialni. Znow usłyszał szelest, tym razem w salonie. Niemal instynktownie odpiął kaburę i wyjął broń. Wrócił do salonu, mierząc przed siebie, w stronę pudeł. Odbezpieczył pistolet, żeby w razie potrzeby szybko wystrzelić. Zdał sobie sprawę, że ręka mu drży. Oparł się plecami o ścianę i tak przemieszczał się wokół pokoju, wymijając napotkane po drodze pudła. Wyjął chusteczkę, żeby otrzeć pot. Był przemoczony. Doszedł do piwnicznych drzwi i zaczął schodzić na dół, wciąż oparty plecami o ścianę. Nie wiedział, gdzie celować bronią. Uznał, że lepiej mierzyć w dół, gdzie ciemność była gęstsza. Rozpoznał zapach kadzidła i wilgoci zmieszany z jakąś chemiczną wonią, której rozpoznać nie potrafił.

Już na dole próbował sobie przypomnieć, gdzie jest włącznik. Ponieważ w prawej ręce trzymał broń, po ścianie macał lewą, z góry na dół. Wyczuwał tylko zimną i zapleśniałą powierzchnię. Przełożył broń do drugiej ręki i zaczął obmacywać po prawej. Wyłącznik był tam, dość wysoko. Zapalił światło. Zamigotało i wydawało mu się, że w pomieszczeniu jest jeszcze ktoś. Uniósł pistolet i krzyknął:

– Stać, do cholery! Mam broń!

Nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy światło się uspokoiło, przyjrzał się lepiej. Ciało, a właściwie połowa ciała wystająca z pieca, należało do księdza Quiroza. Ubrany był jak do mszy, rękawy miał podkasane, a ramiona rozłożone na boki. Opanowując obrzydzenie, pomocnik prokuratora podszedł bliżej. Z ust duchownego coś wystawało, jakby bardzo długi i sztywny język.

Podchodząc, Chacaltana odkrył, że to uchwyt noża. Reszta tkwiła w środku, przebijając gardło aż do karku. Krew, która ciekła z ust Quiroza, jeszcze nie zakrzepła. Wciąż kapłała na wilgotną podłogę piwnicy, brudząc krawędzie pieca. Zgon musiał nastąpić niedawno. Ale nie tylko krew kapłała. Przed lub po egzekucji morderca oblał kwasem twarz i ręce księdza. Otwarte butelki stały obok. Części ciała potraktowane kwasem były nadzarte i rozharatane, skóra się zmarszczyła i popękała, zmieniła w lepłą masę mięsa. Zaglądając do pieca, pomocnik prokuratora odkrył, że duchownemu odrąbano nogę. Zadrżał i cofnął się. Ksiądz patrzył niewidzącym wzrokiem w sufit piwnicy, może szukając nieba, ale to jego niebo było pod ziemią. Pomocnik prokuratora usłyszał jakiś hałas na górze, na schodach. Mimo koszmarności tego odkrycia, a może właśnie dzięki niej, zareagował błyskawicznie. Odwrócił się i wystrzelił. To był jego pierwszy strzał w życiu. Huk był znacznie głośniejszy, niż się spodziewał, i odrzucił go do tyłu, że aż upadł na zwłoki. Kula odbiła się rykoszetem od ścian, wypełniając dom ogłuszającym echem. Chacaltana zauważył w rogu okienko. Oszacował, że para kochanków stoi kilka metrów dalej. Musieli go usłyszeć. Może wezwą policję. Oby tak zrobili. Usłyszał metaliczny odgłos, teraz wyraźny, dobiegający od strony schodów. Dźwięk stopniowo milkł. Założył, że zabójca nie ma broni i ucieka. Rzucił się za nim biegiem. Dopadł schodów dokładnie w chwili, w której ktoś zatrzasnął drzwi do piwnicy. Zanim dotarł na górę, usłyszał, że ktoś przekręca klucz w zamku. Krzyknął. Zaczął walić w drzwi z całych sił. Kopał. Ale nie drgnęły nawet o milimetr.

Powoli zszedł na dół. Ojciec Quiroz wyglądał, jakby na niego czekał. Minę miał trochę rozczarowaną. Chacaltana postanowił czekać. Wystrzał na pewno zaalarmował władze. Będzie mógł wytłumaczyć im, co się stało. Być może zdążą jeszcze złapać mordercę. Potem zaczął się zastanawiać: co właściwie miałby wytłumaczyć władzom? Co im powiedzieć? Znajdą go zamkniętego z trupem, w posiadaniu nielegalnej broni i w pobliżu wszystkich narzędzi zbrodni. Potem pomyślał, że przecież wszystkie poprzednie ofiary rozmawiały z nim przed śmiercią. Próbował zebrać myśli. Nie. Jest niewinny. Przecież tego samego wieczora prosił o wzmożenie czujności na ulicach. Odmówili mu. Czujność na ulicach. Nie wspominał o parafii. Można by podejrzewać, że chciał wyprowadzić policję na ulicę właśnie po to, żeby się zabezpieczyć. Pacheco byłby zachwycony, mogąc podpisać nakaz śledztwa w jego sprawie, a sędzia Briceño skazałby go z równą przyjemnością. Może nawet sam komendant Carrión nie byłby pewny jego niewinności.

Serce zaczęło mu łomotać. Wyobraził sobie siebie podczas procesu, pewnie podlegałby wojskowej jurysdykcji. Choć może cywilnej. Musiałby się zmierzyć z prokuratorem, prokuratorem „takim jak pan”, jak to powiedział terrorysta, opisując człowieka, który pozwolił działać Oddziałom Specjalnym w

więzieniu o zaostrowym rygorze. Gdyby był swoim własnym prokuratorem, mógłby sporządzić tysiące pism oskarżających. Wyobraził je sobie: „Dnia 21 kwietnia (piątek) 2000 roku, wobec znalezienia Feliksa Chacaltana Saldívarę posiadającego broń palną...”. Nawet nie miał jak pozbyć się broni. Rozmyślał nad możliwą obroną: „Ścigałem zabójcę”. Wyraźnie zobaczył sędziego Briceño: „Dlaczego nie poprosił pan o wsparcie policji? Nie jest zadaniem prokuratorów szwendanie się po mieście i gonienie złodziei. No bo jak to tak?”. Dorzuca mu jeszcze do zarzutów przekroczenie uprawnień. Może także zatajenie ważnych informacji. Żaden z raportów nie dotarł przecież do Sądu. Carrión będzie wolał wyprzeć się wszystkiego, niż wplątywać się w sprawę z seryjnym mordercą.

Próbował wyprzeć z umysłu myśli o procesie sądowym, który roztaczał mu się przed oczami. Nie do końca się udało. Wciąż widział kapitana Pacheco w trakcie składania zeznań, ale jednocześnie przysłała mu do głowy myśl, żeby pozbierać wszystkie pudła i ustawić je pod okienkiem, przez które powinno dać się wyjść. Przemierzył pomieszczenie i zabrał się do przestawiania. Były zbyt ciężkie, żeby je podnieść. Trzeba było pchać. Poruszając pierwszą, potracił niechcący butelkę z kwasem. Ciecz rozlała się po podłodze, podpluwając do rąk i głowy Quiroza. Pomocnik prokuratora wycofał się pod schody. Gdyby się ruszył, jego ślady byłyby widoczne w całym pomieszczeniu. Teraz kwas rozlał się po podłodze, dotarł aż pod okienko. Chacaltana wspiał się dwa stopnie do góry.

Potem przypomniało mu się, że przecież ma pistolet. Trzeba będzie użyć go ponownie. Podszedł do drzwi, oszacował najdalszy punkt, z którego można trafić w zamek. Wystrzelił, stojąc w połowie schodów. Pierwsza kula przebiła drewno, ale nie trafiła w cel. Drugą trafił niemal idealnie. Pomocnik prokuratora podszedł do drzwi. Musiał trochę kopać i ciągnąć, w dłoń wbiła mu się drzazga. Wyjmując ją i wysysając ranę, zdał sobie sprawę, że wszędzie na drzwiach zostawia swoje linie papilarne oraz krew. Wyjął chusteczkę, żeby wyczyścić ślady. Z zewnątrz dobiegały go odgłosy ludzi wracających przed świtem do domów i hoteli. Śmiechy mężczyzn i kobiet. Obcy akcent. Pomyślał, że musi się śpieszyć. Napał na drzwi, a następnie zaczął kopać w zamek, który w końcu pękł i ustąpił. Wybiegł do ciemnego salonu, potem na ulicę. Już na chodniku rozejrzał się wokoło. Para, którą przydybał w zaułku, stała kilka metrów od drzwi. Skamienieli na jego widok. Uzmysłował sobie, że w ręku wciąż trzyma pistolet. Gestem kazał im się uspokoić, próbując jednocześnie schować broń. Oni podnieśli ręce. Stali bez ruchu.

– Słuchajcie, to nie tak, jak się może wydawać... proszę...

– Spokojnie, spokojnie – odezwał się mężczyzna – nic się nie dzieje. Niczego nie widzieliśmy.

Oboje cofali się powoli, im bliżej ich podchodził.

– Nie odchodźcie, słuchajcie. Musimy wezwać policję...

Kiedy dotarli do rogu ulicy, przestali się cofać. Pomocnik prokuratora miał nadzieję, że wreszcie zaczną go słuchać. Przyśpieszył, ale oni odwrócili się i rzucili do ucieczki. Próbował biec za nimi, ale szybko zniknęli w którejś z uliczek.

Widzieli go bardzo wyraźnie. Chacaltana pomyślał, że każdy jego krok okazuje się krokiem wstecz. Starał się myśleć spokojnie. Wsadził pistolet do kabury, żeby nie ryzykować dodatkowych kłopotów. Nikt nie wychylał się na ulicę. Może wszyscy wzięli wystrzały za fajerwerki. Tak. Może jednak lepiej będzie poczekać na zjawienie się policji i wytłumaczyć wszystko jak należy przed otwarciem nowego śledztwa. Potem przypomniały mu się twarze sędziego i kapitana na komisariacie. Nie wytrzymał i rzucił się do ucieczki.

Kiedy biegł już chwilę, zaczął się zastanawiać, gdzie właściwie się kierować. Na pewno nie do domu. Morderca albo policja już tam pewnie na niego czekają, o ile nie podążają jego śladem. Do prokuratury czy koszar też nie. Minał centrum i podążał w stronę dzielnicy San Juan. Piętnaście minut później dotarł pod dom Edith, który mieścił się prawie na granicy miasta. Przytknął palec do przycisku dzwonka i trzymał go tak długo, aż dziewczyna zaczęła dawać jakieś znaki życia. Zdał sobie sprawę, że płacze. Kilka razy kopnął w drzwi. Zawołał ją po imieniu. Potem zreflektował się, że tym sposobem postawi na nogi całą okolicę. Próbował się pozbierać. Przecież jest pomocnikiem prokuratora. Umie stawiać oskarżenia, więc musi umieć bronić się przed nimi. Odetchnął głęboko. Przez okno na drugim piętrze wychyliła się jakaś staruszka w papilotach:

– Co się dzieje? Czego pan chce?

– Szukam Edith.

– O tej godzinie? I uważa pan, że tak należy dzwonić?

– Przepraszam... ja...

Ja co? Co mógł powiedzieć? Przyszło mu do głowy, żeby powiedzieć, że ściga go policja albo że jest policjantem, który kogoś ściga. Kobieta przyglądała mu się, a on się zastanawiał, czy nie lepiej będzie także stamtąd uciekać. Wtedy drzwi się otworzyły. Stała w nich Edith, rozespana, ubrana tylko w koszulkę, flanelowe spodnie i klapki. Włosy miała rozpuszczone, błyszczące. Za nią widać było schody. Félix Chacaltana nigdy nie widział wnętrza jej domu, kiedy ją odprowadzał. Był to stary, trzypiętrowy budynek, podzielony na wiele mieszkań, w którym najwyraźniej jeden dzwonek słychać było wszędzie. Kiedy Edith wpuściła go do środka, przepraszając jednocześnie sąsiadkę za zamieszanie, zdał sobie sprawę, że staruszka z nią nie mieszka. Edith powiedziała, że on jest jej kuzynem, który przyjechał z Andahuaylas na

Wielki Tydzień. Obiecała, że to się nie powtórzy. Kobieta nie odpowiedziała. Ograniczyła się do schowania głowy w oknie i w swoich sprawach.

Félix i Edith weszli na trzecie piętro, gdzie znajdował się mały pokój z elektrycznym piecykiem w kącie. Nie było tam ani łazienki, ani lodówki. Chacaltana domyślał się, że udogodnienia te są dzielone przez wszystkich mieszkańców, może włącznie ze staruszką, która miała do nich pretensje. Nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Kiedy dziewczyna, wciąż senna, zamknęła drzwi, objął ją bardzo mocno, jakby chciał się z nią stopić w jedno. Poczula naciskający na nią kształt pistoletu. Próbowła wyswobodzić się z uścisku.

– Co się stało? Co się dzieje?

Félix nie puszczał jej. Długo tak stał, wtulając się w nią i nieświadom, że po policzkach cieką mu łzy.

– Chcesz mate?

Przytaknęła. Zagrzała wodę na piecyku, choć on nawet na chwilę jej nie puszczał. Podała mu matę i usiadła. Delikatnie pogłaskała go po włosach, podczas gdy on klęczał z głową na jej kolanach i obejmował ją w pasie.

– Nie powiesz mi, co się stało? To ma jakiś związek z twoją pracą?

Teraz w umyśle Chacaltany nie pojawiały się już nawet obrazy ognia i uderzeń. Była tam tylko wielka pustka, głodna ciemność, paszcza nicości zamykająca się wokół jego głowy. Potrzebował rozmowy. Musiał opowiedzieć o wszystkim, co mu się przydarzyło w ciągu ostatniego półtora miesiąca. Potrzebował wypłakać się jak dziecko. Mówił jej o wszystkim, zachęcony pieścizotami dziewczyny. Kiedy przez małe okno w pokoju zaczynało przedzierać się poranne światło, kończył swoją historię. Na kolanach u Edith było mu sucho i ciepło. Kilka sekund później, czując się tak, jak gdyby pozbył się wielkiego ciężaru z serca, zasnął.

Zbudził się o ósmej rano. Nie spał zbyt długo. Zresztą dłużej i tak nie mógł. Miał wrażenie, że nawet nie bardzo może się poruszać. Najpierw się przestraszył, nie rozpoznając, gdzie jest, a potem rozejrzał się po małym mieszkanku Edith. Leżał w łóżku. Jego marynarka i kabura z pistoletem wisiały na jedynym krześle, pod którym stały jego buty, jeden obok drugiego, równiutko i idealnie, tak jak wszystko, czego tknęła się Edith. Ona też tam była, stała przed nim i ściągała koszulkę i spodnie. Wyjęła skądś miednicę z wodą i starannie przemywała się pod pachami i w kroczu, myła szyję i stopy, w bladym świetle poranka.

– Dzień dobry – powiedział pomocnik prokuratora. Słyszając go, zasłoniła się pośpiesznie. Prawą ręką przykryła pierś, a lewą krocze.

– Odwróć się – odpowiedziała. – Nie mam się gdzie schować.

Pomocnik prokuratora nie odwrócił się. Na jego twarzy zakwitł uśmiech. Ona odpowiedziała tym samym. Cała się spłoniła.

– No, odwróć się! – nalegała.

Powoli się obrócił. Trwał tak kilka sekund, ale zaraz odwrócił się ponownie, już nie tak powoli. Ona znów się zasłoniła.

– Jeśli nie będziesz grzeczny, więcej cię nie wpuszczę. Pamiętaj, że jesteś moim kuzynem.

Pomocnikowi prokuratora przypomniła się poprzednia noc. W jego głowie nagle pojawiły się fragmenty spotkania z księdzem Quirozem w piwnicy, gonitwa do domu Edith, odpoczynek na jej kolanach. Chciał jej dotykać. Schronić się w niej.

– Chodź do mnie – powiedział. Zabrzmiało to jak rozkaz.

– Muszę iść do pracy, a już jestem spóźniona. Mój szef dziś będzie, bo spodziewamy się wielu klientów. Ty się stąd nie ruszaj. Pani Dora jest wściekła. Przez dwadzieścia minut suszyła mi głowę, kiedy zeszałam po wodę.

– Chodź – powtórzył.

Owinęła się ręcznikiem i podeszła. Dotknęła jego czoła i pozwoliła, by uniósł jej rękę do swoich ust. Pocałował jej dłoń z zewnątrz i od środka. Delikatnie wsunął jej palce w swoje usta, ssał je po kolei.

– Co robisz? – zapytała.

– Dziękuję za pomoc – odpowiedział. – Nigdy tego nie zapomnę.

Zbliżyła się, żeby go pocałować. On złapał ją w pól i przyciągnął do łóżka. Stawiała opór, najpierw ciałem, potem głosem, ale w końcu ustąpiła.

– Muszę iść – przypomniła mu ze śmiechem. Położył się na niej i wsunął jej język do ust. Nie czuł się już jak dziecko potrzebujące ochrony. Przeciwnie, teraz chciał odzyskać dorosłość. Pokazać jej, że on także potrafi być mężczyzną zapewniającym opiekę, prawdziwym mężczyzną. Pocałował ją w szyję, w ramiona, w kark porośnięty krótkimi, czarnymi włosami, jakby meszkiem. Odpowiedziała pocałunkami w czoło i w policzki. Znów próbowała go odsunąć. Nie ustępował.

– Nie idź do pracy – powiedział. Zaśmiała się.

– Ty nie idź.

Zaczął się zastanawiać, czy już odkryto ciało. Potem odegnał tę myśl. Potrzebował czegoś innego, czegoś dalekiego od tych wszystkich śmierci. Potrzebował trochę życia. Westchnął. Ona miała rozchylone usta. Ukąsił ją w wargę.

– Au! – jęknęła Edith. – Czy twoja mama wie, że wyprawiasz takie rzeczy?

– Tutaj nas nie widzi.

– Ona zawsze jest z tobą. Na tym polega problem. Chacaltana zdenerwował się. To nie był stosowny moment na rozmowę o matce. Odpowiedział:

– Ona cię lubi – miał wrażenie, że to ważna chwila, taka, w której mówi się znaczące rzeczy. – Nie miałyby nic przeciwko temu... żebyśmy się pobrali.

Policzki Edith gwałtownie poczerwieniały. Wyglądała na zaskoczoną.

– Ona by nie miała?

Uśmiechnął się, ale tym razem bez wzajemności. Irytowało go to, irytował go fakt, że ludzie nie dają mu tego, czego się spodziewa. Na uśmiechy odpowiada się uśmiechami, na pewno jest to gdzieś stosownie zapisane. Dotknęła go delikatnie w czoło i wypowiedziała słowa, których się nie spodziewał:

– Słuchaj, Félix... Bardzo jesteś mi bliski, ale... naprawdę... żebym za ciebie wyszła... jej musiałoby tu nie być.

– Proszę?

– Rozumiem twoje uczucia. Ale nie mogłabym przeprowadzić się do domu, który należy do innej kobiety i to jeszcze takiej... której naprawdę nie ma.

– Ale ona jest – odpowiedział pomocnik prokuratora. – Uważasz, że istnieje tylko to, co widzisz?

Edith spuściła wzrok.

– Nie, oczywiście. Ubiorę się.

Wstała. Chciał ją zatrzymać, ale nie udało mu się. Coś pękło między nimi i pomocnik prokuratora próbował to teraz posklejać.

– Posłuchaj. Musisz zrozumieć... ja cię kocham, ale... moja matka... akurat teraz.

Czuł, że w gardle tłoczą mu się słowa próbujące wyjść, ale nie wiedział, jak je stamtąd wydobyć, miał ochotę wyjąć je łyżką. Zawsze dobrze sobie radził ze słowami, ale teraz okazał się niezdolny do przywołania właściwych określeń, żeby mówić o tym, co dla niego najważniejsze. I najgorsze było to, że teraz nie miał czasu, jakim dysponuje urzędnik za biurkiem albo poeta nad kartką papieru. Potrzebował słów płynących prosto z serca, a tymczasem serce okazało się suche.

Edith pozbierała ubrania z krzesła. Pomocnik prokuratora poczuł, że już nigdy nie zobaczy jej nagiej.

– Nie ma sprawy – odparła – rozumiem. Powiedziała to tak, jakby stała za jakimś murem. Na czubku lodowca. Podszedł do niej. Chciał ją objąć, ale się wymknęła. Złapał ją i pocałował w ramię. Czuł ogromną potrzebę zawładnięcia nią, zatrzymania jej, ale wiedział, że nie pomoże tu żadne słowo. Jednym szarpnięciem zerwał z niej ręcznik i pochylił głowę w stronę jej piersi i brzucha. Zaczął lizać jej skórę. Próbowwała go odepchnąć.

– Dosyc... – wyszeptała.

Ale on nie puszczał. Chwycił ją za nogi i sięgnął ustami do jej krocza, aż poczuł na języku włoski łonowe. Jej szparka smakowała mydłem i nią. Poczuł szarpnięcie za włosy. Podniósł głowę. Patrzyła na niego z furją.

– Puszczaj mnie – powiedział zimno. – Bo inaczej... Kiedykolwiek indziej pomocnik prokuratora ustąpiłby i przeprosił za swoje zachowanie. Powiedziałby, że nie chciał jej urazić. Ale tym razem jego reakcja okazała się zaskakująca nawet dla niego. Spuścił głowę i ścisnął ją jeszcze mocniej za nogi. Zaczął ssać. Tym razem krzyknęła:

– Puszczaj!

I zaczęła szarpać go za włosy. On gwałtownie stracił jej ręce z głowy. Dłonie miała pełne jego czarnych włosów wystających jej między palcami. Złapał ją za nadgarstki, podniósł się i zablokował jej ciało między materacem a sobą. Łóżko zaskrzypiało i zakotyssało się. Teraz w oczach Edith widać było strach. Nie wiedzieć dlaczego, to jeszcze bardziej go podnieciło. Edith, drżąca, próbowała się wyswobodzić z jego uścisku. On zacisnął jej dłoń na szyi, drugą rozpinając rozporek. Zauważył czerwone ślady pozostawione przez jego paznokcie na nadgarstkach dziewczyny, ale ona zaraz potem podrapała go po twarzy, wtykając przy okazji palec w oko. Wtedy zareagował brutalnie. Uderzył ją w twarz, tak że upadła na łóżko, i spuścił trochę spodnie, ustawiając się w odpowiedniej pozycji. Zobaczył swojego postarzałego penisa w pobliżu jej czystego i świeżego ciała. Jego zaokrąglony brzuch opadał na jej gładkie podbrzusze. Zaczął pchać. Ona zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Ponowił natarcie, raz i drugi, potrząsając nią na trzeszczącym łóżku, czując, jak jej małe, coraz drobniejsze ciało drży pod ciężarem jego ciała, pomarszczonego, ale silnego, wciąż silnego, silniejszego niż kiedykolwiek.

Kiedy skończył, zsunął się z niej i położył obok. Był spocony. Kręciło mu się w głowie, zalewał go mętlik wspomnień minionej nocy i tego, co właśnie zrobił. Ona się nie ruszała. Trudno było poznać, czy krople na jej twarzy to pot czy łzy. Zastanawianie się nad tym sprawiało mu dziwną przyjemność. Edith drżała. Czuła się odarta ze skóry, rozdarta.



– Wczoraj strzelałem do człowieka – powiedział. – Nie wiem do kogo i czy trafiłem. Ale mogłem kogoś zabić. Miałem poczucie, że to taka próba, przygotowanie do czegoś. Czułem, że coś się we mnie zmienia.

Wszyscy, z którymi rozmawiam, umierają.

– Odejdź – odpowiedziała, najpierw szeptem, a potem krzykiem. – Odejdź stąd! Diabli synu!

Brzmiało to dość niewinnie jak na obelgę. Ale pomocnik prokuratora Chacaltana wiedział, co to znaczy. *Supaypawawa*. Diabli syn. Dosłowne tłumaczenie najgorszego epitetu w keczua. Wiedział, że naprawdę musi iść. Chciałby się podmyć, ale nie pozwoliłaby mu. Ona też była wilgotna, a spomiędzy nóg ciekła jej strużka krwi. Pomocnik prokuratora wolał nie pytać, czy była dziewicą. Chciał myśleć, że tak.

Zamykając drzwi mieszkania, kątem oka dostrzegł Edith szlochającą na łóżku. Schodząc po schodach, założył marynarkę i sprawdził, czy pistolet jest dobrze zapięty w kaburze. W drzwiach minął sąsiadkę spotkaną nocą. Przywitał ją po imieniu, pani Dora. Wyszedł na ulicę i miał wrażenie, że miasto pełne jest światła, było go dużo więcej, niż wpadało przez okienko małego pokoju Edith. Skierował się w stronę komisariatu. Postanowił oddać się w ręce policji.

Szedł powoli, jakby miał buty z betonu, ulicami, na których ludzie przygotowywali procesję Świętego Grobu. Miał zawroty głowy. Zamierzał wkroczyć do gabinetu kapitana, oddać broń i opowiedzieć krok po kroku o wszystkim, co wydarzyło się minionej nocy. Jeśli mu nie uwierzą – też dobrze. Jeśli go zamkną w więzieniu i pozwolą zapomnieć, będzie to wręcz ulga. Gdyby kapitan nalegał, może nawet opowiedzieć o tym, co zrobił Edith. Był zbyt zmęczony, żeby uciekać, a nawet żeby myśleć o ucieczce.

Przed stawieniem się w komisariacie zaszedł do domu. Przy drzwiach nikt na niego nie czekał. Pomyślał, że może wdarli się nocą i przeszukali całe mieszkanie. Otworzył drzwi i wszedł. Wszystko wyglądało tak, jak to zostawił: jego pokój, sypialnia matki. Wziął jej uśmiechnięte zdjęcie z Sacsayhuamán. Ucałował je.

– Sama widzisz, mamuśku, nie udało mi się nic zdziałać, żebyś mogła być ze mnie dumna. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana.

Przebierając się, nie przestawał z nią rozmawiać. Pomyślał, że w celi pewnie będzie mógł trzymać jej zdjęcia. Ze szczególną dokładnością umył swoje wstydlive części. Czuł od nich zapach Edith. Starał się nie płakać. Potem starał się jeszcze bardziej. Ponownie wyszedł na ulicę. Im bliżej Placu Głównego się znajdował, tym częściej mijał policjantów, przechodzących obok niego pośpiesznie, biegających po mieście z rozkazami. Czekał tylko, żeby

któryś z nich wycelował palcem w jego pierś i nakazał oddać broń. Miał nadzieję, że oszczędzą mu przyznawania się do rzeczy, których nie zrobił, że już będą kojarzyli jego osobę z krwawymi zajściami w nocy, że tamta para bez trudu go zidentyfikowała. Żałował, że na ulicy nie jest jaśniej. Miał do siebie pretensje, że nie strzelał dłużej, żeby ściągnąć policję. Minał też kilku żołnierzy. Nagle poczuł się bezkarnie. Przekonał się, jak to jest chodzić wśród wrogów, którzy w ogóle nie zwracają na niego uwagi, jak jakiś duch. Miał ochotę krzyczeć, że jest zabójcą, że zabił już cztery osoby, że chyba właśnie dopuścił się gwałtu, choć tego ostatniego nie był pewien ze względu na niejasność prawną. Niejasność prawną. Nie mógł opanować śmiechu. Zaczął chichotać na środku placu. Zachciało mu się tańczyć, ale pomyślał o matce. Nie spodobałby się jej taki widok. Powstrzymał się. Mimo to idąc w stronę komisariatu, wciąż się uśmiechał. Pomyślał o Pacheco. Ucieszy się na jego widok. Przypisze sobie zasługi, na pewno będzie rozповідаł, że schwytał go po długim pościgu ze strzelaniną i pędzącymi samochodami. Znów się zaśmiał, jeszcze głośniejsze.

Strażnik w drzwiach komisariatu wyglądał, jakby spał oparty o karabin. Pomocnik prokuratora zatrzymał się, żeby obejrzeć godło państwowe wiszące nad wejściem. Odwrócił się i spojrzał na miasto kipiące od przygotowań przed procesją. Miał wrażenie, że upłynęły wieki, zanim zrobił ostatni krok w stronę recepcji.

Ten sam sierżant co zawsze siedział za biurkiem. Pomocnika prokuratora rozbawiła myśl, że będzie musiał czekać kilka godzin, żeby oddać się w ręce władz, że morderca będzie siedział wiele godzin przed drzwiami, żeby móc się przyznać. Na jego widok sierżant wstał. Chacaltana czekał, aż się odezwie. Domyślał się, jakie padną słowa. Uśmiechnął się. Czuł ciężar broni na biodrze. Przyzwyczyił się do tego pistoletu. Sierżant zasalutował dłonią do kepi.

– Kapitan Pacheco oczekuje pana, panie prokuratorze.

Czyli wiedzieli. Wiedzieli o wszystkim. Czuł, że odpływa w stronę gabinetu Pacheco, zastanawiał się, czy powinien wyciągnąć ręce, żeby mu założyli kajdanki. Pacheco siedział przed stosem papierów, ale na jego widok wstał.

– Chacaltana, gdzie pan był, do cholery? Cały rano pana szukam!

Pomocnik prokuratora próbował uporządkować myśli i odpowiedzieć, gdzie, do cholery, był. Ale kapitan ciągnął swoje:

– Zamordowano ojca Quiroza. Kurwa, Chacaltana, musi pan to zobaczyć. Zrobili z niego sieczkę.

„Zrobili” sieczkę? A nie „pan zrobił”? Chacaltana tak bardzo nastawił się na wyznanie winy, że teraz nie wiedział, co powiedzieć. Nawet zaczynał się

przekonywać, że jednak nie jest winny.

– Proszę...?

– Znalaziono go o świcie. Sąsiedzi zgłosili, że było słychać wystrzały. Ale nie zginął od kul. Wygląda na to, że morderca chciał zwrócić uwagę na to, co zrobił. Szkoda, że jeszcze fajerwerków nie odpalił, sukinsyn pieprzony.

A ta para? A ci, którzy widzieli go, jak wychodzi?

– Czy... są świadkowie? Jakies zeznania sąsiadów?

– Świadkowie? Wie pan, jak to jest, Chacaltana. Nikt nie mówi, nikt nie składa zeznań, nikt nie chce pakować się w kłopoty. Nawet ten telefon w sprawie wystrzałów był anonimowy. To jedno wielkie gówno. Przykro mi z powodu wczoraj. Pan... Miał pan rację.

Widać było, że kapitanowi bardzo trudno było się tłumaczyć. Bolało go to. Chacaltana nie wierzył własnym uszom, słysząc swoje słowa:

– Niech się pan nie przejmuje, kapitanie. Rozumiem pana. Wszyscy mamy zbyt wiele spraw na głowie, prawda?

Kapitan gestem podziękował za zrozumienie.

– To, że ludzie nic nie mówią, nie jest bardzo groźne. Prawie cudem udało nam się ukryć tę sprawę przed prasą. A przecież pełno tu teraz turystów i dziennikarzy. Czasami się zastanawiam, czy oni wszyscy nie są przypadkiem ślepi...

Pomocnik prokuratora Chacaltana zadawał sobie dokładnie to samo pytanie. Ale głos kapitana raptownie nabrał mocy typowej dla wydawania rozkazów:

– Chcę, żeby powiedział mi pan o tej sprawie wszystko, co pan wie.

Pomocnik prokuratora Chacaltana zrelacjonował mu wydarzenia powoli i szczegółowo, tak jakby recytował raporty. Nie wspomniał o tym, że wszystkie osoby, które wiedziały o śledztwie, zostały zamordowane. Uznał, że kapitan sam to odkryje. Policjant wyraźnie zamierzał zająć się sprawą. Wydawał się żywo zainteresowany. Może zadzwonili do niego z Limy, oni zawsze wszystko wiedzą. Skoro zwolnili komendanta, to pewnie właśnie dlatego, że są na bieżąco. Pomocnika prokuratora tak naprawdę nie bardzo to obchodziło. Kiedy skończył relację, kapitan oznajmił:

– Proszę iść do lekarza sądowego i przygotować raport, żebyśmy mogli wszcząć dochodzenie.

Przez chwilę Chacaltana miał ochotę powiedzieć, że nie może szybko zająć się tą sprawą. Ze to, co mają w rękach, trwa od wieków i potrwa wieki.

Ze to walka ze zjawami, ze zmarłymi, z duchem Andów. Że właśnie zgwałcił najprawdopodobniej najlepszą kobietę, jaką spotkał w życiu. Że zgodnie z prawem powinien się z nią ożenić. Że nie chce już zajmować się tą sprawą, że woli wyjechać razem z Carriónem na jakąś ładną plażę na północnym wybrzeżu. Otworzył usta i z największym przekonaniem, na jakie było go stać, powiedział:

– Tak, panie kapitanie.

Dnia 21 kwietnia 2000 roku proboszcz parafii Serca Jezusowego, Sebastián Quiroz Mendoza został znaleziony już jako nieboszczyk w pomieszczeniu piwnicznym. Okoliczni mieszkańcy zwrócili się telefonicznie do policji o interwencję mającą na celu zapewnienie porządku i spokoju po tym, jak domniemany sprawca strzelał w powietrze na ulicach prowadzących do plebanii zamieszkiwanej przez ofiarę.

Wedle rekonstrukcji zdarzeń dokonanej przez lekarza sądowego wzmiankowany ksiądz został najpierw związany za ręce i nogi, co sugerują siniaki na nadgarstkach oraz w kącikach ust, a następnie dokonano za życia odcięcia lewej dolnej kończyny. Zadano mu także liczne poważne rany poprzez polanie kwasem, przebito tchawicę i przelyk za pomocą przedmiotu tnąco-kłującego, a na końcu pozostawiono w pozycji leżącej na plecach w piecu krematoryjnym znajdującym się w piwnicy.

Zgodnie z ustaleniami poczynionymi przez służby policyjne sprawca zaczął następnie ostrzeliwać ściany i drzwi budynku, po czym uciekł, zabierając ze sobą odciętą kończynę dolną oraz narzędzia, którymi wykonał tę czynność, co jawnie dowodzi zaburzeń kondycji umysłowej osobnika. Łuski po pociskach odnalezione na miejscu zdarzeń odpowiadają modelowi pistoletu stanowiącego standardowe wyposażenie armii, co może oznaczać, że sprawca jest terrorystą posiadającym dostęp do wojskowych magazynów tudzież dokonał kradzieży broni z premedytacją, podstępem i niecnie zawłaszczając własność jakiegoś członka krajowych sił zbrojnych.

Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że rany zadane wzmiankowanemu księdzu Sebastianowi Quirozowi Mendozie nie mogą być autorstwa osoby starszej wiekiem niż lat czterdzieści, jako że wymagały znacznej siły fizycznej, ani jakiegoś urzędnika, czy też wszelkiej osoby pracującej tudzież wypełniającej swoje obowiązki służbowe w biurze, jako że sposób dokonania zbrodni sugeruje nabycie doświadczenia w operacjach policyjnych czy wywrotowych przez sprawcę przestępstwa.

Jednocześnie niżej podpisany, który w chwili zajścia przebywał w stanie odpoczynku sennego w swoim mieszkaniu, bazując na swoim doświadczeniu

kryminalistycznym, wyraża przekonanie, że zbrodnia musiała zostać dokonana przez jednostki chuligańskie tudzież grupę przygotowaną specjalnie do zabójstw w celach rabunkowych.

Pomocnik prokuratora rejonowego Félix Chacaltana Saldívar jeszcze raz przyjrzał się kartce, na której właśnie pisał, zastanawiając się, czy nie podkreślić swojego alibi w jakiś inny sposób. Nie. To wystarczy. Skreślił słowa „policyjnych czy”, żeby nie prowokować dyskusji z Pacheco, i uznał raport za zakończony. Nie będzie musiał konfrontować swoich zeznań z parą spotkaną minionej nocy, pewnie byli jeszcze bardziej przerażeni niż on, ale wiedział, że prędzej czy później dotrą do niego. W nocy nawet nie zadbał o usunięcie swoich linii papilarnych w piwnicy. To wystarczy, żeby go oskarżyć. Odciski zostaną wysłane do laboratoriów w Limie, chwilę to potrwa, może wystarczająco długo, żeby znaleźć prawdziwego zabójcę. Kwestia dni. Oby.

Mimo że musiał szybko rozwiązać tę sprawę, nie mógł przestać myśleć o incydencie z Edith. Nie rozumiał, dlaczego zrobił to, co zrobił. Starał się sobie przypomnieć poranny epizod i zarazem zapomnieć o nim. Przecież nie seksu szukał, tylko swoistej władzy, dominacji, poczucia, że jest ktoś słabszy od niego, że pośrodku tego świata, który wciąż na niego czyha, on też może mieć moc, władzę, ofiarę.

A może jednak chodziło tylko o seks. Tak czy inaczej czuł się jak ostatni kretyn. Trudno mu szło przekonywanie się, że tak nie jest. A najtrudniej będzie przekonać Edith.

Postanowił skupić się na śledztwie, żeby nie myśleć o niej, chociaż wspomnienia wspólnie spędzonych chwil wracały do niego w przebłyskach pamięci. Jej zamknięte oczy, zaciśnięte zęby, jej nogi zwierające się w obronie przed atakiem. Wrócił do archiwum w prokuraturze. Chciał sprawdzić, czy ojcu Quirozowi kiedyś grożono albo czy miały miejsce zamachy na jego życie w czasach wojny z terroryzmem. Może to będzie się jakimś tropem. Tym razem nie było żadnej wiadomości od Szlaku, ale to zapewne z powodu braku czasu. Chacaltana przerwał mordercom w połowie roboty, ciekawe, co przewidzieli na koniec.

Zjadł kanapkę z kurczakiem przy jakimś kramiku, a potem ruszył do prokuratury. W kościele Świętego Dominika wierni ustawili się w kolejkę, trzymając w rękach waciki, którymi zamierzali oczyszczać rany na obrazie Chrystusa w Świętym Grobie. Pomocnik prokuratora wyobraził sobie wszystkie te ręce, jedną po drugiej, dotykające Jezusowych kończyn. Nie wiedzieć czemu widok ten przypomniawszy mu matkę i Edith.

Kolejny raz przemierzał puste w dniu świątecznym korytarze

prokuratury, aż w końcu znalazł się w pomieszczeniu archiwum. Wziął się do poszukiwań. W papierach nie było niczego o Quirozie. Choć może i było, tylko że Chacaltana przed oczami wciąż miał obraz Edith: jej owinięte w ręcznik ciało w pierwszym blasku dnia. Jej małe stopy jak dwa małe paczki. Smak jej krocza. Świetlisty szlak łączący jej szyję z pępkiem, droga, której Chacaltana nigdy więcej nie przemierzy. Może ona przyjmie przeprosiny, zastanawiał się, wysuwając szuflady z przedawnionymi sprawami. W końcu nie jest złym człowiekiem. Ładnie się w stosunku do niej zachowywał... przynajmniej do tego ranka. Może zdoła o tym szybko zapomnieć. Dziś w nocy zanieś jej kwiaty. Zaprosi na kolację. Weźmie na tańce. To się jej spodoba. Niedługo to przykre zajście z dzisiejszego ranka stanie się łatwym do wymazania wspomnieniem.

Nieświadomie, mimowolnie wypatrywał w archiwach nazwiska Edith. Postanowił otrząsnąć się z tej nieprofesjonalnej zadumy. Ale potem z ciekawości znów zaczął jej szukać. W końcu jej rodzice gdzieś tu powinni być. Chciał wiedzieć o niej więcej. Miał ochotę szukać jej wszędzie, dowiedzieć się, jak wyrzucić na niej korzystne wrażenie, poznać każdą minutę jej życia. Obawiał się, że nie spotkają się osobiście już nigdy więcej, że ona nie będzie chciała. Ale tutaj, wśród tych donosów, ofiar i sprawców z jednej i drugiej strony, Edith Ayala, a przynajmniej jakaś jej część, musiała się znajdować.

Popołudnie zeszło mu na grzebaniu w starych papierach i walce z alergicznymi objawami prowokowanymi przez kurz. Rodzice Edith Ayali, Ronaldo Ayala i Clara Mungia, nie pojawili się wśród umorzonych spraw. Szukał dalej, aż trafił na ich ślad w raportach dotyczących strat w ludziach. Atak na posterunek policji, w którym brali udział, był rozpaczliwą próbą szarży. Sześciu kiepsko uzbrojonych terrorystów przeciw oddziałowi dziesięciu policjantów. Zaatakowali o świcie pewnego lipcowego dnia, w połowie lat osiemdziesiątych. Najwyraźniej źle oszacowali liczbę oczekujących ich mundurowych. Policję uprzedzono o ataku. Szturm zmienił się w masakrę. Zginął jeden policjant, dwóch raniono, a terrorystów zlikwidowano wszystkich. Badania sądowe wykazały, że Ronaldo Ayala miał rany postrzałowe w karku. Został dobity już po ataku. Jego żonę postrzelono kilka razy w brzuch, a ostatni strzał padł w pierś.

Ranna wciąż biegła przed siebie. Na zdjęciu trochę przypominała Edith. Włosy i szyję, którą pomocnik prokuratora tak dobrze pamiętał, dziewczyna odziedziczyła po matce. Ale Clarze Mungii brakowało słodczy jej córki. Na zdjęciu wykonanym przy okazji wcześniejszego aresztowania jej spojrzenie zdawało się mocne, choć bez wyrazu – podobnie patrzyli wszyscy członkowie Szlaku, których pomocnik prokuratora wcześniej widział.

Teczka zawierała aneks dotyczący Edith. W połowie lat

dziewięćdziesiątych jakiś kolaborant ze Szlaku wskazał ją jako członka oddziału logistycznego partii. Nie miała nawet szesnastu lat, ale zdaniem świadka przenosiła broń i wiadomości między komórkami wciąż działającymi w Ceja de Selva. Przesłuchano ją, nie uzyskując żadnych ciekawych zeznań. Wyszła z aresztu bez jakichkolwiek obrażeń. Potem zostawiono ją w spokoju. Raport służb wywiadowczych zawierał informację, że przez dwa lata zajmowała się niesieniem pomocy medycznej oraz zaopatrywaniem w żywność więźniów skazanych za terroryzm i osadzonych w więzieniu o zaostrozonym rygorze w Ayacucho, pracując jednocześnie jako pomocnica w rzeźni przy Placu Głównym.

Rzeźnia. Więzienie. Oczywiście przypomniał mu się Hernán Durango, alias towarzysz Alonso, opowieść o śnie parobka i inne jego historie. Przypomniało mu się ich pierwsze spotkanie. Partia ma tysiąc oczu i tysiąc uszu, powiedział mu wtedy. Oczy ludu. A może tylko dwoje oczu jak dwa orzechy nad zaciśniętymi szczękami, zalane potem gniewu, dwoje oczu w pustych oczodołach. Niemal wbrew woli pomocnik prokuratora zaczął dedukować i wyciągnął wniosek. Może właśnie znalazł mordercę. W tej sekundzie krew zastygła mu w żyłach.

Uznał, że jest to zasadne podejrzenie, i wrócił do swojego gabinetu. Chciał rozwiać wątpliwości. Chciał zrzucić z siebie tę odpowiedzialność. Zadzwoił do pułkownika Olazábal.

– Dobry wieczór, pułkowniku. Co tam u pana?

– Przesrane, Chacaltana. Tak jak, domyślam się, pan, pracuję mimo świąt.

– Rozmawiałem o pańskim awansie z komendantem Carriónem – skłamał pomocnik prokuratora. – Bardzo sprzyjał sprawie, ale został zdjęty z funkcji.

– Wiem. Wieści szybko się rozchodzą.

– Trzeba będzie zaczynać wszystko od początku z jego następcą. Niech się pan nie martwi, pomogę.

– Bardzo panu dziękuję, panie prokuratorze. Wie pan, gdyby tylko potrzebna była jakaś pomoc, którą mógłbym zapewnić...

– No, prawdę mówiąc, skoro pan o tym wspomina, to jest taka sprawa. Potrzebowałbym listy osób odwiedzających Hernána Durango Gonzáleza.

– Jak szybko?

– Jak najszybciej się da, panie pułkowniku. Pułkownik obiecał, że oddzwoni za pięć minut. Pomocnik prokuratora czekał przy aparacie. To musiał być zbieg okoliczności, błąd w rozumowaniu, ślepa uliczka. Cała ta

historia była ich pełna. Pół godziny spędził przy telefonie, bawiąc się swoim pistoletem, aż w końcu pułkownik zadzwonił.

– Już panu podaję... O, tu jest: na początek rodzice skazańca – Román Durango i Brígida González...

– Aha.

– Jego siostra imieniem Agripina... – Tak.

– I jeszcze jedna osoba. To nie jest krewna. Może narzeczona. To by oznaczało, że bardzo cierpliwa, nie? Choć sam pan wie, niektóre potrafią czekać i dwadzieścia lat, mówię panu...

Zafundował mu krótki wywód na temat narzeczonych więźniów, aż wreszcie wypowiedział imię i nazwisko kobiety, a pomocnik prokuratora powtórzył je bezgłośnie, ruszając ustami z wielkim bólem serca. Nie pożegnał się, odłożył słuchawkę i wybiegł na ulicę.

Na zewnątrz właśnie zapadła noc. Chrystus ze Świętego Grobu, spoczywający w przezroczystej urnie na łożu z białych róż, objął w posiadanie ulice. Krew ciekła mu z czoła, boku, z dłoni i stóp. Jego postać oświetlały tylko świece niesione przez szanowanych i zamożnych mieszkańców miasta. Wierni odziani byli na czarno. Oświetlenie ulic wyłączono. W tej chwili panowała całkowita cisza.

Chacaltana przedarł się przez tłum, rozpychając się łokciami. Zmierzał prosto do restauracji przy placu. Kilka osób odwzajemniło mu się szturchnięciem, ale nikt nie ośmielił się naruszyć ciszy przy grobie. Nawet wśród turystów siedzących w restauracji „El Huamanguino” panowała cisza i spokój. Edith stała za barem, kiedy zjawił się w drzwiach. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, które szybko przeszło w strach, a potem nienawiść. Odruchowo cofnęła się nieco, ale nie ruszyła się z za lady. To on podszedł do niej i złapał ją za rękę.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie dotykaj mnie!

Jej oczy. Nienawiść w tych oczach, które widział dziś w archiwum.

– Cśśś!

Zebrani poprosili o ciszę. Właściciel restauracji podszedł i zapytał cichym, ale stanowczym głosem:

– Można wiedzieć, kim pan, do cholery, jest?

– Prokuratura – oznajmił władczo Chacaltana. – Muszę porozmawiać z



panią Edith Ayala. To oficjalne dochodzenie.

Właściciel spojrział na niego, a potem na Edith, z niechęcią, którą wzmianka o prokuraturze zmieniała w strach. Prokuratorzy to nie policjanci, ale właściciel lokalu dobrze wiedział, że wszystko co oficjalne może stanowić źródło problemów. Edith była czerwona z gniewu i wstydu. Chciała uniknąć sceny. Odezwała się:

– Mogę wyjść na chwilę?

Robiąc niezadowoloną minę, właściciel zgodził się, raczej żeby się ich pozbyć niż z grzeczności.

– Pięć minut, nie więcej – ostrzegł, kiedy wychodzili. Oddalili się od tłumu, długimi krokami idąc w stronę dzielnicy Carmen Alto. Pomocnikowi prokuratury przypomniało się, jak kiedyś w dzieciństwie poszedł do katedry w Wielki Piątek. Usłyszał przeciągłą skargę, a potem kościół spowił mrok, cały tonął w fioletowych płachtach materiału. Kanonicy, jeden za drugim, podchodzili do ołtarza odziani w czarne szaty ciągnące się za nimi po podłodze. Nieśli potężne czarne chorągwie i potrząsali nimi w powietrzu, jakby to były skrzydła złowrogich ptaków.

Nie wiedząc dlaczego, pomyślał, że ta stara ceremonia ma z tym wszystkim jakiś związek. Kiedy dotarli na spokojną uliczkę, pomocnik prokuratora rozejrzał się za jakimś ustronnym miejscem na rozmowę. Trzymał Edith mocno pod ramię, możliwe, że tak samo jak dziś rano. Rzuciła:

– Robisz mi krzywdę!

– Ja? Ja ci robię krzywdę?

Pomocnik prokuratora z trudem hamował wściekłość. O ile rano zachował się brutalnie, teraz gniew zdawał mu się sprawiedliwy i uzasadniony.

– Nie zamierzam z tobą więcej rozmawiać – ciągnęła. – Nie chcę cię więcej oglądać na oczy!

Obróciła się do niego plecami i ruszyła z powrotem w stronę placu. Minęła kilku przechodniów. Kilkoro dzieci bawiło się plastikową piłką. Złapał ją i przyparł do ściany.

– Znałaś Hernána Durango, Edith. Jesteś jedyną osobą, która mogła mu o mnie i o mojej matce opowiedzieć.

Wyglądała na zaskoczoną. Potem rozplakała się, nie mówiąc nawet słowa. Pomocnik prokuratora chwycił ją za włosy.

– Znałaś go!

– I co z tego?! – krzyknęła. – No, co? Jakie to ma znaczenie?

– Dlaczego mówiłaś mu o mnie?

– A dlaczego miałabym nie mówić? Aż do wczoraj nie wiedziałam, że go znałeś.

– Nie kłam! – Podniósł rękę, ale powstrzymał się i nie uderzył jej. Nie rozumiał, czemu ciągle ma ochotę ją bić. – Dlaczego mu o mnie opowiadałaś? Mów prawdę!

Próbowała się wyrwać, ale dociskał ją do ściany coraz brutalniej. Kiedy Edith znów podniosła wzrok, trudno było stwierdzić, czy błysk w jej oczach oznaczał strach, czy nienawiść.

– Bo podobałeś mi się! – powiedziała cichutko. Znów się rozplakała. Dzieci, które przed chwilą zamarły w ciszy, rzuciły się do ucieczki. Kilka par przeszło obok nich, wyraźnie przyśpieszając. Nikt nie podchodził. – Myślałam, że jesteś inny... – mówiła dalej. Szlochała jak małe zwierzątko. – Myślałam, że jesteś porządnym człowiekiem, a nie takim nędznikiem, jakim się okazałeś...

Pomocnik prokuratora puścił ją. Jego ciało stężało, głos zrobił się twardy:

– Znam takich terrorystów jak ty, Edith. Znam te wasze kłamstwa. Nie oszukasz mnie już więcej.

– W takim razie zostaw mnie w spokoju.

– Zamknij się! – krzyknął głośniejszym głosem, niż zamierzał, ale to podziałało. Zamilkła, drżąc jak kurczątko.

Zaczęła przetykać ślinę i katar.

– Ty mnie... ty mnie oskarżasz o...

– Jest dostatecznie dużo poszlak, by powiązać cię ze Szlakiem. I oczywiście twoich rodziców. Tych dzikusów, którzy cię wychowali. I co oni z ciebie zrobili...

– Twoja gęba nie jest godna, żeby wymawiać imiona moich...

Nie pozwolił jej skończyć. Zatkał jej usta i przycisnął głowę do ściany.

– Morderca, którego szukam, znał ofiary. Mógł wejść na plebanie i ufać mu Durango, Justino zapewne też. Wiedział, że rozmawiałem z nimi. Tak jak ty. Ale sama tego nie zrobiłaś. Gdzie jest reszta twojej grupy? Gadaj!

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Nigdy nie mogłaś mu tego wybaczyć, co? Piętnaście lat czekałaś na tę zemstę. Przez całe życie ukrywałaś nienawiść. Co zrobiłaś? Sprowadziłaś go do Ayacucho kłamstwami? Czy po prostu dowiedziałaś się, że przyjeżdża, i nie mogłaś się powstrzymać? Durango pomagał ci z więzienia?

– O czym ty mówisz? Na kim niby miałabym się mścić?

– Na poruczniku Alfredzie Cáceresie Salazarze! Na człowieku, który dowodził posterunkiem zaatakowanym przez twoich rodziców. A może uważasz mnie za idiotę? Albo sądziłaś, że nigdy do ciebie nie dojdę, jeśli będziesz zabijać wszystkich zamieszanych w sprawę? Kiedy zamierzałaś zabić mnie?

Teraz kompletnie zaniemówiła. Jej ciało ześlizgnęło się po ścianie na ziemię. Wyglądała jak na wpół opróżniony worek ryżu, niemal pozbawiony kształtu. Ulica opustoszała i zapadła na niej głucha cisza, nie licząc mamrotania dobywającego się z jej ust, ust, które kiedyś całował.

– Gdybym chciała cię zabić – powiedziała nagle – zrobiłabym to wczoraj w nocy. Powinnam była to zrobić...

Pomocnik prokuratora pomyślał o Cáceresie Salazarze trzymającym w dłoni pistolet, z którego strzelił w kark ojcu Edith. Przypomniała mu się scena z dziś rano, kiedy penetrował ciało dziewczyny. Teraz nie czuł już wyrzutów sumienia, tylko przyjemność. Przyjemność po dobrze wykonanej pracy. Wyjął pistolet i wycelował w małą główkę drżącą u jego stóp. Przypomnieli mu się wszyscy zmarli, których widział. Zdał sobie sprawę, że ręka już mu nie dygocze.

– Ty też nie zasługujesz nawet na sąd – prychnął.

Ona nie ruszała się ani nie podnosiła wzroku. Pomyślał, że chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, że w nią celuje. Zmieniła się w łkający kłębek leżący pod ścianą. A może jednak zauważyła broń. Może nie obchodziła jej śmierć, tak jak innych terrorystów. Pomocnik prokuratora Chacaltana odbezpieczył pistolet. Wymierzył precyzyjnie w jej czoło. Stwierdził, że powinna umrzeć, patrząc na to, czego szukała. Uniosła głowę i popatrzyła na niego uważnie, tak jakby jej spojrzenie przeszywało pistolet i trafiało prosto w oczy Chacaltany.

– Nie pierwsza tak zginę – powiedziała. – I nie ostatnia.

To było przyznanie się do winy. Teraz pomocnik prokuratora miał pewność. Przesunął lufę lekko w prawo, żeby trafić prosto między oczy. Położył palec na spuście. Rzucił jej ostatnie spojrzenie, pełne pogardy, żalu i nienawiści. Możliwe, że czuł też obrzydzenie na myśl, że dotykał tego ciała splamionego krwią, zanurzonego w śmierci jak te złowrogie ptaki z Grobu Pańskiego. Teraz za nic by jej nie tknął. Pożegnał się z nią w myślach. W sumie będzie mu jej brak. Będzie mu brakowało ciepła jej dłoni, zapachu szyi, migdałowych oczu, łagodzącego uśmiechu. Mocniej chwycił broń i zbliżył się jeszcze bardziej. Ale kiedy w końcu udało mu się dobrze wymierzyć, w jego umyśle znów pojawiły się uderzenia, ogień, deszcz krwi, jak gdyby w głowie Edith istniało to wszystko, co pojawiała się w jego snach. Czarne flagi. Chciał szybko wystrzelić, nie czekać dłużej, chciał raz na zawsze zmazać to życie,

które kiedyś było jego, chciał zakończyć miłosne noce, których już nie będzie i których nigdy nie było, wszystko za jednym ruchem, od jednej kuli, z całych sił zapragnął, by nie musieć już nigdy więcej słuchać jej kłamstw i żeby jej twarz nie przypominała mu o jego głupocie. I jego oczy rozgorzały czerwonym ogniem, w uszach rozbrzmiały krzyki, uderzenia pięścią, kopnięcia w brzuch. Zapragnął skończyć z tym wszystkim, wystarczy jeden, ostatni, zabójczy ruch palcem.

Nie zdołał.

Odszedł kilka kroków, po czym zaraz znów się zbliżył. Teraz jej spojrzenie utkwione w nim uporczywie stało się czymś w rodzaju tarczy. Przypomniało mu się, jak stał na krawędzi zbiorowego grobu z lufą pistoletu przy głowie. Mierzono do niego od tyłu. Chciał poprosić, żeby nie patrzyła na niego, chciał ją spoliczkować, chciał zerwać z niej ubranie i zgwałcić. Ale to spojrzenie go paraliżowało. Wciąż trzymał wycelowany pistolet, kiedy zaczął mówić głosem łamiącym się z bólu:

– Dlaczego tak? Dlaczego tych ludzi zabito z takim okrucieństwem? Skąd taka agresja?

Ona już nie łkała. Wyglądała jak figura z czarnego lodu. Odpowiedziała, a jej głos brzmiał mocno i zdecydowanie:

– A można umrzeć inaczej?

Nie. Nie można. Pomocnik prokuratora próbował się pozbierać. Poczul się niewytłumaczalnie pokonany, przegrany, jakby ten pistolet celował w jego głowę, a nie w jej. Powoli opuścił ramię. Wyglądało to tak, jakby powstrzymywała go i uspokajała jakaś niewidzialna ręka. Kiedy opuścił już broń, Edith stanęła przed nim wyzywająco. Wydawała się nawet wyższa od niego. Nie umiał wytrzymać jej spojrzenia. Wbijając oczy w ziemię, powiedział:

– Jutro rano złożę na ciebie doniesienie na policji w Ayacucho. Masz czas na ucieczkę. Jeśli cię złapią, radziłbym, żebyś wydała swoich współników. W zamian za zeznania skrócą ci wyrok.

Zrobiła minę, jakby się chciała odezwać. Powstrzymał ją gestem. Jego ręka nie była już agresywna ani uzbrojona. Dłoń miał otwartą.

Zaczęła iść bokiem wzdłuż muru, nie odwracając się do niego plecami. Kiedy dotarła do rogu, rzuciła się do ucieczki. Pomocnik prokuratora padł na kolana, jakby błagał o litość. Schował twarz w dłoniach. Kołysał się. Po chwili zdał sobie sprawę, że po ulicy znów chodzą ludzie. Starsze panie patrzyły na niego z dezaprobatą i szeptały między sobą, narzekając na pijaków panoszących się w mieście. On się nie ruszał. W którymś momencie poczuł, że jest obserwowany, ale niczego dziwnego nie zauważył. Uznał, że może trzeba

wstać i iść do domu. Będzie mógł dalej płakać u siebie. Spojrzał na zegarek.  
Była północ.

## Sobota 22 kwietnia / niedziela 23 kwietnia

dotarliśmy do końca, oh, końce som takie smutne, choć nie. to bendzie szczeniśliwy koniec, tak naprawdę to nowy poczontek, prawda? ty to rozumiesz, widzę to, widzę szereg zmarłych witajonych mnie, poklepujonych po plecach swoimi zalanymi krwawym potem dłońiami. to niedługo, bendziemy mogli bawić się razem przez wieczność, w nowym świecie, w świecie, gdzie ludzie bendom żyć wiecznie.

niezawsze tak było, wiesz? kiedyś wieżyłem, że można żyć inaczej, ale to nie prawda, naiwny byłem, skoro historia tak czy inaczej ma nas dopaść, to lepiej to pszyspieszyć, zmusić ją do działania, osaczyć, tak jak ciebie, staniemy się lustrami wszechświata, miensem ofiarnym zostawiającym siad w czasie, bendzie pięknie.

podobaj om mi się twoje ramiona, takie som delikatne, reszcie tesz się spodobasz, jesteś centrum wszystkiego, wiesz? wszystko do ciebie zmieża, bendiesz mieć wielkom odpowiedzialność, mam nadzieję, że staniesz na wysokości zadania, zdążyło ci się kiedyś robić to, co ja robię? to jakby kroić kurczaka, zawsze w nim pełno kości i innych takich. ale je się mienśnie. nie je się krwi. bo to gżeh jest.

ale nie rozpraszaż się. wczoraj był dzień grobu, a dziś bendzie dzień hwały. na katedrze nie powiewaj om jusz czarne flagi, to dobry dzień dla ciebie, jutro bug zacznie zmartwyhwstawać. a w niedziele słońce wzejdzie nad nowym światem.

wszystko dzienki nam. świat dowie się, co zrobiliśmy, przypilnowałem tego. bendzie smutno, bo także przyjdom po mnie pszez to.

oh, mi tesz się to niepodoba. ale tak to jest z wielkimi zmianami, rodzom się z bulu. nie myśl, że to jest kara, nie. to pokuta, akt nawrucenia. bieżemy nasze ciała i oczyszczamy je, asz zmieniom się w światło, w życie wieczne, w bosko m materie, bendziemy aniołami, aniołami z ognistymi mieczami, ktуре stszegom wejścia do rajū. rajskie cerbery, fajnie, co? mi się podoba, rajskie cerbery. ha. nikt nie pszejdzie, jeśli wcześniej nie zostanie zaaprobowany naszymi ostrymi i dźwiencznymi ostsiami. bendziemy wszystkimi i bendziemy jednościom, powieleni pszez lustra, bo jesteśmy jedni drugim lustrami, wszystko skończy się z naszych ronk i wszystko od nich zacznie, może kturegoś dnia zdołamy pokonać boga. i wtedy nikt nas nie powstszyma. nigdy.

ale dlatego, jak ci muwie, najpierw muszom po mnie pszyjść.

W sobotę dwudziestego drugiego, o dziewiątej rano, pomocnik prokuratora został obudzony biciem dzwonów trzydziestu trzech kościołów miasta zwiastujących zmartwychwstanie i chwałę Chrystusa. Jednocześnie do jego drzwi stanowczo, z furją, stukąła policja. Jeszcze zanim otworzył, domyślał się, co mu powiedzą.

– Mamy rozkazy kapitana Pacheco, żeby zaprowadzić pana na oględziny zwłok.

Myjąc się pośpiesznie, pożałował, że pozwolił uciec Edith. Nie przyszło mu do głowy, że mordercze szaleństwo nie ustąpi nawet po ostrzeżeniu. Wyrzucał sobie słabość i głupotę. A przede wszystkim miał do siebie pretensje, że wybrał właśnie tę kobietę. Jednak ta wiadomość nie zaskoczyła go. Może oswajał się już ze śmiercią. Przed wyjściem zdążył się jeszcze zdziwić, że to nie on okazał się ostatnią ofiarą. Zdał sobie sprawę, że wręcz tego pragnął.

Na zewnątrz zaczynały się już przygotowania do finału Wielkiego Tygodnia. Na wzgórzu Acuchimay, dookoła kramów z wyrobami rzemieślniczymi, cziczą, świeżymi serami i tykwami z zupą, zbierali się przybysze z Andahuaylas, Cangallo, a nawet z Boliwii. Niektórzy pijani, wciąż z butelką wódki w dłoni, leżeli na ulicach. Dookoła pełno było zielonych plwocin z przeżutą koką. Było też widać elegancję. Notable szli na błogosławienie nowego ognia i wielkanocnych świec do katedry. Niektórzy zamierzali spędzić cały dzień na mszach w oczekiwaniu. Inni prowadzili świąteczne byki do domu starców i więzienia. Policjanci powiedzieli pomocnikowi prokuratora, że Olazábal próbował tego zabronić ze względów bezpieczeństwa, ale jego ludzie chcieli jakiejś rozrywki w tak smutnym miejscu.

Pomocnik prokuratora wciąż był trochę senny. Zastanawiał się, jak sformułować w raporcie oskarżenie pod adresem Edith. Mimo wszystko było mu przykro, że będzie musiał to zrobić. Smutne, ale konieczne. Ale w miarę jak szli, zaczynał rozpoznawać drogę. Coraz starsze budynki, dzielnica ledwie zmodernizowana, granice miasta opierające się o wzgórza, trzypiętrowy budynek, sąsiadka Dora, przerażona, patrząca nieufnie przez okno. Po chwilowym paraliżu wbiegł po schodach na trzecie piętro. Przy każdym kroku schody skrzypiały, jakby się miały zawalić. Kapitan Pacheco zatrzymał go w drzwiach.

– Nie wiem, czy powinien tu pan wchodzić – powiedział.

Musiał wejść. Odepchnął policjanta i przekroczył próg. Mały pokoik był niemal całkowicie wymazany krwią. Podłogę zasłano przezroczystą folią, żeby można było chodzić, nie zostawiając śladów, i nie upaprać sobie podszew.

Na jedynej ścianie niecałkowicie pokrytej krwią widniały rewolucyjne

hasła wymalowane pędzlem, który zabójca maczał w ciele leżącym na łóżku. W ciele. Tak naprawdę to nie było ciało. Kiedy pomocnik prokuratora podszedł do pościeli – którą on sam splamił potem i krwią – odkrył, że tym razem było na odwrót: dwie nogi, dwie ręce, głowa. Leżały na łóżku wokół miejsca na tułów. I nic więcej. Miał jeszcze jakąś nadzieję, zanim, na tle absolutnej czerwieni szczątków, rozpoznał błyszczące zęby Edith i jej piękne, teraz purpurowe włosy. Nie zdołał pohamować okrzyku. Musiał się powstrzymać, żeby nie zacząć kopać przedmiotów w mieszkaniu, niszczyć, jakby w ten sposób dało się pokonać wspomnienia. Musiał wyjść na schody, żeby zwymiotować, płakać, kopać.

Pół godziny później mniej więcej się pozbierał. W każdym razie widział już normalnie, bez czerwonej mgiełki przed oczami. Jakiś mundurowy pokazał mu umywalkę, w której przemył twarz. Nie wiedział, co powinien czuć: wściekłość, ból, frustrację, żal nad samym sobą... Wszystkie te emocje kłębiły mu się w piersi, nie mogąc się jednoznacznie określić.

Kiedy zszedł na dół, czekał już na niego kapitan Pacheco. Sędzia Briceño też tam był. Jego spojrzenie było jakieś dziwne, nieobecne. Pomocnik prokuratora pomyślał, że pewnie wygląda żałośnie. Nad umywalką nie było lustro. Zresztą niezbyt go to obchodziło. Niewiele go teraz obchodziło. Odruchowo i bez przekonania próbował się uczesać. Chciał coś powiedzieć, ale żadne słowo nie wydobyło się z jego ust. Sędzia przemówił:

– Rzeźnia, co?

Przytaknął. Próbował skupić się na pracy. Nie miało to sensu, ale może był to jeden z tych bezużytecznych odruchów, jakie się po prostu wykonuje, jak czesanie, strach, płacz czy inne niepotrzebne czynności, których uniknąć nie sposób.

– Proszę... proszę mi dać dokumentację miejsca zbrodni. Podpiszę i będę obecny przy autopsji, jeśli... jeśli lekarz będzie w stanie coś z tym zrobić.

Pacheco i Briceño wymienili spojrzenia. Sędzia odezwał się:

– Ja przejmę śledztwo. Nie wiem, czy pan... jest w stanie...

– Jestem w stanie – powiedział pomocnik prokuratora, patrząc w ziemię. Próbował zapanować nad łzami. – Edith była... członkiem komórki terrorystycznej. Zamordowano ją, żeby ją uciszyć. Trzeba tylko odnaleźć jej współników. Jest... bardzo wyraźny kierunek śledztwa, który trzeba będzie obrać.

Pacheco potrząsnął głową. Zdjął kepi. Miętosił je palcami, mówiąc:

– Już mamy wyraźny kierunek śledztwa, panie prokuratorze.



Chacaltana zastygł, czekając na dalszy ciąg wypowiedzi. Ponieważ nie następował, podniósł wzrok. Tamci dwaj utkwili w nim lodowate spojrzenia. Pacheco pomachał notesem i przeczytał urzędowym tonem:

– Wczoraj wieczorem widziano pana, jak wychodził pan z ofiarą z restauracji „El Huamanguino”. Jak wynika z naszych informacji, był pan wyraźnie poruszony. Są świadkowie potwierdzający, że się kłóciliście. Bardzo liczni świadkowie. Wielu z nich twierdzi, że groził jej pan bronią palną na środku ulicy. Po tym wszystkim ona nie wróciła do restauracji. Nikt więcej nie widział jej żywej. Co ma pan do powiedzenia?

Nic. Nie miał nic do powiedzenia. Nie umiał się nawet zaśmiać, tak jak wczoraj w komisariacie. Policjanci, którzy do niego podeszli, wydawali się zaskoczeni faktem, że nie stawia oporu, że pozwala się prowadzić jak paproch na wietrze, jak ludzik z papieru. Wsadzili go do samochodu i zawieźli do komisariatu.

Wrzucono go do celi wielkości przeciętnej szafy. W rogu znajdowała się dziura do załatwiania potrzeb. Z daleka poczuł, że nie jest tu pierwszym lokatorem. Na ścianach wciąż widać było napisy ku czci wojny ludowej wydrapane krawędziami kamieni. Spędził tam kilka godzin, zastanawiając się nad jakimś wyjściem, ale uznał w końcu, że nie ma nad czym rozmyślać, że wszystko, czego chciał się dowiedzieć, pozostaje już poza zasięgiem jego myśli. Po południu przesłuchał go osobiście Pacheco. Nie trzeba było stosować przemocy.

– Niech się pan od razu przyzna – zaproponował policjant. Wydawał się spokojny, opiekuńczy, ojcowski. – Wysłaliśmy do Limy odciski palców znalezione przy ciele Quiroza. Wyniki będą we wtorek, ale nawet nie są potrzebne. Mamy świadków, którzy widzieli pana z bronią wychodzącego z plebanii. A sąsiadka Edith Ayali widziała, jak poprzedniej nocy wdarł się pan do niej jak szaleniec, bezpośrednio po krwawych zajściach w kościele Serca Chrystusowego. Figuruje pan na liście odwiedzających Hernána Durango i pułkownik Olázabal twierdzi, że oferował mu pan pomoc przy awansie jeszcze przed ucieczką więźnia. Trafił do nas raport podpisany przez pana, w którym zeznaje pan, że się pan potajemnie spotkał z Justinem Maytą Carazo. To czyni z pana jedyną osobę, która widziała go żywego. Z tego, co widzimy, prowadził pan śledztwo, nie informując nas o nim, i sporządzał raporty, żeby kryć sobie plecy...

Pomocnik prokuratora Chacaltana reagował na wszystko lekkimi ruchami głowy, jak bezwładny zewłok. Policjant pierwszy raz stracił cierpliwość.

– Zabił ją pan, jakby był u siebie w domu! Nawet terroryści zostawiali

mniej śladów, kiedy podkładali bomby!

Pomocnik prokuratora nie podniósł wzroku. Policjant uspokoił się i ciągnął:

– To zrozumiałe, Chacaltana. Nie żeby można było wybaczyć, ale zrozumieć tak. W tym mieście śmierć jest wszędzie. Widziałem wielu takich jak pan, co to potracili głowy. Tyle że nikt do tego stopnia. Jak na razie ma pan gwarantowane dożywanie i niech pan się cieszy, że nigdy nie dopuszczono kary śmierci. Jednak wyrok może zostać złagodzony, jeśli będzie pan współpracował. Niech pan wyświadczy przysługę mnie i sobie...

Pomocnik prokuratora nie zareagował. Siedział otepiały, przybity. Policjant pokazał mu jakieś papiery. Były to komunikaty terrorystów zostawione przy ciałach Durango i Mayty.

– Idźmy po kolei – powiedział. – To pan napisał te liściki? Proszę powiedzieć szczerze. Tylko tyle. Pan to napisał?

Pomocnik prokuratora popatrzył na kartki. Przypomniały mu się te listy. Przypomniały mu się napisy wymalowane na ścianach mieszkania Edith. Podpis: Świetlisty Szlak.

– Źle pan to napisał – powiedział policjant. – Bardzo źle. Szlak nigdy tak się nie podpisywał. Używali skrótu PCP, Partido Comunista del Perú<sup>3</sup>, albo po prostu ograniczali się do swoich haseł: niech żyje wojna ludowa, niech żyje prezydent Gonzalo, takie rzeczy. Rozumie pan? Bardzo widać, że pan tu nie mieszkał w czasach terroryzmu. Pańskie próby zmylenia nie przekonałyby nawet ośmiolatka. Te papiery panu nie pomagają. Przeciwnie, działają przeciw panu i pańskim metodom. Ludzie ze Szlaku byli dzikusami, ale mieli pewien rozsądek polityczny. Kapujesz pan? Natomiast to, co pan zrobił, to zwykła rzeźnia, panie prokuratorze.

Po raz pierwszy pomocnik prokuratora zdawał się odpowiadać. Poruszył ustami, jakby chciał coś z siebie wydusić. Potem powiedział niesłyszalnym wręcz szeptem:

– To nie Szlak?

Pacheco, który na kilka sekund bardzo się ożywił, znów wyglądał na rozczarowanego.

– Panie prokuratorze, niech pan ma dla nas trochę szacunku i nie struga wariata. Niech pan to wreszcie wyzna i zrzuci z siebie ten ciężar. Przyniesiemy panu zeznanie, podpisze pan i będzie mógł spać spokojnie. W końcu był pan

jednym z nas, Chacaltana. To też zostanie wzięte pod uwagę, nikt pana nie skrzywdzi.

– To nie był Szlak... – powtórzył pomocnik prokuratora.

Teraz naprawdę poczuł się bezużytecznie. Przez cały czas brnął w ślepa uliczkę, ścigał duchy, gonił za własnymi lękami, własnymi wspomnieniami, a nie za rzeczywistością, która się z niego naigrywała. Wtedy, dopiero w tym momencie, jego umysł się rozjaśnił. Może to blask ognia, może to stosy płonące na wzgórzach, w każdym razie jasne i mocne światło zaczęło przebijać się przez mroki jego umysłu. Przypomniał mu się Pacheco ostrzegający go przed niewłaściwym towarzystwem. To małe miasteczko, wszyscy tu wiedzą o wszystkim. Śledzili go, wiedzieli, gdzie chadza, zawsze się dowiadywali, z kim rozmawia. Jego oczy wypełniły się światłem. Zapytał, odzyskując trzeźwość umysłu:

– Powiedział pan, że macie moje raporty? Jak to możliwe, że w czwartek nie mieliście, a teraz macie?

– Co proszę? – zapytał Pacheco. Na jego twarzy wciąż malował się łagodny uśmiech.

– Dlaczego cały czas utrudniano mi śledztwo, a teraz zostało tak przyspieszone?

Uśmiezek wyższości zniknął z twarzy Pacheco.

– No cóż, odejście Carrióna umożliwiło pewne działania...

– Dlaczego nie zostałem aresztowany, skoro świadkowie obciążyli mnie już w czwartek, a potem ponownie w piątek? Dlaczego nie przyszliście po mnie od razu?

Pacheco zaczął bełkotać. Nagle bardzo pobladł.

– Świadkowie... no... bo...

– Chcecie na mnie to zwalić. Chcecie mnie w to zrobić! Chcecie mnie zamknąć!

– Chacaltana, proszę się uspokoić...

Chacaltana się nie uspokoił. Wstał od stołu i rzucił się na policjanta. Złapał go za gardło. Wszystko stało się całkiem jasne, ale było za późno. Teraz, kiedy był już stracony, mógłby przynajmniej zabrać ze sobą do piekła Pacheco. Rzucił go na podłogę i zaczął zaciskać dłonie na jego gardle, tak samo jak Mayta zaciskał swoje na jego szyi. W końcu zabójcy zamieniają się twarzami, mieszają jedni z drugimi, zamieniają się wszyscy w jedną osobę, powielają się jak obrazy w zdeformowanym lustrze. Pacheco próbował go z siebie zrzucić, ale pomocnik prokuratora walczył bardzo żąrcie. Policjant zaczynał sinieć,

gdy Chacaltana poczuł cios pałki na głowie. Próbował jeszcze trochę docisnąć, choć tracił już przytomność, ogarniała go senność i wszystko dookoła zmieniło się w jedną wielką ciemność.

Ostatni sen, który przyśnił się pomocnikowi prokuratora rejonowego Feliksowi Chacaltanie Saldívarowi przed tym, co zdarzyło się później, był zupełnie inny od wcześniejszych: nie było ognia, krwi ani uderzeń. Była tylko wielka, spokojna łąka, być może andyjski pejzaż. I jakieś ciało leżące na ziemi. Stopniowo, najpierw powoli, potem coraz szybciej, ciało podnosiło się, aż w końcu stanęło na nogach. Wtedy objawiło się w całej okazałości. Było złożone z różnych części, taki potwór Frankensteina zszyty stalowymi nićmi, które niedokładnie dociskały połączone kawałki, pokryte ciekącymi strupami i zadrapaniami. Miał dwie różne nogi, ręce też nie do końca do siebie pasowały. Tułów był kobiecy. Widok makabryczny, ale ciało nie zdradzało agresywnych intencji. Istota po prostu wstała i rozglądała się powoli, jakby zyskując świadomość swojego istnienia. Pomocnika prokuratora przestraszył tylko koniec tej wizji, kiedy stwór wyprostował się i na jego szyi pojawiła się głowa Chacaltany uwięziona na ciele, którego nie wybierał, a potem światło stało się tak intensywne, że wszystko zalało oślepiającą bielą. Wtedy się ocknął. Zobaczył otwartą kratę swojej celi. Dwóch policjantów sięgnęło w jego stronę i wyciągnęło go na zewnątrz. Popychając, zaprowadzili go do gabinetu kapitana. Rzucili go na podłogę u stóp Pacheco. Pomocnik prokuratora uznał, że to już koniec, że nie doczeka żadnego procesu, tylko zawiozą go do jednego z tych dołów i taki będzie jego kres. Sprawa zamknięta, tu nie ma żadnych terrorystów i nic się nie wydarzyło. Unosząc głowę, by spojrzeć na swojego prześladowcę, wręcz z ulgą myślał o zbiorowej mogile.

– Ma pan potężnych przyjaciół, panie prokuratorze – powiedział Pacheco.  
– Kto za panem stoi?

Pomocnik prokuratora nie zrozumiał pytania. Policjant wyglądał na wściekłego.

– Nie powinienem pytać, co? Czasami o tak wiele rzeczy nie można pytać, że człowiek już się gubi. Czasami, panie prokuratorze, zastanawiam się, dla kogo my właściwie pracujemy. Zwłaszcza jak widzę pana.

Pomocnik prokuratora zaczął się podnosić. Naprawdę miał wrażenie, że ciało, w którym tkwi, nie jest jego ciałem, że został zszyty z cudzych kawałków, że ktoś używa go jak marionetki.

– To sprawa wywiadu? – nalegał policjant. – Mam rację, co?

Pomocnik prokuratora nie odpowiadał. Kapitanowi wystarczyło to milczenie.

– Niech się pan stąd wynosi – powiedział. – Co?

Chacaltana był przekonany, że się przesłyszał.

– Niech się pan wynosi! Pański pobyt w areszcie nie figuruje w aktach. Pana tu nigdy nie było. Ale niech pan sobie zapamięta, że ja nie biorę za to odpowiedzialności, Chacaltana. I jeśli tylko będę miał jakąś szansę, dopadnę pana. Wyprowadźcie go.

Pomocnik prokuratora chciał zaprotestować, ale nie wiedział przeciwko czemu. Wtedy przyszło mu do głowy, żeby o coś zapytać. Tylko że znowu nie wiedział o co. Pozwolił, by ci sami policjanci zaciągnęli go do drzwi. Uliczny gwar wydał mu się odległym i chaotycznym wspomnieniem. Kiedy wypuszczono go na rogu placu, jego własne nogi wydały mu się obce, jakby musiał się do nich przyzwyczaić na nowo. Zastanawiał się, czy zapach ponczu i muzyka ulicznych zespołów nie docierają doń z nieba. Albo z piekła.

Poszedł do domu. Wszystko go bolało. Już na miejscu rzucił się do pokoju matki. Zebrał wszystkie zdjęcia i położył je na łóżku. Potem zapalił świece w czterech rogach pomieszczenia, jakby zamierzał odprawić jakąś ceremonię na cześć matki. Ukląkł przed łóżkiem i ucałował prześcieradło. Pogłaskał baldachim. Zapłakał.

– Wiem, co się stało, mamusku. Wiem, co mi zrobili. Brakuje jeszcze jednego nieboszczyka, wiesz? Jutro jest Niedziela Wielkanocna. I brakuje głowy. Ja jestem tą głową, mamusiu. Tej nocy zabiją mnie.

Siedział tam kilka godzin, zastanawiając się, jak będzie wyglądać jego śmierć. Może nie tak strasznie. Może nastąpi w wygodnym łóżku z baldachimem. Może po prostu nic się nie stanie. Nie pozostanie w niczym wspomnieniu, bo wszyscy znani mu ludzie nie żyją. Zastanawiał się, o której przyjdą po niego mordercy. Mijała północ. Rozmyślał, czy nie byłby bezpieczniejszy w celi na komisariacie. Zaśmiał się cicho z własnej myśli. Czekał na nich z niecierpliwością. Wyobraził sobie piłę, którą obetną mu głowę. Widział, jak przebija się przez jego żyły i kręgi. W którejś chwili wręcz się zezłościł, że jeszcze ich nie ma. Dobrą chwilę spędził, medytując i przypominając sobie pojedyncze i chaotyczne obrazy z życia matki, jak się do niego uśmiecha, doradza mu, przytula, czeka na niego na swoim miejscu, tam gdzie zawsze była, w ogniu. Przywołując obraz matki wynurzającej się z płomieni, uzmysłowił sobie klarownie pewną myśl. Może nie wszystko stracone. Może jest miejsce, w którym będzie bezpieczny. Tylko jedno, ostatnie. Podjął decyzję. Przed wcieleniem jej w życie, ucałował wszystkie zdjęcia matki, jedno po drugim, jakby to było długie i czułe pożegnanie. Skrupulatnie zgasił wszystkie świece. Potem, z odnowioną energią, wrócił do swojego pokoju, wyjął pistolet, załadował go, wsadził do kabury, zawiesił pod pachą i wyszedł. Poczul, że może jednak nie umrze tej nocy.

Jak zombie mijał uliczne zabawy, potracając tańczących i śpiewających ludzi. Niektórzy czasami usuwali się na jego widok. Zdał sobie sprawę, że nie najlepiej wygląda. Ale nie zaprzętał tym sobie głowy. Szedł przez dziesięć minut i dotarł pod komendanturę. Może ze względu na zabawę w bramie nie stali strażnicy. We wnętrzu też nie dostrzegł nikogo. Zadzwoił domofonem i komendant wpuścił go do środka. Wydawał się zadowolony z tej wizyty. Pomocnik prokuratora przeszedł przez mroczne patio i wspiał się po drewnianych schodach, które skrzypiały pod jego stopami. Kiedy dotarł do gabinetu komendanta, wszedł bez pukania. Carrión był w środku, pakował walizkę. Gdy zobaczył pomocnika prokuratora, zrobił przerażoną minę.

– Chacaltana, co się panu stało, do cholery?

– Nie wie pan?

– Mnie się już o niczym nie informuje, Chacaltana. Moja dymisja pobiła wszelkie rekordy szybkości.

Powiedział to ze smutkiem. Widać było, że będzie tęsknić za ayacuczańskim koszmarem. Chacaltana podszedł kilka kroków do przodu i kątem oka dojrzał swoje odbicie w lustrze. Rzeczywiście, wyglądał strasznie. Jakby wyszedł z jakiejś kloaki. Albo zbiorowej mogiły.

– Oskarżono mnie o te morderstwa – wyjaśnił pomocnik prokuratora. – A potem wypuszczono. Dziwne, co? Te tygodnie w ogóle były jakieś dziwaczne.

– Wiem. Dla mnie też łatwe nie były.

Pomocnik prokuratora przyjrzał się przedmiotom leżącym w walizce komendanta. Zdjęcia, papiery, stare albumy z fotografiami z wojskowych uroczystości. Wspomnienia. Tylko wspomnienia. Na zewnątrz słychać było sztuczne ognie, głosy, śpiewy, tyle że przygaszone, jakby nie z tego świata. Oficer podszedł do okna i popatrzył na zabawę. Zasunął żaluzję.

– To nie Szlak stoi za tymi morderstwami – odezwał się pomocnik prokuratora. Nie usiadł. – Wiedział pan? Wszystko na to wskazywało... ale jednak nie.

Komendant uśmiechnął się lekko.

– Tego się obawiałem. Czasami wydaje mi się, że to nawet lepiej, że mnie zdymisjonowali. Nie ja będę musiał się z tym wszystkim użerać. Jest jakaś nowa linia śledztwa?

Komendant zapalił papierosa. Zaproponował jednego pomocnikowi prokuratora, ale ten odmówił.

– Tak, jest – odpowiedział.

Komendant zaciągnął się dymem, czekając na dalsze słowa Chacaltany.

Pomocnik prokuratora patrzył nieobecny wzrokiem, jakby przez żaluzje dało się zobaczyć sztuczne ognie.

– A jaka? – zapytał komendant. – Niech mnie pan nie trzyma w niepewności. Kogo pan podejrzewa?

Pomocnik prokuratora jakby wrócił myślami na ziemię. Po chwili powiedział:

– Pana, komendancie.

Carrión zaśmiał się, jakby doceniał żart. Potem zrozumiał, że pomocnik prokuratora wcale nie żartuje.

– Chyba... nie rozumiem – powiedział.

– Ja też nie, panie komendancie. Myślałem, że pan mi wytłumaczy.

Komendant, wciąż opanowany, usunął z biurka kilka papierów. Chacaltana zauważył, że wszystkie napisane są bez dużych liter i z błędami ortograficznymi. Komendant zatrzasnął walizkę, mówiąc:

– Obawiam się, że popełnia pan błąd...

– Tylko pan mógł wysłać moje raporty policji, bo tylko pan je miał, komendancie – głos pomocnika prokuratora stał się mocniejszy i bardziej władczy. – Również tylko pan znał wszystkie moje ruchy. I był zainteresowany zamazaniem swojej przeszłości z lat osiemdziesiątych. Pacheco pojawił się w Ayacucho znacznie później i myślał tylko o tym, żeby się stąd zwinąć. Tak samo jak Briceño, tak jak wszyscy.

Komendant Carrión zaciągnął się mocno papierosem. Spojrzeniem przewiercił pomocnika prokuratora. Patrzył teraz tak jak rodzice Edith na zdjęciu. Chacaltana kontynuował:

– To pan wysłał mnie do Yawarmayo, żeby Justino mógł mnie sprzątnąć. Ale Justino nie dał rady. Był tak przerażony, że nawet nie zdołał zabić kogoś równie bezbronnego i tchórzliwego jak ja. Poza tym wygadał się. On tak naprawdę chciał pana wydać. Wtedy pan go zabił i postanowił powierzyć mi śledztwo, żebym siedział cicho, a przy okazji pozbywał się pan wszystkich, którzy mogliby pana w jakimś momencie oskarżyć: Quiroza, Durango... W końcu zamierzał pan zwalić wszystko na mnie albo mnie zabić, żebym niczego nie wygadał, to się miało stać tej nocy. Dlatego wydał pan rozkaz, żeby mnie wypuszczono z komisariatu. Tutaj wysokiemu oficerowi armii nikt nie odmawia, nawet tuż przed odwołaniem z funkcji. Lima wie o wszystkim, Wywiad też dobrze zna sprawę. Ale jest tak jak zawsze, nie? Kiedy robi się smród, zostajecie odwołani albo przeniesieni. Nikt nie ruszy wojskowego. Tak się stało z porucznikiem Cáceresem.

– Cáceres to był wariat! – odezwał się Carrión, nagle puszczając papiery.  
– Wszystko było dobrze, wszędzie spokój, dopóki ten dupek nie wrócił z Jaén. Skarżył się, że każą mu odwalać papierkową robotę. Mówił, że jest bohaterem wojennym, że ryzykował skórę za ten kraj. Domagał się uznania. Nigdy nie mieliśmy większego zabójcy. A on, skurwiel jeden, domagał się pomnika! Domagał się prawa organizowania obywatelskich patroli obronnych. Przed czym to miała być obrona?

– Może przed nami samymi.

Komendant wydawał się teraz większy i dyszał jak ranne zwierzę. Nie zwrócił uwagi na ten komentarz.

– Nie zostawił nam wyboru. Wywoływał stare duchy. Ludzie zaczęli go rozpoznawać. Bojownicy w Yawarmayo zrobili się aktywni jak nigdy wcześniej. Nie trzeba by długo czekać, żeby pojawił się tu jakiś zasrany opozycjonista i zaczął krzyczeć, że porucznik wrócił do Ayacucho. Albo jeszcze gorzej, jakiś zamach terrorystyczny w trakcie wyborów czy Wielkiego Tygodnia. Gdyby do tego doszło, zjedliby nas żywcem. Próbowałem pogadać z Cáceresem, wytłumaczyć mu, uspokoić. Cáceres był moim kumplem, Chacaltana, walczyliśmy razem. Wie pan, jak to jest, kiedy trzeba spalić własnego kumpla? Ja wiem, co on czuł. Czuję to samo! Przelewaliśmy naszą krew za ten naród!

– Tylko że to nie była pańska krew, komendancie.

– Niech pan mi, kurwa, nie przerywa! – krzyknął. Potem zamilkł na chwilę, żeby się uspokoić. Była to smutna przerwa, być może zadedykowana pamięci zmarłego towarzysza. – Nie było trudno przekonać Justina Maytę, żeby pozbyć się porucznika. Żaden wojskowy nie zabiłby drugiego wojskowego...

Pomocnik prokuratora pomyślał: Żaden oprócz pana.

– Natomiast Justino – ciągnął oficer – dobrze pamiętał wkroczenie policji do domu. I chciał pomścić brata. Uważał... uważał, że jego brat działa poprzez niego, że on jest jakby ręką Boga. Jakieś takie religijne pieprzenie. Ten kretyn był strasznym dewotem. To jemu przyszło do głowy, żeby użyć pieca Quiroza do spalenia ciała. A Quiroz się zgodził, bo gdyby Cáceres zaczął gadać, też miałby sporo do stracenia. Od początku wszystko szło źle. Piec był tak stary, że się spieprzył w połowie pracy. Quiroz i Justino wydzielali się na siebie. Trzeba było wyciągnąć spalone ciało, przewieźć do Quinua i tam zostawić. Nawet wtedy wydawało się nam, że się uda, że nic się nie stanie. Wszystko szło jak trzeba. I na tym miało się skończyć. Ale pojawił się pan i wszyscy zaczęli robić się nerwowi. Quiroz chciał spreparować dowody przeciwko Justinowi. Justino nawet nie wiedział, czego chce. Trzeba ich było uciszyć. Tak samo jak Durango... Nie było jak dowiedzieć się, o czym rozmawia pan z



Durango... Ani z tą pańską przyjaciółką, terrorystką.

Te ostatnie słowa przeszły Chacaltanę jak nóż.

– Edith Ayala nie była żadną terrorystką, skurwysynu.

– Teraz to obojętne, Chacaltana. Teraz mniejsza o to. Pan ją nam wystawił. Po tej scenie wczoraj w nocy łatwo było ją wykończyć. Nawet sobie myślałem, że przysługę panu wyświadczam, że pan się nie obrazi.

W spojrzeniu komendanta nie było widać skruchy, patrzył prowokująco, z błyskiem, ogniem w oczach. Pomocnik prokuratora pomyślał o nim, o Durango, o Justinie, o Cacéresie, o Quirozie. Mordercy zabijający morderców. Zabójcy likwidujący się nawzajem, spirala ognia, która nigdy się nie skończy, dopóki nie zmienimy się w jednego giganta z krwi. Ale nie Edith. Właśnie ona nie. Przypomniawszy sobie jej resztki rozrzucone po pościeli. Przypomniawszy sobie jej ciało w całości zdobyte przez niego na tym samym łóżku, siłą, złamane.

– Jest pan potworem, Carrión. Nawet jeśli to, co pan mówi, jest prawdą. Dlaczego tak? Strzał w kark nie wystarczył? Czy nie tak to się zwykle załatwiało?

Wzrok komendanta się zmacił. Pokazał mu trzymane w ręku papiery.

– Wszystko opisałem. Wszystko wytłumaczyłem. Chacaltana wziął te kartki i próbował czytać. Ale nic się z tego nie dało zrozumieć. To był jakiś bełkot. Bzdury. Nie tylko przez błędy ortograficzne, chodziło o całość. W chaosie nie widać błędu, a na tych kartkach nawet składnia nie miała sensu. Chacaltana przeżył swoje życie otoczony uporządkowanymi słowami, wśród wierszy Chocano i kodeksów karnych, zdań ponumerowanych lub poukładanych w wersety. Teraz nie wiedział, co począć z tym ogromem słów rzucanych na chybił trafił w rzeczywistość. Świat nie może dopasować się do logiki tych zdań. A może wręcz przeciwnie, może rzeczywistość właśnie taka jest, a cała reszta to zgrabne historyjki, takie kolorowe obrazki, które mają odwrócić uwagę i udawać, że mają jakiś sens. Komendant ściszył głos. Patrzył teraz inaczej, takiego spojrzenia jeszcze u niego Chacaltana nie widział. Odezwał się:

– Teraz chyba wszystko jest jasne, co? Teraz pan zrozumiał? Potrzebuje pan jeszcze wyjaśnień?

Pomocnik prokuratora zastanowił się, czy to przypadkiem nie on nie umie czytać. Może to jego raporty pozbawione były sensu. Może to papiery Carrióna tak naprawdę są logiczne, tylko że on nie jest w stanie ich pojąć. Ale wtedy przypomniawszy mu się Edith i zdał sobie sprawę, że tak naprawdę to nie ma znaczenia.

– Dla tego, co pan zrobił, nie ma żadnego wytłumaczenia – powiedział.

Podczas gdy Carrión podchodził powoli do biurka, pomocnik prokuratora sięgnął po broń. Komendant odezwał się:

– Ja nie chciałem, Chacaltana. Ja nie chciałem, żeby tak się stało. Ale oni mnie zmusili.

– Kto?

Teraz komendant zaczął widać się za biurkiem, zsuwał się na podłogę, a jego oczy nabiegły łzami. Dygotał.

– Nie widzi ich pan, Chacaltana? Naprawdę pan nie widzi? Są wszędzie. Zawsze tu są.

Wtedy Chacaltana zobaczył. Tak naprawdę widział ich od roku. Cały czas. A teraz łuski opadły mu z oczu. Ich okaleczone ciała tłoczyły się dookoła, ich piersi rozcięte na pół cuchnęły mogiłą i śmiercią. To były tysiące tysięcy trupów, nie tylko tam, w biurze komendanta, ale w całym mieście. Zrozumiał wtedy, że to martwi sprzedawali mu gazety, prowadzili pojazdy komunikacji miejskiej, wytwarzali pamiątki, podawali mu jedzenie. Nie było w Ayacucho innych mieszkańców, nawet ci z zewnątrz umierali. Tyle tu było zmarłych, że nie potrafili się już rozpoznać. Z rocznym opóźnieniem zrozumiał, że przyjechał do piekła i nigdy się z niego nie wydostanie. Komendant mówił dalej gardłowym, mrocznym głosem:

– Proszono mnie, żeby krew nie została przelana na próżno, Chacaltana, i ja się dostosowałem: terrorysta, wojskowy, wieśniak, kobieta, ksiądz. Teraz wszyscy są razem. Tworzą ciało, którego domagają się zmarli. Rozumie pan? Pomogą stworzyć historię, odzyskać wielkość, żeby same góry drżały na widok naszego dzieła. Na początku lat osiemdziesiątych obiecaliśmy, że przetrzymamy tę krwawą łaźnię. Ci, którzy złożyli się teraz w ofierze, nie umarli. Żyją w nas i trwają w nas. Brakuje jeszcze jednego, żeby ziemia się zatrzęsała, żeby zapłonęły równiny, żeby to, co na dole, znalazło się na górze, a to, co na górze, na dole. Brakuje tylko głowy...

Zniknął za swoim biurkiem. Pomocnik prokuratora sięgnął po pistolet. Wycelował. Żadne obrazy przed oczami na wytrącały go z równowagi. Tak jakby wszystkie jego koszmary zakończyły się w tej chwili.

– Odsuń się, kurwa, od biurka!

Komendant wystawił głowę i uśmiechnął się niespodziewanie, jakby to wszystko wydawało mu się śmieszne, oryginalne.

– Widzę, że korzysta pan z mojej broni? Przyzwyczyił się pan?

– Proszę podnieść ręce i cofnąć się. Jeśli nie rozwalam panu głowy od razu, to dlatego że sam pan tego wszystkiego nie zrobił. Chcę, żeby mi pan

powiedział, kim są pańscy wspólnicy. I ma mi pan to powiedzieć, zanim stracę cierpliwość, bo potem już pan niczego nie powie.

Komendant zastygł przy oknie w bezruchu. Ręce trzymał w górze, raczej ironicznie niż w geście poddania. Uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

– Moim najlepszym wspólnikiem – odpowiedział – prawdę mówiąc, był pan.

W tej chwili w pomieszczeniu zgasło światło. Pomocnik prokuratora chciał zajrzeć za wpółotwarte drzwi. Nie wiedział nawet, gdzie one są, bo ciemność ogarnęła cały budynek. Żaluzje były spuszczone.

– Kto jest na zewnątrz? Kto zgasił światło? Z mroku dobiegł go głos wojskowego:

– Powinien czuć się pan trochę winny, Chacaltana. Wszyscy, z którymi pan rozmawia, umierają. To bardzo źle.

Usłyszał zgrzyt otwieranej szuflady. Strzelił w stronę, z której dobiegł go odgłos. Przez chwilę ciemność w budynku powieliała echo wystrzału. Potem znów usłyszał głos Carrióna:

– W końcu to nie pierwszy raz, kiedy pan zabija, co? Może właśnie dlatego tak mnie to wszystko bawiło. Taka gra między równymi sobie.

Wymierzył pistoletem tam, skąd dobiegł go głos, ale komendant wciąż się poruszał. Chacaltana chciał się do niego odezwać, żeby sprowokować do mówienia, choć tym samym zdradzał swoją pozycję.

– O czym pan, do cholery, mówi?

Zawadził o framugę i zdał sobie sprawę, że przechodzi przez drzwi. Ruszył przed siebie. Głos zdawał się być bardzo blisko, ale w przestronnym pomieszczeniu odbijał się wciąż od ścian.

– Dlaczego pan nigdy nie wspomina swego ojca, panie prokuratorze?

Oparł się o ścianę. Czuł strach. Nagle wspomnienie ze snów ukazało mu się w ciemności. Usłyszał głos komendanta:

– Poznałem pańskiego ojca.

– Nie miałem ojca.

Pomocnik prokuratora poczuł mrowienie w żołądku.

– Każdy z nas ma ojca, panie prokuratorze. Często trafia się jakiś sukinsyn, ale to nie wyklucza ojcostwa. Pański był chyba lepszy od mojego.

Pomocnik prokuratora wystrzelił. Usłyszał trzask drewna. Podejrzewał, że są już poza gabinetem, nieopodal schodów. Komendant mówił dalej:

– Pański ojciec też był wojskowym. Młody, przystojny, biały. Ożenił się z uroczą dziewczyną z Cuzco. Wiem, że jest panu wciąż bardzo bliska.

– Zamilcz, Carrión, bądź cicho!

– Dlaczego? Boi się pan opowieści o zmarłych? Bo on przecież nie żyje. Powinien się pan bardziej bać żywych. I powinien pan wiedzieć, że on nie żyje. Powinien pan to doskonale wiedzieć.

Chacaltana potknął się o stopień i upadł. Cztery stopnie niżej zdołał się chwycić poręczy. Podniósł się, celując przed siebie, choć całkiem stracił orientację. Zadrżał. Stłuczenia po upadku nie bolały go jednak tak bardzo jak wspomnienia.

– Teraz pan pamięta?

– Milcz, Carrión! Dość!

– Trochę był wariat z tego chłopaka. Porządny gość, chyba że wypił. Wtedy robił się trudny. Nie był pan aż tak mały, żeby tego nie pamiętać.

Pomocnik prokuratora ponownie wystrzelił. Usłyszał, że od ściany odpadł kawałek gipsu.

– Pańska matka bardzo cierpiała, kiedy go brało... Głównie dlatego, że po pijaku robił się... powiedzmy... brutalny. Panu chyba też się to nie podobało. Ale nie były to czasy, żeby żona mogła postawić się mężowi, a pan nie był w wieku pozwalającym na odwzajemnienie ciosów. Prawda? Bo za dużo było tych ciosów. Istny grad siniaków. O mało pan oka nie stracił. Pamięta pan?

Teraz w umyśle pomocnika prokuratora tasowały się wspomnienia. Jak gdyby buntując się po dekadach zapomnienia, jego ojciec pojawił się przed nim. Jego wykrzywiony uśmiech, alkoholowy oddech, uderzenia, uderzenia, pas, pięść, uderzenia.

– Nie ma go... Już go nie ma...

– Pan był niegłupim chłopakiem. A lamp używało się naftowych. A może na olej. W każdym razie z substancją łatwopalną, która zawsze utrzymuje płomień. Elektryfikacja w Ayacucho, szczerze mówiąc, zawsze była dość marna.

– To nie tak... To nieprawda!

Pomocnik prokuratora nie wiedział, czy głos komendanta dobiega z tego czy z innego piętra. Teraz słyhać było go zewsząd, z wnętrza Chacaltany, z ciemności.

– Sprawilo to panu tyle przyjemności, ile mnie, Chacaltana? Podobało się panu? Zbyt był zajęty kopaniem jej, żeby zwracać uwagę na to, co robi jakiś

dzieciak, którego zresztą uważał za niedorozwiniętego. Tak się wyrażał?

– Proszę mnie zostawić w spokoju!

Ale wir wspomnień już się nie mógł cofnąć. Nigdy już się nie cofnie.

– Jest pan świadom tego, co pan zrobił, Chacaltana? I jak pan uciekł? Nawet się pan nie odwrócił, słysząc krzyki swojej matki, nawet dla niej pan nie zaryzykował. Pan tylko biegł, biegł tam, gdzie prowadziły pana nogi, i dotarł pan do Limy, daleko, bardzo daleko, tam, dokąd już nie docierały krzyki pani Saldívar de Chacaltana. Ale umarli nie umierają, Chacaltana. Pozostają i krzyczą bez końca, domagając się zmiany. I teraz, kiedy jesteśmy o krok od tego, żeby zmienić wszystko, panu się to przestaje podobać. Teraz, gdy trzeba złożyć w ofierze tylko jedno życie, panu się to wydaje okropne. Pan jeszcze musi poświęcić jedno życie, Chacaltana. A jak już pan tego dokona, będzie mógł pan odetchnąć ze spokojem. Wszystko się skończy. Nie będzie się pan musiał więcej przejmować.

– Niiieeeee!

Potem wszystko rozegrało się w sekundę. Może przez jakiś powiew, lekkie drżenie powietrza wywołane przez przemieszczające się ciało. Chacaltana posłuchał intuicji. Obrócił się, nie przestając krzyczeć, i opróżnił magazynek, celując w ciało, którego bliskość przeczuwał. Raz i drugi, i jeszcze raz pociągnął za spust, jakby jego istnienie od tego zależało, jakby on jeden ucieleśniał całą tę wojnę morderców, jakby jego pistolet był karabinem maszynowym zamontowanym w helikopterze albo piłą, aż poczuł, że już nie strzela, bo wyczerpała mu się amunicja albo dlatego, że po drugiej stronie nie było już słycać żadnego oddechu.

Jeszcze godzinę tkwił na schodach, bojąc się przeładować broń, czy nawet drgnąć, obawiając się, że ponownie zabrzmiał głos Carrióna.

Ale tak się nie stało.

Pomocnik prokuratora dyszał ciężko i nie słyszał żadnego innego oddechu. Z zewnątrz dobiegały pieśni wielkanocne, które tyle razy już słyszał. Macał po ścianie, aż w końcu wyczuł okno i otworzył je. W świetle przedostającym się z ulicy do środka i w blasku fajerwerków dostrzegł Carrióna leżącego na schodach. Kule przebiły mu płuca, czoło, nerkę i jedną nogę. Kiedy podszedł, żeby obejrzeć ciało, odkrył, że komendant nie miał broni. Carrión nie próbował go zabić w tym ostatecznym pojedynku. On tylko wyszedł na spotkanie śmierci, tak jak pozostali, tak jak czynimy wszyscy. Głowa stworzonego przez komendanta potwora należała do niego samego. Teraz jego dzieło zostało zakończone.

Wycierając łzy, pomocnik prokuratora wyszedł na ulicę. Na rogach

zatłoczonego placu palono gałęzie janowca z poprzedniej niedzieli. Imponująca biała piramida Zmartwychwstania była wnoszona z katedry w blasku sztucznych ogni. Na każdym gzymsie stały zapalone świece. Pomocnik prokuratora wmieszał się w tłum. Powoli z wnętrza piramidy wynurzał się zmartwychwstały Chrystus witany oklaskami wiernych. Ponad trzysta osób przekazywało sobie figurę, która wędrowała z rąk do rąk dookoła placu. Kiedy dotarła do Chacaltany, pomocnik prokuratora przeżegnał się i w myślach zmówił modlitwę. W oddali, ponad suchymi wzgórzami, pojawiały się pierwsze promienie słońca zapowiadające nowy czas.

## Środa 3 maja

Łuski znalezione przy ciele komendanta Carrióna pochodziły z tej samej broni, z której strzelano w parafii. Opierając się na tym dowodzie oraz na zeznaniach obciążających pomocnika prokuratora Chacaltanę w związku z dopuszczeniem się przezeń aktów przemocy, a także biorąc pod uwagę istnienie motywu i sposobności do popełnienia zbrodni, w Czwartym Sądzie Okręgowym otwarto proces karny przeciwko Chacaltanie, oskarżonemu o popełnienie wielokrotnego morderstwa w dodatkowych okolicznościach obciążających, przy czym dalsze koleje procesu zależą od tego, czy oskarżony stawi się we własnej osobie na przesłuchanie ustne.

Funkcjonariusze, którzy mają złożyć zeznania w charakterze świadków, zostali jednak przeniesieni już po owych krwawych zajściach mających miejsce w trakcie Wielkiego Tygodnia: pułkownik Olazábal, awansowany do stopnia generała, odpowiada obecnie za aprowizację i logistykę Drugiego Rejonu Policyjnego. Kapitan Pacheco, choć nie otrzymał awansu, został przeniesiony w okolice Máncory na północnym wybrzeżu Piury, gdzie zajmuje się wprowadzeniem bezpieczeństwa. Sędzia Briceño został członkiem prezydium Sądu Rodzinnego w Iquitos. Natomiast oskarżony Félix Chacaltana Saldívar przebywa w nieustalonym miejscu.

Należy podkreślić w niniejszym obszernym raporcie, że Siły Zbrojne wspólnie z instytucjami odpowiedzialnymi za porządek publiczny oraz Wojskową Służbą Wywiadowczą zdołały ukryć zaistniałe wydarzenia przed opinią publiczną, unikając w ten sposób rozprzestrzenienia się paniki w regionie. Trzeba także zaznaczyć, że sporym osiągnięciem jest usunięcie wszelkich materiałów związanych ze sprawą, które zostały przeniesione do archiwów Państwowej Służby Wywiadowczej, aby tam wykorzystano je we właściwy sposób i zgodnie z zasadami. Należy także wspomnieć, że otwarcie procesu karnego w Sądzie Okręgowym nie jest wiążące dla wzmiankowanej Służby Wywiadowczej, jako że instytucje cywilne nie mają prawnej mocy decyzyjnej w sprawach dotyczących bezpieczeństwa narodowego, albowiem sprawy takie przekierowywane są automatycznie do Wojskowego Sądu Najwyższego.

Razem ze wspomnianymi materiałami do Służby Wywiadowczej przesłano wszystkie dokumenty związane z zaginięciami, torturami i przypadkami nadużyć w okresie podwyższonego ryzyka przypisywanymi następującym przedstawicielom sił wojskowych i policyjnych: Alejandrovi Carriónowi Villanuevie, komendantowi Armii Peruwiańskiej; Alfredowi Cáceresowi

Salazarowi, pułkownikowi Armii Peruwiańskiej; Gustavowi Olazábalowi Goicoechei, generałowi Państwowej Policji. Jak na razie nie należy się spodziewać, by sprawy owe zostały przekazane cywilnemu wymiarowi sprawiedliwości ani podane do publicznej wiadomości, jako że mogłyby zostać wykorzystane przez wrogie elementy w celu popsucia wizerunku naszego kraju za granicą tudzież zrelatywizowania osiągnięć Rządu na polu walki z działalnością wywrotową. Brakujące dokumenty z teczek osobowych, to znaczy raporty firmowane przez pomocnika prokuratora rejonowego Feliksa Chacaltanę Saldívarę oraz notatki bez dużych liter sporządzone własnoręcznie przez komendanta Alejandra Carrióna Villanueve, zostają dołączone do niniejszego raportu wraz z wyczerpującą i szczegółową relacją na temat przebiegu zdarzeń, które niżej podpisany zna z pierwszej ręki, jako że pełnił swoje obowiązki służbowe w bezpośredniej styczności z osobami uwikłanymi w sprawę w okresie pierwszego półrocza roku 2000.

Z najnowszych raportów Wojskowej Służby Wywiadowczej wynika, że oskarżony Félix Chacaltana Saldívar, pomocnik prokuratora rejonowego, widziany był w pobliżu miejscowości Vischongo i Vilcashuamán w okręgu Ayacucho podczas prób zorganizowania patroli „obrony narodowej” o niejasnych celach. Nasi informatorzy twierdzą, że wzmiankowany pomocnik prokuratora wykazywał wyraźne oznaki rozstroju psychicznego i moralnego i że wciąż pozostaje w posiadaniu broni, z której dokonano zabójstwa, przy najmniejszym sprzeciwie sięgając po nią nieustannie i nerwowo, choć broń owa nie jest naładowana.

Ani miejscowa policja, ani przedstawiciele sił porządkowych nie przywiązują zbyt dużej wagi do bojowej działalności wzmiankowanego funkcjonariusza, uznając, że jak na razie nie stanowi ona większego zagrożenia. Chociaż pojedynczy policjanci poprosili o instrukcje dotyczące sprawy, dowództwo nie wydało rozkazu aresztowania i zatrzymania oskarżonego, w każdym razie dopóki kraj pozostaje w okresie aktywności wyborczej, jako że w tej sytuacji sprawa mogłaby wypłynąć na światło dzienne, co mogłoby mieć fatalne skutki dla naszej państwowości.

Dokonawszy poniższych ustaleń, niżej podpisany uznaje swoją pracę w rejonie za zakończoną i pozwala sobie zasugerować, że ze względów bezpieczeństwa należałoby przenieść go do innej lokalizacji. Mój błękitny krawat został zniszczony i moje związki z siłami zbrojnymi, w oczekiwaniu na zastępcę komendanta Carrióna, uległy osłabieniu. Poza tym Służba Wywiadowcza wypełniła już swoją misję w związku z tą sprawą, zapewniając spokój i bezpieczeństwo w rejonie, kanalizując jednocześnie stosowne informacje tak, aby najpełniej współgrały z troską o prawo i porządek, co przyczynia się do rozwoju naszego kraju obdarzonego tak bogatą przyszłością.



Co niżej podpisany zaświadcza, dnia 3 maja 2000 roku.

Carlos Martín Eléspuru

Agent Państwowej Służby Wywiadowczej

## **Od autora**

Metody walki Świetlistego Szlaku opisane w tej książce, tak jak i strategie działań wymierzonych w organizacje wywrotowe – dochodzenia, tortury i zaginięcia – są prawdziwe. Spora część dialogów prowadzonych przez postaci została zaczerpnięta z dokumentów dotyczących Szlaku oraz zeznań terrorystów, urzędników oraz członków Peruwiańskich Sił Zbrojnych, którzy uczestniczyli w tym starciu. Daty dotyczące Wielkiego Tygodnia w roku 2000 oraz opisy obchodów także są autentyczne. Jednakże wszystkie postaci, jak i większość przywołanych tu sytuacji oraz miejsc ma charakter fikcyjny; również rzeczywiste detale zostały wyrwane z kontekstu swojego miejsca, czasu i sensu. Ta powieść, tak jak wszystkie inne, opowiada historię, która mogła się wydarzyć, ale jej autor nie twierdzi, że tak było.

Za lekturę oryginału i sugestie na wdzięczność moją zasłużyli: Pablo Lohmann, Diego Salazar, Juan Ossio i Jorge Villarán.